tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 18 (1373)
27.04-3.05.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

JULIUSZ GOJŁO
TRUMP NIE OSŁABIŁ TEHERANU

KRYPTOWALUTY
MODEL OPARTY NA KŁAMSTWIE

MECENAS ROGALSKI
OD AFERY DO AFERY

FAŁSZYWY JUBILEUSZ
„GAZETY OLSZTYŃSKIEJ"



1 MAJA
ŚWIĘTO OSIEROCONE

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

WARSZAWSKI

TEATR CAPITOL

ZAPRASZA

Mamy Twój BILET na majówkę!

1-3 maja

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl •



autor: **Neil Simon**

BOŻYSZCZE KOBIET

Reżyseria: **Cezary Morawski** Przekład: **Mira Michałowska**

Obsada:

Olga **Borys**, Michał **Milowicz**,
Karina **Rezner**, Aneta **Zając**

sobota, 9 maja, godz. 18:00

Filharmonia Częstochowska
im. Bronisława Hubermana

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl/repertuar-wyjazdowy

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl feab52a080



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Refleksje majowe

Zbliżający się 1 Maja w oczywisty sposób przywołuje wspomnienia z czasów, kiedy świętowanie z ludźmi pracy było ważnym rytuałem. Symbolicznym uznaniem dla milionów. Tych, którzy żyli z pracy rąk, i wywodzącej się często z tego środowiska inteligencji. To było ich święto. Byli jego masowymi bohaterami.

Można z tego, co towarzyszyło obchodom, żartować. Jak choćby z warszawskiego przemarszu: „przeszła Wola, przechodzi Ochota". Jednak z końcem Polski Ludowej i początkiem dzikiego kapitalizmu robotnicy zostali zepchnięci w dół hierarchii społecznej. Stali się tylko częścią nowych biznesów. Mieli posłusznie pracować pod presją utraty zatrudnienia. Bezrobocie długo było, i w niektórych branżach ciągle jest, wiszącym nad nimi batem. Wielu z tych, którzy ich zatrudniali, postępuje w zgodzie ze słowami Morawieckiego nagranego w restauracji: „mają zap… za miskę ryżu". Mogą tak robić, bo nie zderza się z nimi lewica silna poparciem pracowników.

Mamy coraz bardziej rozjeżdżające się dwa światy. Podstawą piramidy są miliony ludzi żyjących z pracy i płacy, która starcza im na styk. I rosnącą klasę średnią, która przy każdej turbulencji zawodowej wpada w tarapaty. Na szczycie piramidy jest grupa coraz bogatszych. Bez prestiżu, bo też skąd mieliby go mieć.

„Niech się święci 1 Maja". Pamiętamy to hasło. Niestety, młodzieży z niczym się nie kojarzy. Podobnie jest ze świętowaniem 3 Maja. Dwie ważne, lecz dla większości ludzi tylko urzędowe daty. Nie identyfikują się z treściami i przekazem ideowym tych świąt. Mimo apeli i zaklęć większości Polaków nie chce się nawet wywiesić flagi z tej okazji.

Dla prawicy święto 1 Maja to pozostałość po minionym systemie. Kto przy takim nastawieniu ma bronić interesów pracowników? Świat nie wymyślił niczego skuteczniejszego od związków zawodowych. Ale skuteczność związków, ich siła, a tym samym wpływ na pracodawców i właścicieli, zależą głównie od samych pracowników. Od tego, czy potrafią się zorganizować. Mądrze urządzone państwo też powinno dbać o jak najsilniejszą reprezentację pracowników. Bo tylko wtedy można w dialogu budować prawdziwy pokój społeczny. Warto o to powalczyć.

Paweł Siergiejczyk pisze w tym numerze, że lewica nie może się wstydzić Polski Ludowej. Bo ma ona na koncie prawdziwe osiągnięcia. Podobnie było po 1918 r. Niebawem napiszemy o roli Ignacego Daszyńskiego. Odbudowę lewicy trzeba zacząć od odkłamania prawicowych bredni na temat jej przeszłości.

BĄKOWSKI



eprasa.pl feab52a080

W NUMERZE

HISTORIA
8 **Demokratyczna Polska wyrosła na fundamentach PRL**
Lewico, nie wstydź się przeszłości

KRAJ
12 **Dlaczego Kaczyński nie wyrzucił Morawieckiego?**
PiS ma „drugie płuco". I zadyszkę
14 **Mroczne dziedzictwo**
Kryptowalutowe afery
17 **Przygody pana Rafała**
„Interwencje" mecenasa Rogalskiego
20 **Dlaczego PSL popiera kandydaturę Mateusza Szpytmy na prezesa IPN?**
Ubijanie interesu z PiS
22 **Smutny dzika los**
Odstrzał w miastach
26 **Fałszywe jubileusze „Gazety Olsztyńskiej"**
140 lat tradycji, tylko czyjej?

ZAGRANICA
29 **Polityczne trzęsienie ziemi w Bułgarii**
Skąd popłoch po wygranej Radewa
32 **Iran ma dziś więcej kart**
– rozmowa z Juliuszem Gojłą
36 **Miasto po zmianie**
Dziedzictwo „niemieckiego Manchesteru"
40 **Sycylię z Kalabrią połączy najdłuższy most świata**
Projekty sięgające antyku

KULTURA
44 **Plakat jak kromka kultury**
– rozmowa z Michałem Wardą
48 **Qulturalia**
66 **Pokolenie Z**
Przekrojowa wystawa w Wilnie

SPORT
50 **Wojna futbolowa**
Czy Iran zagra na mundialu?

OBSERWACJE
52 **Sony Photography Awards 2026**
Zwycięzcy wyłonieni
54 **Nomadzi z przymusu**
Co roku 5 mln Amerykanów traci dom

NAUKA
58 **Nie śpisz, czyli ryzykujesz**
Związek zdrowia ze snem

FELIETONY I KOMENTARZE
3 **Jerzy Domański**
Refleksje majowe
7 **Jerzy Bralczyk**
Ważne sprawy, ważne słowa
21 **Jan Widacki**
Plus ratio quam zwis?
25 **Andrzej Romanowski**
Zagłada Leszna
43 **Roman Kurkiewicz**
Czy komuniści w ogóle istnieli?
49 **Tomasz Jastrun**
Pęknięcie
57 **Wojciech Kuczok**
Tato, a co to jest puenta?



22
KRAJ

SMUTNY DZIKA LOS
Odstrzał w miastach



52
OBSERWACJE

SONY PHOTOGRAPHY AWARDS 2026
Zwycięzcy wyłonieni



58
NAUKA

NIE ŚPISZ, CZYLI RYZYKUJESZ
Związek zdrowia ze snem

Projekt okładki: Iza Mierzejewska



FOT. ANDRZEJ WIERNICKI /EAST NEWS, PAP/JAN MOREK

eprasa.pl feab52a080

Jak przekonać ludzi do korzystania z systemu kaucyjnego?


PYTANIE TYGODNIA
Jak przekonać ludzi do korzystania z systemu kaucyjnego?

Przecież system kaucyjny nie jest nowością. Przez wiele lat odstawialiśmy w kącie butelki po wypitej wodzie, sokach i innych napojach, żeby odnieść je do sklepu. Nie dość, że szklane butelki były ciężkie, to jeszcze zdarzało się, że sklep nie chciał ich przyjąć, ponieważ nie mieliśmy paragonu za zakupione napoje. Teraz opakowania przynajmniej są lekkie. Wychodząc na zakupy w sobotę, widzę coraz więcej młodych ludzi podążających z wypełnionymi dużymi torbami w kierunku sklepu, w którym przyjmowane są butelki i puszki. Zapewne mama robi porządki, a młody człowiek otrzymał polecenie odniesienia tych opakowań do automatu. Przypuszczam, że w wielu przypadkach kaucja zwrotna wędruje do kieszeni córki czy syna. Dzięki temu system funkcjonuje coraz lepiej. Nie wiem, jak jest z odbiorem tych opakowań poza dużymi miastami. Czy są automaty? Czy odbiór prowadzą sklepy? Ja w każdym razie zauważyłam, że w moim osiedlu kontener z napisem „Plastik" zapełnia się dużo wolniej niż do tej pory. Dajmy sobie czas na przywyknięcie do nowości.

Katarzyna Malec

Siewcy polexitu


Siewcy polexitu

Nie jest prawdą, że najgroźniejsze jest banalizowanie absurdów UE. Najgroźniejsze jest wytwarzanie absurdów przez UE. Unia, Bruksela, Komisja Europejska, ale i różne instytucje krajowe wytwarzają lawinę absurdów. To niszczy Unię. I zapewne zniszczy. UE przeszła do absurdów w trybie turbo, w czasie, związku i bez związku, z urządzeniem powodów do wojny na Ukrainie. Te absurdy są czymś większym i groźniejszym: to narzędzia autodestrukcji, w istocie – samobójstwa.

Wojciech Helman

•

Powtarzanie antyunijnych bredni to niemal te same bzdury propagandowe jak przed wejściem do UE. Pamiętne reklamy Ligi Polskich Rodzin z Niemcami, którzy wykupią zachodnią Polskę, zniszczenie polskiego rolnictwa czy walka z wiarą katolicką.

Maciej Lechita

•

Wszystkim, którym Unia się nie podoba, proponuję wyjechać z Europy do Stanów Zjednoczonych – i nie będziecie narzekać.

Adam Wołowicz

SAFE 0% – na to liczą Amerykanie


SAFE 0%
– na to liczą Amerykanie

O sprawach wojskowości wielu ludzi w naszym kraju nie ma żadnej wiedzy. Obecnie to prawie jak państwo w państwie. Solidna tajemnica, bo te mundury to najczęściej widzi się na paradach. Wojsko zawsze miało wygórowane potrzeby, ale to, co się dzieje obecnie, powoli zbliża nas do finansowego upadku. Koncerny zbrojeniowe dyktują warunki, a my jak frajerzy na wszystko się zgadzamy. Mali nigdy nie mieli wiele do powiedzenia. Władza widzi wojnę i temu wszystko jest podporządkowane. Przygotowania idą pełną parą, a to, że służba zdrowia, kultura, nauka popadną w kłopoty, to mały pikuś. Problem jest taki, że na razie na horyzoncie nie widać wroga. Rosja nam nie zagraża, a własna głupota jak najbardziej.

Andrzej Kościański

ZDJĘCIE TYGODNIA



„Aid Emergency in Gaza", zdjęcie Sabera Nuraldina wyróżnione w World Press Photo 2026, dokumentuje próbę zdobycia przez Palestyńczyków żywności z ciężarówki z pomocą, wjeżdżającej do Strefy Gazy 27 lipca 2025 r. Więcej nagrodzonych zdjęć w następnym numerze „Przeglądu".

FOT. SABER NURALDIN/EPA IMAGES/WORLD PRESS PHOTO

eprasa.pl feab52a080

60 sędziów ubiegało się w tzw. prawyborach o **członkostwo w 15-osobowej Krajowej Radzie Sądownictwa.** Na 9129 czynnych sędziów orzekających w polskich sądach udział w tajnych i bezpośrednich wyborach wzięło ok. 60% zainteresowanych.

•

Sławomir Cenckiewicz złożył rezygnację z funkcji szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego. Szkoda, że dopiero po siedmiu miesiącach skończyła się ta fikcja. Nie miał przecież poświadczenia bezpieczeństwa, a więc i wglądu do dokumentów niejawnych.

•

W Dąbrowie Górniczej **zginął tragicznie poseł lewicy Łukasz Litewka.** Doszło do czołowego zderzenia Mitsubishi z jadącym na rowerze posłem. 36-letni Litewka był politykiem niezwykle zaangażowanym w pomoc chorym dzieciom, osobom starszym i czekającym na adopcję psom. Wyjątkowo dobry człowiek.

•

Archiwum Twórczości Krzysztofa Kieślowskiego w Sokołowsku zostało wyróżnione przez Europejską Akademię Filmową jako jedno z najważniejszych miejsc na mapie europejskiego kina.

•

Łukasz G., instruktor narciarski z Zakopanego, który w czasie pandemii handlował maseczkami z Ministerstwem Zdrowia, został aresztowany. Nie za te stare afery, ale za kradzież paliwa na stacji benzynowej i prowadzenie samochodu pod wpływem narkotyków.

•

Aktywiści Ostatniego Pokolenia ogłosili zakończenie działalności.

PRZEBŁYSKI



Czy Polska deportuje archeologa?

Zobaczymy niebawem, czy Ukraińcy znowu coś wymuszą na Polsce. Tym razem chcą nas użyć do upolowania archeologa. Nie byle kogo, bo badacza światowej sławy, prof. Aleksandra Butiagina.

Według Ukraińców ma on na sumieniu dwa przestępstwa. Po pierwsze, jest Rosjaninem. A po drugie, od 27 lat zajmuje się badaniem Mirmekionu – starożytnego greckiego miasta położonego na wschodzie Krymu. Wielokrotnie prowadził tam wykopaliska. Na świecie nie ma większego znawcy tego rejonu. Butiagin zdobył wiele międzynarodowych nagród. Także ukraińskich. A że po aneksji Krymu nadal prowadził badania, to Ukraińcy poczekali, aż będzie w Polsce, i zażądali jego wydania. Sąd w pierwszej instancji orzekł o deportacji. W drugiej prawdopodobnie będzie to samo. Historia Polski z cyklu „Nie do wiary" albo „Zapis głupoty".



Listy idą na piechotę

Trzy tygodnie wędrował priorytetowy list polecony z Ełku do Warszawy. Gdy w tę samą wyboistą trasę ruszył drugi priorytet polecony, dotarł po dwóch tygodniach. Ha! Wysłany zatem został list trzeci, 13 kwietnia. Pechowo, bo w redakcji ani doręczyciela, ani awiza nie dało się zauważyć, list ponoć wylądował w Placówce Pocztowej Warszawa 4 na Konopackiej. Znowu trzeba będzie samoobsługowo sprawdzić na poczcie, czy nie zalega tam w większej ilości korespondencja od czytelników, np. rozwiązujących krzyżówkę.

PYTANIE TYGODNIA

Jakie prawa pracownicze są dziś najczęściej łamane?

PIOTR SZUMLEWICZ,
przewodniczący Związku Zawodowego Związkowa Alternatywa

W Polsce na masową skalę łamany jest art. 22 Kodeksu pracy mówiący, że tam, gdzie występuje nadzór, wyznaczone jest miejsce i czas pracy, musi być umowa o pracę. Zamiast tego królują „śmieciówki", zwłaszcza w handlu i gastronomii. Państwo przyzwala na to bezprawie, a rezygnacja z całościowej reformy PIP pokazuje brak woli politycznej do zmian. Inne problemy to zwalczanie związków zawodowych, rażące różnice w płacach na tych samych stanowiskach czy brak wypłat za nadgodziny. Ważnym krokiem naprzód byłoby na pewno wprowadzenie branżowych układów zbiorowych, które wymusiłyby wyższe standardy dla całych sektorów rynku pracy. Najwyższa pora, by władze zaczęły traktować prawa pracownicze poważnie, bo od lat są one lekceważone przez kolejne ekipy rządzące.

MAGDA MARIA MALINOWSKA,
OZZ Inicjatywa Pracownicza Amazon

Najczęściej łamane jest prawo do strajku, przez ustawę o sporach zbiorowych. Restrykcyjne przepisy uniemożliwiają pracownikom wywieranie realnej presji. Jeśli korporacje wiedzą, że strajk jest niemal niemożliwy, przestają bać się załogi i bezkarnie łamią prawo. Bolączką jest też brak stabilności: nadużywanie agencji pracy i umów terminowych. PIP zaś niechętnie podejmuje działania wymagające nowej interpretacji przepisów, pozostawiając pracowników bez wsparcia wobec rosnącej presji i stresu. Musimy odzyskać społeczną kontrolę nad zakładami, bo to nie tylko własność prywatna, lecz także środowisko, w którym spędzamy większość życia. Tylko faktyczny wpływ na firmy zapewni nam bezpieczeństwo i sprawiedliwe płace.

MARCIN STANECKI,
główny inspektor pracy

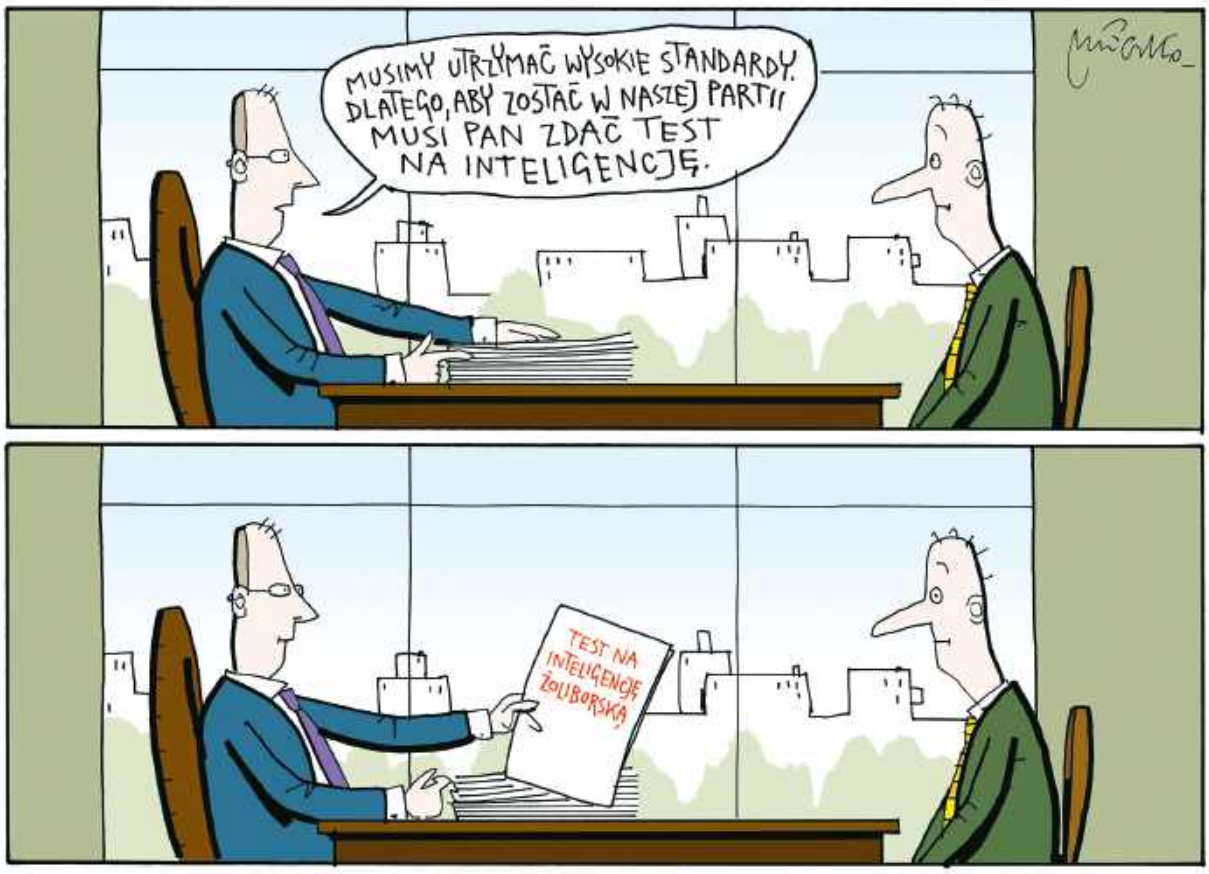
Z niepokojem stwierdzam, że najbardziej powszechne i uciążliwe z perspektywy pracownika naruszenia prawa pracy dotyczą sfery wypłacania wynagrodzeń. Tymczasem nieterminowa wypłata pensji lub zaniżenie jej wysokości najbardziej godzą w podstawowe prawa pracownika i byt jego rodziny. Inspektorzy PIP używają wszelkich narzędzi, by wyegzekwować te zaległości. W 2025 r. przeprowadziliśmy 14,3 tys. kontroli w tym zakresie. Duża ich część była reakcją na skargi poszkodowanych. W konsekwencji inspektorzy wydali 5,3 tys. decyzji nakazujących wypłatę zaległości dla 32,8 tys. pracowników na łączną kwotę 182,9 mln zł. Nieprawidłowości najczęściej ujawniano w następujących branżach: handel i naprawy, przetwórstwo przemysłowe, transport i gospodarka magazynowa, budownictwo, zakwaterowanie i usługi gastronomiczne.

Rozmawiał Maciej Belowski

FOT. AFP/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

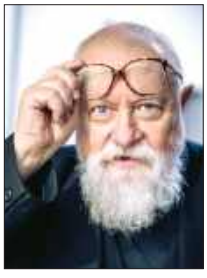
eprasa.pl feab52a080

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



mleczko.pl
sklep.mleczko.pl

Ważne sprawy, ważne słowa



Jerzy Bralczyk

Zrządzenia i zrzędzenia

W zasadzie nie lubię patosu, śmieszy mnie często, częściej denerwuje. Ale myślę, że potrzebne są ważne słowa, szczególnie kiedy rzetelnie nazywają ważne rzeczy i sprawy. Same ich nazwy mają się nam kojarzyć szacownie, a może i, trudno, podniośle. Wśród nich za bardzo ważne, konstytuujące społeczeństwo jako państwowy organizm, uważam najważniejsze państwowe instytucje. Zwykle takie najważniejsze instytucje nazywają się poważnie i razem z nazwami mają wywoływać poczucie stabilności i bezpieczeństwa.

Nie chodzi o to, by nazwa Najwyższej Izby Kontroli miała wywoływać drżenie, ale ten przymiotnik coś powinien za sobą nieść. Sąd Najwyższy to nie Sąd Ostateczny, ale ostateczną, najważniejszą instancją powinien być i dobrze by było, gdyby ta nazwa z jednej strony do czegoś zobowiązywała, z drugiej budziła należny szacunek.

Trybunał Konstytucyjny, obie części swojej nazwy należycie szanując, nie może (a niestety może, może) wywoływać u odbiorców poczucia wyjątkowego chaosu i wynikającej z niego śmieszności. Wiem, że takie myślenie jest naiwne w świetle tego, co się dzieje, ale tak myślę i przewiduję nieszczęsne konsekwencje w dalszej przyszłości, bo wierzę w trwałą wartość nazw. Owszem, na konstytucję wszyscy się powołują (co mnie szczególnie, jako językowego jej redaktora, cieszy), ale czynią to jakby z mniej lub bardziej udaną obłudą.

Mamy pecha, że instytucja strażnika tej konstytucji jest obsadzana coraz mniej, powiedziałbym, starannie. Męża stanu zastąpił charyzmatyczny trybun ludowy, jego znakomity i mądry polityk, tego z kolei uczciwy, choć nieco niezręczny związkowiec, jego dobroduszny sarmata, dalej mieliśmy podniosłego i trochę zbyt patetycznego poczciwca, wreszcie mamy dziarskiego, ale jakby nieco złośliwego kibica. Konsekwentnie nazwa najwyższego urzędu traci na wartości.

Kto wie, może powinniśmy pomyśleć o zmianie tych wszystkich nazw? A najlepiej byłoby, gdyby jakoś tym instytucjom, a przez to i ich nazwom, przywrócić należyty szacunek.

Tylko trudne to będzie… ■

eprasa.pl feab52a080

Demokratyczna Polska wyrosła na fundamentach PRL

Lewica nie powinna się wstydzić ani Polski Ludowej, ani III RP

Paweł Siergiejczyk

Czy 1 maja to data jeszcze cokolwiek znacząca w naszym życiu społecznym? Dla przeciętnego Polaka to jedynie początek majówki, czyli wiosennego długiego weekendu, podczas którego można grillować i bez ograniczeń spożywać alkohol. Znaczenie tego dnia jako Święta Pracy skończyło się wraz z końcem Polski Ludowej i nastaniem kapitalizmu, czyli systemu, w którym praca najemna zawsze stoi niżej od kapitału, biznesu i przedsiębiorczości.

W trudnym położeniu

Historycznie rzecz biorąc, o pierwszomajowe święto powinna się upominać lewica. Tyle że lewicy dziś w Polsce nie ma. Jest za to „lewactwo", bo taki epitet narzuciła dominująca w polityce i mediach (zwłaszcza internetowych) prawica, określając nim wszystkie siły i środowiska, które nie podzielają wyrażanej coraz bardziej radykalnie prawicowej wizji świata. „Lewakiem" jest zatem i Czarzasty, i Tusk, i Trzaskowski, a nawet Kosiniak-Kamysz i Hołownia. Trudno znaleźć kogoś na lewo od PiS, wobec kogo jeszcze takiego wyzwiska nie rzucano.

W ślad za prawicową propagandą o „lewackich ideologiach" mówi coraz większa liczba Polaków, wkładając do jednego worka wszystko, co nie jest skrajnym nacjonalizmem, antykomunizmem i klerykalizmem. Nic zatem dziwnego, że „lewacka" jest także Unia Europejska, choć dominują w niej partie chadeckie i liberalne – podobnie zresztą jak w naszym parlamencie.

W czwartej dekadzie istnienia III RP lewica znajduje się więc w trudnym położeniu. Można wręcz zapytać, czy w ogóle jest Polakom potrzebna. Co prawda, w obecnym rządzie zasiada troje ministrów i kilkanaścioro wiceministrów reprezentujących Nową Lewicę, a jej lider od kilku miesięcy pełni funkcję marszałka Sejmu, lecz to wyłącznie wynik arytmetyki sejmowej i sprytu politycznego Włodzimierza Czarzastego, którego lojalność wobec Donalda Tuska zapewnia lewicowej elicie bezpieczne korzystanie z owoców władzy. Ale tak będzie przecież tylko do najbliższych wyborów parlamentarnych, które – wszystko na to wskazuje – wyłonią najbardziej prawicowy parlament w dziejach Polski, w dodatku pod patronatem najbardziej prawicowego z prezydentów, Karola Nawrockiego. Oczywiście można się łudzić, że będzie inaczej, ale niby dlaczego miałoby tak się stać, skoro obecna koalicja rządowa cieszy się coraz mniejszą akceptacją społeczną, premier zaś należy do polityków z rekordowo niskim zaufaniem.

Lewica przegrywa walkę o przyszłość Polski, bo odpuściła sobie walkę o jej przeszłość. A także o przeszłość własną.

Bardzo prawdopodobne jest zatem, że udział Czarzastego i jego partii we władzy okaże się tylko czteroletnim epizodem w dziejach polskiej lewicy. A przecież są to dzieje bardzo długie, sięgające początkami XIX w. Czołowi historycy polskiego ruchu socjalistycznego, Adam i Lidia Ciołkoszowie, datowali jego zaranie na epokę Wielkiej Emigracji po powstaniu listopadowym. Pierwszą partią lewicową w naszych dziejach byłoby więc Towarzystwo Demokratyczne Polskie, utworzone w Paryżu w 1832 r. Tym, co stanowi wspólny mianownik dla niemal dwóch wieków historii polskiej lewicy, jest niezmienne dążenie do ideału społeczeństwa opartego na równości wszystkich obywateli (i w wymiarze prawnym, i w materialnym) oraz państwa, które powinno być tej równości strażnikiem. Taki ideał łączył XIX-wiecznych marzycieli i konspiratorów z ich XX-wiecznymi spadkobiercami spod obu wielkich sztandarów: socjalistycznego i komunistycznego. Lewicę w Polsce – tak samo jak we wszystkich krajach świata – podzieliły bowiem rosyjska rewolucja październikowa i stosunek do bolszewizmu.

Podział ten zakończył dopiero upadek ZSRR i partii orientujących się na Moskwę, który jednak wcale nie przyniósł triumfalnego zwycięstwa socjaldemokracji, czyli tej lewicy, która konsekwentnie odrzucała radziecki komunizm. Patrząc na dzisiejszą Europę, widzi się wręcz wielki kryzys partii lewicowych, które tracą wyborców na rzecz skrajnej prawicy. Niemiecka socjaldemokracja

eprasa.pl feab52a080



Wizyta I sekretarza KC PZPR Edwarda Gierka w Zakładach Opon Samochodowych Stomil w Dębicy, 27 kwietnia 1978 r.

– najstarsza i zawsze najpotężniejsza na kontynencie – spadła dziś na trzecie miejsce, przegrywając nie tylko z chadecją, lecz również z Alternatywą dla Niemiec. Ale SPD przynajmniej współrządzi w Berlinie, natomiast rozbita i skłócona lewica francuska raczej nie ma co liczyć na szybki powrót do władzy. Lewicowe rządy mamy jeszcze w Londynie, Madrycie i Kopenhadze, tyle że ich popularność topnieje w szybkim tempie, wszędzie zaś rośnie poparcie dla antyunijnych nacjonalistów otwarcie wspieranych dzisiaj przez Waszyngton.

Rodzime przyczyny kryzysu

Kryzys polskiej lewicy nie jest zatem niczym szczególnym w epoce Trumpa, ale ma także rodzime przyczyny. Najważniejszą wydaje się klęska lewicy na polu historii. Historia bowiem jest tą materią, która buduje ideologiczne i moralne fundamenty sukcesów politycznych. To prawda od zawsze rozumiana po prawej stronie sceny politycznej, dlatego gdy lewica pod hasłem „wybierzmy przyszłość" tworzyła konstytucję III RP i wprowadzała Polskę do Unii Europejskiej, prawica budowała Instytut Pamięci Narodowej, przeprowadzała kolejne kampanie lustracyjne i celebrowała święto „żołnierzy wyklętych". Dziś konstytucja została niemal doszczętnie podeptana, a członkostwo w UE jest coraz mocniej podważane, natomiast kolejne pokolenia Polaków wychowywane są w duchu prymitywnego nacjonalizmu i antykomunizmu, czego efektem był wybór prostackiego pseudohistoryka z IPN na prezydenta RP.

Natomiast powojenne 45-lecie ma być wstydliwą lub wręcz hańbną „czarną dziurą" w historii lewicy, choć była to jedyna epoka, w której równościowe ideały społeczne nie tylko znalazły szansę realizacji (na ile konsekwentnie, to już inna sprawa), ale też uzyskały powszechną akceptację zarówno w masach, jak i w elitach naszego narodu. Najlepszym tego dowodem jest ogólnie lewicowa postawa opozycji demokratycznej w PRL oraz egalitaryzm żądań

Przy Okrągłym Stole nie było nikogo, kto by uważał PRL za „sowiecką okupację" i negował powojenne osiągnięcia społeczno-gospodarcze.

Lewica przegrywa więc walkę o przyszłość Polski, ponieważ odpuściła sobie walkę o jej przeszłość. A także o przeszłość własną. Bo dzieje polskiej lewicy to nie tylko piękne sztandary przedwojennej PPS, na które powołuje się wielu młodych lewicowców (z partią Razem na czele), co prawicy oczywiście nie przeszkadza, byle wyeksponować odpowiednio PPS-owski antykomunizm i antysowietyzm.

kolejnych wystąpień społecznych – od poznańskiego Czerwca 1956 r., poprzez Grudzień 1970 r. i Czerwiec 1976 r., aż po Sierpień 1980 r. i całą działalność legalnej Solidarności do wprowadzenia stanu wojennego.

Nie powinno więc nikogo dziwić, że przy Okrągłym Stole w 1989 r. spotkały się dwie części polskiej elity, z których jedna reprezentowała rządzącą partię nawet z nazwy robotniczą, a druga – zorganizowaną wokół

eprasa.pl feab52a080



Pochód pierwszomajowy, Warszawa, 1974 r.

związku zawodowego opozycję zasadniczo akceptującą powojenne przemiany społeczne i uwarunkowania geopolityczne. Nie było tam nikogo, kto uważałby PRL za „sowiecką okupację" i negował powojenne osiągnięcia społeczno-gospodarcze. Taka prawica narodziła się dopiero później, a dzisiaj zdominowała polską politykę. Stało się to możliwe głównie dlatego, że lewica nie miała chęci ani odwagi, aby bronić swojego dorobku z czasów Polski Ludowej. Choć przecież była do tego baza społeczna, o czym świadczyły kolejne sukcesy wyborcze SLD, a zwłaszcza Aleksandra Kwaśniewskiego, którego PZPR-owska przeszłość większości wyborców nie przeszkadzała.

Co więcej, w pierwszej dekadzie III RP skrajny antykomunizm stanowił rodzaj marginalnego folkloru. Polacy szybko znudzili się rozpamiętywaniem Katynia i innych zbrodni stalinowskich, których zresztą większość społeczeństwa nie doświadczyła – w przeciwieństwie do zbrodni hitlerowskich, które pamiętano w każdej polskiej rodzinie. Pojawiły się za to wyraźny sentyment do epoki Gierka oraz dość powszechne zrozumienie dla racji gen. Jaruzelskiego w sprawie stanu wojennego. Świadczyły o tym nie tylko masowe nakłady książek wspomnieniowych Gierka, Jaruzelskiego, Urbana i innych przedstawicieli PRL-owskiej elity, ale też badania socjologiczne, z których w żaden sposób nie wynikało, że Polacy uważają powojenne 45-lecie za czas zły i stracony.

Prawica wychowuje wierny elektorat

Zaczęło się to zmieniać dopiero w drugiej dekadzie demokratycznej Polski, głównie pod wpływem IPN-owskiego monopolu na opowiadanie najnowszej historii. Natomiast lewica zajęta była z jednej strony budowaniem nowoczesnego państwa i jego miejsca w Europie, a z drugiej – konsumowaniem przywilejów władzy (szczególnie za rządów Leszka Millera), co doprowadziło do wysypu różnego rodzaju afer i skandali, które znacznie ułatwiły prawicy dyskredytowanie moralne SLD. Na końcu tego procesu był rok 2005, gdy w podwójnych wyborach – parlamentarnych i prezydenckich – lewica już się nie liczyła, ustępując miejsca prawicowym partiom Kaczyńskiego i Tuska, które odtąd dominują na scenie politycznej.

Różnica między lewicą a prawicą w Polsce polega więc na tym, że ta druga potrafiła sobie wychować – albo wręcz wyhodować – wierny elektorat, który myśli kategoriami prawicowymi, lewica zaś swój elektorat straciła, choć pierwotnie miała go nawet więcej. A straciła dlatego, że o niego nie dbała – nie tylko w wymiarze materialnym (co w kryzysowych początkach III RP było trudne), ale przede wszystkim w sferze prestiżu i godności. Krótko mówiąc, lewica po 1989 r. głównie przepraszała za swoją przeszłość lub od tej przeszłości całkowicie się odcinała, natomiast prawica nigdy za nic nie przepraszała i nie należy się tego po niej spodziewać, choć ma na sumieniu coraz więcej niegodziwości. Skoro zaś Polska Ludowa została osierocona przez własne elity, to miliony zwykłych Polaków nie widziały żadnego powodu, by bronić tego państwa i jego osiągnięć. Skutek jest taki, że o czasach PRL można dzisiaj mówić wyłącznie źle albo bardzo źle.

To jednak oznacza, że nie ma co liczyć również na docenienie dorobku III RP. Demokratyczna Polska wyrosła bowiem nie na gruzach PRL, lecz na jej fundamentach – od granic, poprzez wszystkie instytucje państwa i porządek prawny (nawet obowiązujący do dziś Kodeks pracy pochodzi z 1974 r.!), aż po naszą tożsamość narodową i kulturową, którą ostatecznie ukształtowała i upowszechniła Polska Ludowa.

FOT. TADEUSZ ZAGOŻDZIŃSKI/EAST NEWS, BOGDAN ŁOPIEŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl feab52a080

Właśnie dlatego po 1989 r. tak powszechny opór budziły wszelkie próby sztucznego odcięcia się od PRL: dekomunizacji, lustracji, reprywatyzacji, klerykalizacji państwa. Prawicowi politycy, którzy takie hasła głosili, szybko stawali się bohaterami kabaretowych żartów, a ich partie przegrywały wybory. Za tym naturalnym odruchem społecznym nie szła jednak przemyślana postawa lewicy – i tak przez swoją bezczynność formacja ta oddała pole przeciwnikom.

Lewica nie miała chęci ani odwagi, aby bronić swojego dorobku z czasów Polski Ludowej.

Ci zaś potrafili skutecznie zakłamać nie tylko historię powojennego 45-lecia, ale też ogląd wszystkiego, co udało się osiągnąć po roku 1989. Przecież już w 2005 r. PiS odniosło podwójne zwycięstwo, idąc do wyborów pod hasłem budowy IV Rzeczypospolitej, ponieważ III RP rzekomo się skompromitowała. I mało kto zwracał wtedy uwagę na nieuctwo historyczne naszej prawicy, która nie odróżnia francuskiej tradycji numerowania republik odzwierciedlającego zmiany ustroju i konstytucji (dzisiejsza Francja jest V Republiką) od polskiej tradycji numerowania kolejnych etapów suwerennej państwowości (I Rzeczpospolita istniała do rozbiorów, II Rzeczpospolita w latach 1918-1939). Bezustanne plucie na III RP oznacza więc deprecjonowanie największego sukcesu w naszej najnowszej historii, jakim było odzyskanie suwerenności w wyniku załamania się radzieckiej hegemonii.

Ponieważ jednak udział prawicy w tym sukcesie był marginalny, od samego początku podważała ona znaczenie takich wydarzeń jak radziecka pierestrojka, Okrągły Stół, wybory z czerwca 1989 r., prezydentura gen. Wojciecha Jaruzelskiego, powstanie i działalność rządu Tadeusza Mazowieckiego oraz zgodne działania Sejmu kontraktowego, w którym większość mieli ludzie z ugrupowań rządzących w PRL. Buduje się za to alternatywną wersję historii, w której kluczową rolę odgrywa „pierwszy niepodległościowy rząd" Jana Olszewskiego i „najwybitniejszy prezydent" Lech Kaczyński, a także „nieprzejednana" Solidarność Walcząca Kornela Morawieckiego, uznająca Okrągły Stół za „spisek ubeków i ich agentów".

PRL bez wstydu

Tymczasem lewica nie powinna była się wstydzić ani Polski Ludowej, ani jej naturalnej kontynuatorki – III RP. Powinna była zaś konsekwentnie pielęgnować pamięć narodową, podkreślając prawdziwe osiągnięcia naszego narodu po 1945 r. i po 1989 r., w których miała przecież znaczący udział. Niestety, pozostawiła tę sferę szalonym antykomunistom i antypostkomunistom, którzy co prawda nie potrafili niczego pozytywnego w Polsce zbudować, za to okazali się mistrzami w walce o „rząd dusz", co gwarantuje im dominację polityczną na długie lata, a może i dziesięciolecia.

Czy w tej sytuacji lewica odegra jeszcze jakąś rolę? Oczywiście marszałek Włodzimierz Czarzasty dzielnie broni demokracji parlamentarnej i konstytucyjnych zasad naszego ustroju, dzięki czemu przejdzie do historii jako godny następca swoich lewicowych poprzedników: Ignacego Daszyńskiego, Józefa Oleksego, Marka Borowskiego i Włodzimierza Cimoszewicza. Można jednak wątpić, czy zdoła tym odbudować pozycję lewicy na scenie politycznej, skoro wyborców o lewicowych przekonaniach ubywa, a ci, którzy jeszcze są, będą kuszeni przez konkurencję polityczną – z jednej strony przez Tuska, z drugiej przez Zandberga.

Szansę na bycie partią o masowym poparciu i ważnej pozycji lewica straciła w pierwszych latach naszego stulecia, gdy miliony Polaków przestały w niej widzieć obrońcę swoich życiorysów przed prawicowym szaleństwem. Czy dzisiejsza lewica będzie miała więcej odwagi i przynajmniej nie będzie już się wstydzić własnej przeszłości?

Paweł Siergiejczyk

Z bólem przyjąłem wiadomość o tragicznej śmierci
Posła na Sejm X kadencji

ŁUKASZA LITEWKI

Kochał przyrodę, kochał ludzi, kochał życie.
Nie umiał przejść obojętnie, gdy widział czyjąś krzywdę.
Pomagał sam, otwierał serca innych, by też pomagali.

Żegnaj!

Rodzinie i bliskim składam serdeczne wyrazy współczucia

Marszałek Sejmu
Włodzimierz Czarzasty

eprasa.pl feab52a080

Dlaczego Kaczyński nie wyrzucił Morawieckiego?

Zawieszenie broni na dwa płuca

Robert Walenciak

Siedem godzin trwała rozmowa Jarosława Kaczyńskiego z Mateuszem Morawieckim. Zastanówmy się, jakiż to wielki problem stanął przed nimi, że musieli omawiać go tak długo. Prezes partii z wiceprezesem.

Problem jest znany. Mateusz Morawiecki założył Stowarzyszenie Rozwój Plus, co Kaczyński uznał za pierwszy krok do frondy i zbudowania własnego ugrupowania. Zażądał więc kapitulacji. Ale Morawiecki nie skapitulował – negocjował z szefem i jakiś kompromis osiągnął. Czyli wygrał? I tak, i nie. Kaczyński nie rozwiązał problemu, ale zyskał czas. Morawiecki zatrzymał się, jak Prigożyn, gdy szedł na Moskwę. Czy spotka go podobny los?

•

Te siedem godzin to było za mało, bo niemal natychmiast po zakończeniu rozmów politycy PiS zaczęli się kłócić na temat ich wyników. Bo rzeczywiście, więcej nie ustalono, niż ustalono. Po rozmowach Kaczyński powiedział, że działalność Stowarzyszenia Rozwój Plus „będzie prowadzona wewnątrz partii". A posłowie i europosłowie, którzy dołączyli do stowarzyszenia, mają wejść w skład Rady Eksperckiej. „Pozostałe działania będą wstrzymane. To nie oznacza, że stowarzyszenie będzie zlikwidowane", mówił prezes. Dodając, że dzięki takiemu rozwiązaniu „partia będzie miała dwa płuca".

Te ogólne stwierdzenia każdy zinterpretował, jak mu było wygodnie. Jacek Sasin, ważny „maślarz", na platformie X przekonywał, że stowarzyszenie decyzją prezesa PiS zostało „zawieszone". Z kolei Tobiasz Bocheński, też przedstawiciel „maślarzy", napisał: „Bardzo dobry dzień dla obozu patriotycznego. Działalność stowarzyszenia Mateusza Morawieckiego zostaje zawieszona. Wszyscy aktywni, kreatywni, pełni pomysłów posłowie i europosłowie wchodzą do Rady Eksperckiej PiS".

„Chyba słuchaliśmy innego oświadczenia Jarosława Kaczyńskiego i Mateusza Morawieckiego. Stowarzyszenie Rozwój Plus będzie działało i ma konkretne zadania do wykonania. Proszę sobie odsłuchać jeszcze raz: DWA PŁUCA!", odpowiedział mu natychmiast Krzysztof Szczucki. A Michał Dworczyk deklarował: „Działalność stowarzyszenia nie tylko nie zostaje zawieszona, ale – jak tylko zostanie zarejestrowane – rzucamy się w wir działań".

•

Odłóżmy te kłótnie na bok, to detale, które pokazują gorącą atmosferę wewnątrz PiS, ale nic więcej. Zasadniczy problem nazywa się inaczej. W PiS toczy się bowiem potężna walka wewnętrzna. Chodzi o to, jaka to będzie partia, w którym kierunku ma zmierzać. Kto będzie w niej miał dużo do powiedzenia, a kto niewiele. No i kto będzie w niej numerem 2, bo wprawdzie Kaczyński wciąż wyrasta ponad wszystkich w PiS, to jego autorska partia, ale przecież słabnie, co każdy widzi.

Oto najważniejsza wiadomość z wewnątrzpisowskiego frontu. Ryszard Terlecki, do niedawna wierny towarzysz Jarosława Kaczyńskiego, podczas spotkania w zaufanym gronie 18 kwietnia w Krakowie „dał do zrozumienia, że prezes musi odejść i przekazać partię komuś młodszemu". Według relacji Wirtualnej Polski Kaczyński był zaskoczony i stwierdził, że „to Terlecki powinien odejść z PiS, jeśli nie podoba mu się styl zarządzania partią". W odpowiedzi były szef klubu PiS podobno odparł, że jest na to gotowy.

Oto zapis emocji i nastrojów targających PiS. Co więc zrobi Kaczyński? Czy będzie bezwolnie patrzył, jak podwładni rozwalają jego partię?

•

Nie będzie bezwolny. Jego oczywistym odruchem jest (i będzie) rozstrzelanie Morawieckiego. Za bunt, za wyłamanie się z szeregu pokornych. Za budowę własnych struktur na strukturach PiS. Zapowiedział to jeszcze przed siedmiogodzinną rozmową: „Nie można doprowadzać do tego, żeby na jednej partii wyrastała druga". I deklarował: „Jasno mówię, że dla ludzi, którzy by się w to angażowali, miejsc na naszych listach nie będzie". Zażądał więc całkowitej kapitulacji.

Podobne sytuacje już przeżywał. W 2010 r., po przegranych wyborach prezydenckich, pojawiła się grupa, która – jak dziś Morawiecki – kontestowała jego zwrot w prawo, w kierunku religii smoleńskiej. Wyrzucił ją. Tak powstała polityczna efemeryda Polska Jest Najważniejsza, z takimi liderami jak Paweł Kowal, Joanna Kluzik-Rostkowska, Adam Bielan i Michał Kamiński. Nieźle ich później wiatr po politycznym świecie rozrzucił. W 2011 r. z PiS wyszła inna grupa – Solidarna Polska, ze Zbigniewem Ziobrą i Jackiem Kurskim.

Te dwie duże secesje trzęsły PiS, ale krzywdy mu nie zrobiły. Wręcz wzmocniły Kaczyńskiego jako tego, który zawsze przetrwa i bez którego nie ma życia politycznego.

To są rzeczy znane. Dlaczego więc Morawiecki nie skapitulował, nie ukorzył się? Bo nie jest bezbronny. Gdyby był bezbronny, Kaczyński

eprasa.pl feab52a080



Na profilu Kaczyńskiego na X w czwartek o godz. 23.53 pojawił się wpis: „Kolejna dobra rozmowa. Do zwycięstwa!", opatrzony wspólnym zdjęciem Kaczyńskiego, Morawieckiego i Czarnka.

dawno by go wyrzucił, tak jak wyrzucił Kazimierza Marcinkiewicza i o nim zapomniał. Ale w tym przypadku prezes nie może tak zrobić. Z prostego powodu. Morawiecki jest byłym premierem z poręki Kaczyńskiego, twarzą rządów PiS. Nie da się od niego ot tak odciąć, powiedzieć, że to pomyłka, zły człowiek, nawet zdrajca. Tego wyborcy prawicy by nie zrozumieli. Poza tym Morawiecki ma już swoją ekipę. Wigilia 2025 ją pokazała. I tych prawie 40 parlamentarzystów, którzy wokół niego się skupiają i zapisali się do jego stowarzyszenia, to właśnie jego siła. Jest również niezależny finansowo. W polityce nic się nie zrobi bez pieniędzy, a jeśli chodzi o Morawieckiego, akurat to nie powinno być kłopotem.

Trzeba także mieć jakąś ideę, zespół spraw, na których zależy wyborcom, za które byliby gotowi walczyć. Tę ideę Morawiecki buduje. On i jego zwolennicy mówią, że chcą kierować swój przekaz do wyborców umiarkowanych, ceniących skuteczne działanie, do fachowców. Gra więc kartą byłego premiera, byłego bankowca. To prawicowiec, ale Europejczyk. Buduje zatem ideę w opozycji do Przemysława Czarnka (któremu wypomina określenia typu „OZE-sroze", że kloaczne), do frakcji „maślarzy", do ziobrystów. Nazywa ich radykałami i przekonuje, że ich polityka prowadzi do trwałego zabetonowania PiS w opozycji. Bo, owszem, zapewnia mocną pozycję w Sejmie, ale odpycha wyborców umiarkowanych. Czyli nie daje szans na 50% mandatów.

Jako argument ma jeszcze te lata bycia premierem PiS z poręki Kaczyńskiego. Jest wciąż wizytówką tamtych czasów i Kaczyński, chce czy nie chce, musi go bronić i nie może podważać jego kompetencji.

A ponieważ PiS przeżywa trudny okres, sondaże są jednoznaczne, Kaczyński może grozić, że rozłamowców nie umieści na listach wyborczych, ale co to za groźby? Dzisiaj PiS ma 188 posłów. Gdyby uzyskało sondażowe 20%, miałoby ich ok. 110-120. Czyli i tak co trzeci poseł w nowym Sejmie się nie znajdzie. A to zachęca do szukania rozwiązań ratunkowych.

Morawiecki ma w zanadrzu jeszcze jeden argument – nie warto go wypychać, bo to najmocniej uderzy w samo PiS. Cztery partie prawicy wyrywające sobie wyborców – to nie może dobrze się skończyć.

Te argumenty są na stole, każdy je zna. Wszyscy więc wiedzą, że Morawiecki wolałby zostać w PiS. Ale jako grupa, z którą Kaczyński będzie musiał się liczyć i układać. Także przy tworzeniu list. I wokół tego toczyły się siedmiogodzinne negocjacje.

Czy możemy zatem liczyć na wewnątrzpisowski pokój? Absolutnie nie! Nie pozwoli na to frakcja „maślarzy" popierających Przemysława Czarnka. Dla nich Morawiecki to zawada. Oni chcą prowadzić partię w innym kierunku, ku wyborcom zwracającym uwagę na kwestie tożsamościowe. No i nie chcą się dzielić z „harcerzami" miejscami na listach wyborczych. I u boku prezesa.

Co w takim razie jest lepsze dla Kaczyńskiego? Wykopać Morawieckiego, bo niewierny, czy trzymać go jako przeciwwagę dla Czarnka? Wybierze drogę pośrodku – opłaci mu się trzymać Morawieckiego z wielu względów. Ale opłaci mu się trzymać go słabszego, mniej hardego. Czyli będzie grał na przeczekanie. I na powolne odstukiwanie od Morawieckiego posłów, jego zwolenników. Proszę zwrócić uwagę – najważniejszym punktem żądań Kaczyńskiego było to, aby Stowarzyszenie Rozwój Plus nie budowało struktur terenowych, nie przyciągało kolejnych posłów. Morawiecki z 40 posłami jest mocny. Z 60 byłby przemocny. A np. z piętnastką – do zaakceptowania.

W tym kierunku będzie zmierzał Kaczyński. Osłabić Morawieckiego, a potem się zobaczy. Ale były premier nie zamierza zapaść w sen. Nie będzie mógł budować struktur terytorialnych, lecz będzie mógł jeździć po Polsce, organizować spotkania i konferencje. Będzie budował swoją pozycję wewnątrz partii. Jako były szef rządu PiS, jako ten, który w każdej chwili może zastąpić Czarnka w roli kandydata na premiera. Obronił się, więc musi iść dalej.

Wszystko jest zatem na kursie kolizyjnym. Konflikt Morawieckiego z Czarnkiem doszedł do tego etapu, że gdy jeden z nich zostanie szefem partii, natychmiast wyrzuci drugiego. Spaja ich tylko Kaczyński. Budowane są więc konstrukcje w stylu: PiS musi oddychać dwoma płucami, jest partią dużego namiotu, w którym wszyscy się pomieszczą. Jednak to coraz bardziej puste słowa. Wojna trwa. I nie widać scenariusza jej zakończenia.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. @OFICJALNYJK

eprasa.pl feab52a080



MROCZNE DZIEDZICTWO

Historia upadków giełd kryptowalut będzie kształtować przyszłość cyfrowych finansów

Prezes Zondacrypto Przemysław Kral.

Marek Czarkowski

Na początku kwietnia wybuchł w Polsce jeden z największych skandali finansowych ostatnich dekad – afera giełdy kryptowalut Zondacrypto. Jak powiedział premier Donald Tusk, liczba poszkodowanych może sięgać nawet 30 tys. Szacuje się, że zobowiązania wobec nich przekroczyły 350 mln zł.

Co gorsza, przebywający za granicą prezes Zondacrypto Przemysław Kral podobno posiada izraelski paszport, co – jeśli jest prawdą – gwarantuje mu, iż znalazł się poza zasięgiem polskiego wymiaru sprawiedliwości.

Historia tego przekrętu zaczęła się ponad dekadę temu, gdy w roku 2014 młody biznesmen Sylwester Suszek założył w Katowicach jedną z pierwszych w kraju giełd kryptowalut BitBay, umożliwiającą wymianę złotówek na bitcoiny (BTC). Giełda szybko się rozwinęła. W roku 2017 obsługiwała 1 mln klientów, a jej miesięczne obroty sięgnęły 1,5 mld dol. Rok później Komisja Nadzoru Finansowego wpisała giełdę BitBay na listę ostrzeżeń publicznych, zarzucając jej m.in. prowadzenie bez zezwolenia działalności zbliżonej do bankowej. Zarząd giełdy zdecydował o przeniesieniu jej siedziby na Maltę. W maju 2021 r. BitBay ogłosiła, że pozyskała inwestora ze Stanów Zjednoczonych.

Przyjmuje się, że wtedy Suszek sprzedał swoje udziały i wycofał się z biznesu. Oficjalnie z powodu chęci zajęcia się innymi projektami. Mniej oficjalnie – z powodu śledztwa w sprawie prania pieniędzy, presji grup przestępczych oraz gróźb. 10 marca 2022 r. Sylwester Suszek pojechał na spotkanie do Czeladzi. Po godz. 15 wsiadł do samochodu i od tej chwili nikt go nie widział. Rodzina Suszka jest przekonana, że został zamordowany, choć nie brakuje teorii, że żyje spokojnie gdzieś na antypodach. Sprawą zajęły się policja i prokuratura. Po pięciu latach wciąż właściwie niczego nie ustalono. I nikomu nie postawiono zarzutów.

Nazwisko Suszka wypłynęło ostatnio 16 kwietnia br., w nagraniu Przemysława Krala, obecnego prezesa giełdy, działającej od roku 2021 najpierw pod nazwą Zonda, a potem Zondacrypto. Prezes tłumaczył, dlaczego jego spółka ma kłopoty z wypłatą należących do klientów środków. Oświadczył, że Zondacrypto jest w pełni wypłacalna, gdyż na jednym z cyfrowych adresów znajduje się 4,5 tys. bitcoinów, wartych dziś w przybliżeniu 1,26 mld zł. Jest tylko drobny problem. Cyfrowy klucz do tego skarbca posiada… zaginiony Sylwester Suszek!

Dlatego dziś mało kto żywi nadzieję, że kiedykolwiek uda się odzyskać powierzone giełdzie pieniądze. I nikt nie wierzy, że sprawcy przekrętu kiedykolwiek zasiądą na ławie oskarżonych.

Ale historia Zondacrypto jest stara jak świat…

Krypto znaczy afera?

31 października 2008 r. Satoshi Nakamoto (to nie jest prawdziwe nazwisko, do dziś nie wiadomo, kto się za nim krył – przyp. MC) opublikował na liście mejlingowej kryptografów

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl feab52a080

metzdowd.com manifest „Bitcoin: A Peer-to-Peer Electronic Cash System". Był to dziewięciostronicowy dokument opisujący założenia ideowe i techniczną konstrukcję bitcoina jako zdecentralizowanego systemu płatności elektronicznych bez pośredników typu banki. Dzień ten uważa się za narodziny pierwszej kryptowaluty.

Dla sektora bankowego były to trudne czasy. 15 września 2008 r. amerykański bank Lehman Brothers ogłosił upadłość. Wydarzenie to jest uznawane za moment kulminacyjny kryzysu finansowego, który ogarnął cały świat.

Kryptowaluty z BTC na czele miały zdemokratyzować finanse, uwolnić je od kontroli banków i rządów, tworząc nowy, zdecentralizowany porządek. Ta wizja przyciągnęła nie tylko miliony pionierów i wizjonerów, lecz także spekulantów i pospolitych przestępców.

W cieniu oszałamiających wzrostów wartości i technologicznych przełomów wyrosły imperia zbudowane na kłamstwie, chciwości i naiwności.

Przemysław Kral, obecny prezes Zondacrypto, oświadczył, że giełda jest w pełni wypłacalna. Jest tylko drobny problem. Cyfrowy klucz do tego skarbca posiada… zaginiony Sylwester Suszek!

Dlatego w latach 2010-2026 świat kryptowalut stał się areną jednych z najbardziej spektakularnych skandali finansowych w historii, w których łączna wartość strat przekroczyła, jak się szacuje, setki miliardów dolarów.

Pierwszą dużą aferą był upadek działającej w Tokio giełdy kryptowalut Mt.Gox, która w szczytowym momencie kontrolowała ponad 70% globalnego handlu bitcoinami. Założył ją w 2010 r. amerykański programista, przedsiębiorca i filantrop Jed McCaleb, który odsprzedał ją Francuzowi Markowi Karpelèsowi. W czerwcu 2011 r. anonimowy haker, wykorzystując skradzione dane, na krótko przejął kontrolę nad platformą. Później w wyniku błędu w oprogramowaniu bezpowrotnie utracono ponad 2,6 tys. bitcoinów wysłanych na nieistniejące adresy.

Apogeum kryzysu nadeszło na początku 2014 r. W lutym giełda najpierw wstrzymała wypłaty bitcoinów, tłumacząc to problemami z płynnością transakcji, a 24 lutego zawieszono wszelki handel i przestała działać strona internetowa. 28 lutego spółka złożyła w tokijskim sądzie wniosek o ochronę przed bankructwem i świat dowiedział się, że z giełdy zniknęło 850 tys. bitcoinów – 750 tys. należących do klientów i 100 tys. będących własnością spółki. Wartość skradzionych środków wynosiła wtedy ok. 450 mln dol., co w tamtym czasie było kwotą astronomiczną.

Później, ku zaskoczeniu wszystkich, Mark Karpelès ogłosił „odnalezienie" ok. 200 tys. bitcoinów w starym portfelu cyfrowym (używanym przed czerwcem 2011 r.), co zmniejszyło skalę strat do 650 tys. BTC. Stało się to podstawą długiego i skomplikowanego procesu upadłościowego. Po niemal dekadzie, pod koniec 2023 r., wierzyciele Mt.Gox zaczęli otrzymywać pierwsze spłaty, realizowane w jenach, a później w kryptowalutach. Upadek tokijskiej giełdy otworzył ranking największych afer związanych z tym rynkiem.

Ruża i inni

Postacią iście ikoniczną wśród aferzystów związanych z kryptowalutami była dr Ruża Ignatowa, obywatelka Niemiec bułgarskiego pochodzenia, z doktoratem z prawa i imponującym CV, które obejmowało m.in. studia na Oksfordzie. Wydawała się charyzmatyczną wizjonerką, gdy zapewniała, że jej firma OneCoin zmiecie z rynku bitcoiny. Nazywano ją „Królową Kryptowalut", a w rzeczywistości była jedną z największych i najbardziej bezczelnych oszustek w historii. Stworzyła globalną piramidę finansową, która pochłonęła ponad 4 mld dol.

Ruża odpaliła OneCoin w 2014 r., bazując na modelu marketingu wielopoziomowego. Inwestorzy nie kupowali samej kryptowaluty, lecz „pakiety edukacyjne" o wartości od 110 do ponad 100 tys. euro. Pakiety te zawierały tokeny, które rzekomo można było przeznaczyć na kopanie onecoinów. Prawdziwy zysk miał jednak pochodzić z rekrutowania nowych członków, za co otrzymywano hojne prowizje. Był to klasyczny mechanizm piramidy finansowej. Ignatowa przyciągała ofiary w trakcie starannie wyreżyserowanych wystąpień publicznych. 11 czerwca 2016 r. na scenie Wembley Arena w Londynie ubrana w ekstrawagancką suknię balową ogłosiła, że „za dwa lata nikt nie będzie już mówił o bitcoinie". Z lubością też powtarzała, że media nazywają onecoin „zabójcą bitcoina". Twierdziła, że ma ponad 2 mln aktywnych użytkowników – więcej niż jakakolwiek inna kryptowaluta. Jednak za lśniącą fasadą kryła się smutna prawda – system opierał się na prostej bazie danych, a wartość onecoinów była arbitralnie ustalana przez firmę, nie przez rynek.

Wszystko zawaliło się w roku 2017, gdy w USA wydano tajny nakaz aresztowania Ignatowej. 25 października 2017 r. Ruża wsiadła do samolotu lecącego z Sofii do Aten i ślad po niej zaginął. Na jej temat krążą różne opowieści. Jedni twierdzą, że została zamordowana, a ciało spoczywa w Morzu Jońskim, drudzy są przekonani, że mieszka w strzeżonym osiedlu w Kapsztadzie. Ktoś widział ją w Rosji… Jedno jest pewne, Ruża zniknęła tak jak później Sylwester Suszek.

Podobny los spotkał młodego Kanadyjczyka Geralda Cottena, który w 2013 r. założył giełdę QuadrigaCX. Jego historia przypomina scenariusz dobrego thrillera. Początkowo wszystko szło świetnie, lecz w 2018 r. jego klienci zaczęli mieć trudności z wypłatą pieniędzy. Okazało się, że kanadyjski bank CIBC zamroził 26 mln dol. kanadyjskich należących do giełdy, bo nie mógł zweryfikować właścicieli kont. W styczniu 2019 r. spółka poinformowała o nagłej śmierci swojego założyciela i prezesa Geralda Cottena. Umarł

eprasa.pl feab52a080

ponoć miesiąc wcześniej w Indiach z powodu komplikacji związanych z chorobą Leśniowskiego-Crohna. Wdowa po nim, Jennifer Robertson, złożyła w sądzie oświadczenie, które wstrząsnęło 115 tys. klientów giełdy: „Gerald Cotten był jedyną osobą, która posiadała prywatne klucze do elektronicznych portfeli, w których przechowywano większość aktywów klientów". Wraz z jego śmiercią na zawsze został utracony dostęp do kryptowalut o wartości szacowanej na 145-200 mln dol. Giełda QuadrigaCX ogłosiła upadłość. Później okazało się, że spółka nie prowadziła rzetelnej księgowości, nie miała formalnych biur ani nawet listy pracowników. Analitycy odkryli, że rzekome „portfele", do których klucze miał tylko Cotten, były od miesięcy puste, a środki klientów zostały przetransferowane na inne giełdy. Co stało się podstawą teorii, że Cotten – podobnie jak Ruża Ignatowa i Sylwester Suszek – ma się dobrze i żyje w jednym z egzotycznych krajów.

Pod koniec 2022 r. rynkiem kryptowalut wstrząsnęła informacja o upadku jednej z najbardziej wiarygodnych i innowacyjnych giełd na świecie – FTX. Jej założyciel Sam Bankman-Fried (SBF) uważany był za wizjonera i cudowne dziecko branży. Okazał się zwykłym złodziejem. Amerykańscy prokuratorzy nazwali potem upadek giełdy „świadomym oszustwem na gigantyczną skalę, jednym z największych w historii finansów USA". Klienci FTX stracili ok. 8 mld dol., a inwestorzy, którzy zaufali SBF, ok. 1,7 mld dol. Dochodzenie prowadzone przez eksperta od restrukturyzacji Johna J. Raya III (który wcześniej nadzorował upadłość Enronu) ujawniło szokującą prawdę. Jego zdaniem FTX nie był firmą, która popełniła błędy, lecz przekrętem od początku swojego istnienia. Pieniądze klientów giełdy były potajemnie i systematycznie przelewane do spółki zależnej Alameda Research, która używała ich do finansowania swoich ryzykownych transakcji handlowych, a także do zakupu luksusowych nieruchomości na Bahamach oraz na darowizny polityczne. W latach 2020-2022 ludzie z FTX i Alameda Research przekazali ponad 80 mln dol. na kampanie polityczne w USA. 57% otrzymali demokraci, 22% – republikanie (www.opensecrets.org/featured-datasets/49). Prezeską Alameda Research była partnerka SBF Caroline Ellison. W 2023 r. w trakcie procesu, który toczył się w sądzie na Manhattanie, Ellison w zamian za łagodny wymiar kary zgodziła się zostać kluczowym świadkiem oskarżenia. W marcu 2024 r. sędzia Lewis Kaplan skazał Sama Bankmana-Frieda na 25 lat więzienia i nakazał zapłatę wielomiliardowego odszkodowania. Caroline Ellison dostała dwa lata i obecnie jest już wolna.

Zaufanie, przejrzystość i odpowiedzialność są walutami, których nie da się ani wydrukować, ani zhakować.

Podobnych przykładów oszustw było znacznie więcej. W Chinach, Korei Południowej, Europie, a nawet w RPA.

Krajobraz po bitwie

W założeniach kryptowaluty miały dać ludziom pełną kontrolę nad ich pieniędzmi – bez możliwości zablokowania przelewu przez bank czy państwo. Pieniądz cyfrowy nie ma emitenta w postaci banku centralnego, a o ilości wyemitowanych walut nie decyduje władza zwierzchnia.

W praktyce okazało się, że próżnia regulacyjna przez lata stanowiła żyzny grunt dla oszustów. Dopiero spektakularne upadki giełd, takich jak Mt.Gox czy FTX, zmusiły rządy na całym świecie do podjęcia zdecydowanych działań i wprowadzenia ram prawnych mających chronić konsumentów i zapewnić im stabilność finansową.

Ewolucja przestępczości kryptowalutowej odzwierciedla też dojrzewanie samej technologii. Proste kradzieże z elektronicznych portfeli ustąpiły miejsca skomplikowanym operacjom finansowym, co zmusiło branżę kryptowalut do podnoszenia poziomu zabezpieczeń.

Dziś rynek kryptowalut jest pełen blizn, lecz są też oznaki odrodzenia. Każda afera, choć bolesna dla ofiar, stawała się katalizatorem zmian: lepszych praktyk bezpieczeństwa, solidniejszych regulacji i większej świadomości ryzyka wśród inwestorów.

Historia upadków giełd kryptowalut nie jest końcem opowieści, lecz kroniką burzliwej młodości tego rynku. To mroczne dziedzictwo stanowi dziś fundamentalną lekcję, która będzie kształtować przyszłość cyfrowych finansów. Przypomina, że zaufanie, przejrzystość i odpowiedzialność są walutami, których nie da się ani wydrukować, ani zhakować.

Marek Czarkowski



eprasa.pl feab52a080

PRZYGODY PANA RAFAŁA

Adwokat Rafał Rogalski nie daje o sobie zapomnieć

Andrzej Sikorski



Rafał Rogalski adwokatem został przypadkiem, po odbyciu aplikacji prokuratorskiej, dzięki tzw. lex Gosiewski, czyli otwarciu przez PiS zawodów prawniczych.

Przed Sądem Rejonowym w Nysie rozpoczął się proces lokalnego prawicowego ekstremisty oskarżonego o publikowanie w internecie wpisów znieważających starostę nyskiego i nawołujących do nienawiści na tle rasowym. Sprawa pewnie przeszłaby bez echa, ale obrońcą oskarżonego jest Rafał Rogalski, pełnomocnik Jarosława Kaczyńskiego w śledztwie smoleńskim, prezentujący przed laty absurdalne teorie Antoniego Macierewicza o zamachu na samolot prezydencki.

Rogalski i tym razem poszedł po bandzie. Zażądał wykluczenia sędziego Mariusza Ulmana, bo ten może być nieobiektywny. W ponadgodzinnej przemowie przypominającej akt oskarżenia Rogalski zarzucił sędziemu, że jest sympatykiem Izraela, ukrainofilem, wspiera ruchy LGBT, a dodatkowo nie szanuje porządku publicznego i jest zaangażowany politycznie przeciwko rządowi prawicy. Mało tego! Mecenas domagał się, aby sędzia ujawnił, czy ma korzenie żydowskie, a jeśli tak, to w którym pokoleniu, i czy ma paszport Izraela.

Według dr Katarzyny Gajowniczek-Pruszyńskiej, dziekan Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie, zachowanie Rogalskiego było „niedopuszczalne i sprzeczne z obowiązującymi standardami wykonywania zawodu adwokata". Ponadto „wypowiedzi adwokata na sali sądowej nie mogą naruszać godności osoby, do której są kierowane czy podważać powagi sądu, a posługiwanie się argumentacją opartą na uprzedzeniach i dyskryminacji nie może mieć miejsca w żadnej sytuacji". Jednak Rogalski twierdzi, że nie mógł postąpić inaczej; jego klient ma prawo do sprawiedliwego rozpatrzenia sprawy przez niezależny, bezstronny i niezawisły sąd, a sędzia Mariusz Ulman jako Żyd nie daje takiej gwarancji (sic!).

Choć Rogalski w zawodzie pracuje 18 lat, nie opanował podstaw rzemiosła. Być może dlatego, że nigdy nie miał mentora. Adwokatem został przypadkiem, po odbyciu aplikacji prokuratorskiej, dzięki tzw. lex Gosiewski, czyli otwarciu przez PiS zawodów prawniczych.

Aplikant prokuratorski ucieka

Rafała Rogalskiego poznałem wczesną jesienią 2010 r. w jego kancelarii w warszawskim Ursusie. Był wtedy u szczytu popularności medialnej, występując jako pełnomocnik Jarosława Kaczyńskiego. Nie o katastrofie smoleńskiej jednak rozmawialiśmy przez niemal trzy godziny, ale o jego problemach z prawem, gdy był jeszcze aplikantem w Prokuraturze Apelacyjnej w Warszawie i doktorantem prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Miałem nadzieję, że od tamtego spotkania, które wywarło na nim tak wielkie wrażenie, że aż się rozpłakał (z powodu swoich mało chwalebnych czynów), w Rogalskim zaszła przemiana, nabrał szacunku do innych osób i pokory wobec świata. Ale nie wygląda na to.

Gorące lipcowe popołudnie 2003 r., Jędrzychów, wioska na obrzeżach Nysy. Aneta T. jechała swoim Renault Clio. Na skrzyżowaniu zamierzała skręcić w lewo, zgodnie z przepisami włączyła kierunkowskaz i zbliżyła się do osi jezdni. Nie zdążyła wykonać manewru – nagle jakiś szaleniec z dużą prędkością ominął ją z lewej strony, uszkadzając jej samochód. Mężczyzna w Fordzie zatrzymał się kilkanaście metrów dalej, po chwili ruszył, nie sprawdzając, czy kobiecie nic się nie stało (na szczęście nie). Roztrzęsiona Aneta T. zadzwoniła po policję i do znajomego, Jerzego S., który pojawił się na miejscu. Policjanci sporządzili dokumentację, natomiast przyjaciel pani T. ruszył na poszukiwania pirata drogowego. Niedaleko przy jednej z posesji natrafił na uszkodzonego Forda Mondeo i jego kierowcę.

– Czy to ja pana uderzyłem? – spytał Rogalski, myśląc, że ma do czynienia z poszkodowanym, gdyż Jerzy S. miał identyczny samochód jak jego przyjaciółka.

– Dlaczego uciekł pan z miejsca wypadku? – odpowiedział pytaniem Jerzy S.

– Co to za konfabulacje?! Wie pan, kim jestem? Aplikantem prokuratorskim i adiunktem na wydziale prawa! – krzyczał poirytowany Rogalski.

eprasa.pl feab52a080

Przesłuchiwany przez policję przyznał, że to on kierował samochodem, ale winę zrzucił na Anetę T., która miała zajechać mu drogę. Zatrzymał się kilkanaście metrów dalej, by – jak twierdził – porozmawiać z kierującą na temat jej zachowania i popełnionego przez nią wykroczenia, ale że śpieszył się na pociąg, pojechał dalej. Dopiero gdy znajomy kobiety powiedział mu, co się stało, zauważył, że ma uszkodzony samochód. Rogalski wyraził żal, że nie porozmawiał z poszkodowaną.

Z akt sądowych wynika, że zawinili oboje – Aneta T. powinna była uważać, Rogalski jechać wolniej i nie uciekać z miejsca kolizji. W pierwszej instancji oboje zostali ukarani grzywną, w drugiej sprawa się przedawniła. Według Anety T. stało się tak dlatego, że Rogalski nie pojawiał się na rozprawach. On zaś twierdził, że „przez nieudolność sędzi".

akta sprawy w tym Wasze zeznania i doszedłem do jednoznacznego wniosku, że zeznania są fałszywe. Na marginesie podam, że stwierdził to również biegły w opinii (akta sprawy)!!! Zawiadomienie w sprawie fałszywych zeznań zostanie złożone dokładnie w dniu 8 września 2003 r. PROKURATOR z pewnością się ucieszy i będzie miał co robić!!! (…) Na koniec informuję Panią, że jeżeli przyjdzie do mnie pocztą jeszcze chociaż jedno wezwanie do zapłaty to się Pani tylko OŚMIESZY!!! A jestem przekonany, że i tak patrząc na to co Pani zrobiła słuchając rad »przyjaciela?« można się tylko śmiać. RaFaŁ RoGaLsKi" (w obu zacytowanych wiadomościach nazwiska podane były w pełnym brzmieniu – przyp. AS).

Aneta T. wysłała skargi na zachowanie Rogalskiego do Prokuratury Apelacyjnej w Warszawie, gdzie

Rogalski domagał się, aby sędzia Ulman ujawnił, czy ma korzenie żydowskie, a jeśli tak, to w którym pokoleniu, i czy ma paszport Izraela.

W międzyczasie kobieta próbowała uzyskać od Rogalskiego odszkodowanie za uszkodzony samochód. Na wysyłane wezwania młody prawnik reagował alergicznie. Oświadczył, że nigdy nie uczestniczył w żadnym wypadku drogowym, i zagroził procesami karnymi oraz cywilnymi za zniesławienie, a nawet powiadomieniem prokuratury, że T. chce wyłudzić od niego pieniądze. Wysyłał obraźliwe SMS-y i mejle.

SMS wysłany do Anety T. z telefonu należącego do Rogalskiego: „Możecie mi laskę zrobić z S. :). W marcu będziecie mieli AKT OSKARŻENIA z 212 KK na 100% :). Wysyłajcie dalej pisma :). Materiał dowodowy się TWORZY :)".

I fragment mejla: „Dodatkowo informuję Panią, jak również Pana S. – z pewnością ma Pani z nim kontakt – jak również koleżankę M., że zostanie złożone zawiadomienie o popełnieniu przez Państwa przestępstwa fałszywych zeznań (art. 233 k.k.). Bardzo wnikliwie przeanalizowałem odbywał aplikację, i na Uniwersytet Warszawski. Mężczyzna nie poniósł konsekwencji, ale według moich informacji przełożeni przeprowadzili z nim rozmowy dyscyplinujące.

– Rzeczywiście miejscami te mejle nie były zbyt miłe, ale też emocje przeze mnie przemawiały. Szlag mnie trafiał, że brużdżą mi wszędzie. Aktualnie inaczej bym postąpił. Trudno, stało się, byłem młodszy i głupszy – tłumaczył mi Rogalski.

Aplikant prokuratorski interweniuje

Rok po kolizji z panią T. przyszła gwiazda palestry znów trafiła przed oblicze wymiaru sprawiedliwości. Tym razem oprócz grzywny Rogalskiemu groziły trzy lata więzienia. Otóż spotkał na ulicy 11-letniego Bartosza, syna znajomych, który pokazywał mu nieprzyzwoite gesty i wypowiadał obraźliwe słowa, oparty o motorynkę z włączonym silnikiem. Rogalski wiedział, że chłopiec prowadził ją bez uprawnień i nie miał polisy ubezpieczeniowej. Podszedł do Bartka, by zmusić go do wyłączenia silnika i porozmawiać na temat jego niestosownego zachowania. W aktach to działanie zostanie nazwane „interwencją obywatelską". Jednak sprawy wymknęły się spod kontroli.

Z zeznań Bartosza: „Podjechałem pod kościół w Jędrzychowie (…) do kolegi o imieniu Radek lat 8. On tam czytał ogłoszenia pod kościołem. Ja stanąłem koło niego, zgasiłem motorek i razem przeglądaliśmy ogłoszenia na tablicy. Gdy tak siedziałem, słyszałem jakieś okrzyki. Ja zauważyłem w lusterku, że biegnie Rafał Rogalski. Nie wiem, co on krzyczał, nie zrozumiałem go. Widząc go, się przestraszyłem. Przejechałem 3-5 m, gdy w tym momencie poczułem szarpnięcie. On się chwycił rękoma za uchwyt na kufer znajdujący się na końcu motoroweru. Gdy chciałem przyśpieszyć, to motor nie przyśpieszał, a on mnie trzymał cały czas. Tak przejechaliśmy ok. 50 m. Gdy tak jechałem, to on umyślnie kołysał mną na prawo i lewo, raz w lewo, raz w prawo, on chciał mnie w ten sposób przewrócić. I faktycznie to się jemu udało. Po przejechaniu ok. 50 m przewróciłem się na asfaltową drogę. Tzn. on mnie wywrócił w wyniku tego kołysania. Ja w wyniku tego upadku doznałem urazu kolana i mam nogę w gipsie. (…) Chcę dodać, że nie udzielił mi żadnej pomocy medycznej, choć musiał widzieć u mnie krew na nodze i rękach".

Rogalski utrzymywał, że wcale nie biegł za Bartoszem, ale spokojnie do niego podszedł. Jedną ręką złapał go za ramię, a druga zaklinowała mu się w kufrze. Wtedy 11-latek ruszył i ciągnął go po asfalcie. Krzyczał, aby Bartosz się zatrzymał, ale ten nie reagował. Sam doznał obrażeń ciała i zniszczył drogi garnitur. Gdy udało mu się uwolnić, wsiadł do samochodu i odjechał. Nie zainteresował się poturbowanym dzieckiem.

Bezpośrednim świadkiem zdarzenia był ośmioletni kolega Bartosza, który potwierdził jego wersję. Psycholog stwierdził, że chłopcy mówią prawdę. Sprawa trafiła do sądu. W międzyczasie matka Rogalskiego

eprasa.pl feab52a080


Nie wiadomo, kto Rogalskiego polecił prezesowi PiS na pełnomocnika w śledztwie smoleńskim, ale wybór ten nie okazał się dobry.

próbowała wpłynąć na rodzinę Bartosza, by wycofała sprawę, gdyż z jej powodu kariera prokuratorska syna może się zakończyć. Sam kandydat na prokuratora też nie marnował czasu. Jak zeznał ojciec Bartosza, Rogalski telefonował do jego brata i odgrażał się, że jeśli sprawa karna nie zostanie wycofana, ojciec chłopaka będzie musiał zapłacić za zniszczony garnitur i straci prawa rodzicielskie.

W sądzie sprawa przybrała nieoczekiwany obrót. Kolejny biegły podważył zeznania chłopców, a Rogalski został uniewinniony, choć podczas wizji lokalnej udowodniono, że wydarzenia nie mogły przebiegać tak, jak to opisywał w śledztwie.

Rzecz miała ciąg dalszy. Rogalski wracał z wieczornego spaceru, gdy natknął się na będących pod wpływem alkoholu braci L. – ojca i stryja Bartosza. On mikrej postury, oni – chłopy jak dęby. Schwytali go i zagrozili, że z nim skończą. Pobili, rzucali o płot, wrzucili w zarośla, mieli zamiar zawlec go do pomieszczenia, gdzie była piła tarczowa, włączyć ją i rżnąć. Na szczęście udało mu się uciec. Zawiadomił policję, odbył się proces, bracia L. zostali skazani.

Ofiara wszystkich ofiar

Gdy rozmawiałem z Rogalskim o tamtych wydarzeniach, twierdził, że padł ofiarą „spisku", „misternego planu", „pomówień", „prowokacji" i „prób skompromitowania". Jednak wrogom nie udało się mu zaszkodzić. Prokuratorem co prawda nie został (jak twierdzi, przez chorobę), ale w 2007 r. wpisano go na listę radcowską i dostał posadę w Ministerstwie Sprawiedliwości u Zbigniewa Ziobry. Długo tam nie zagrzał miejsca, bo upadł rząd PiS, LPR i Samoobrony. Jednak w 2008 r. Rogalski był już adwokatem, został jednym z pełnomocników rodzin zmarłych pacjentów dr. Mirosława G., kardiochirurga ze stołecznego szpitala MSWiA.

Przypomnijmy: na początku 2007 r. dr Mirosław G. został zatrzymany przez CBA w szpitalu i wyprowadzony w kajdankach. Postawiono mu kilkadziesiąt zarzutów, w tym zabójstwa pacjenta, a Ziobro na konferencji prasowej wypowiedział słynne słowa: „Już nikt nigdy przez tego pana życia pozbawiony nie będzie". Po latach okazało się, że G. nikogo nie zamordował, a skazano go jedynie za przyjęcie kilkunastu tysięcy złotych łapówek.

„Gazeta Wyborcza" tak opisywała rolę Rogalskiego: „Na początku 2008 r. brawurowo zaangażował się w sprawę dr. G. Chciał go nawet oskarżyć o maltretowanie żony, choć wcześniej prokuratura to umorzyła. To on wymyślił, by opinii w sprawie sztuki lekarskiej dr. G. szukać za granicą. Pracował pro bono, podkreślał, że jest sympatykiem PiS i jest z tego dumny. Wtedy zaczęli się do niego zgłaszać politycy PiS, a w końcu i Lech Kaczyński".

Rogalski prowadził sprawy o zniesławienie prezydenta przez Janusza Palikota i Stefana Niesiołowskiego (obie przegrane). Nie wiadomo, kto go polecił prezesowi PiS na pełnomocnika w śledztwie smoleńskim, ale były szef kancelarii Lecha Kaczyńskiego Andrzej Urbański mówił w 2013 r., że „osoba, która przyprowadziła Rogalskiego, powinna zostać rozstrzelana przez Jarosława Kaczyńskiego". Chodzi o to, że Rogalski najpierw zaangażował się w sprawę, opowiadając brednie o zamachu (np. „są tropy, że hel w Smoleńsku mogli rozpylić przedstawiciele Federacji Rosyjskiej" albo „Rosjanie mieli motyw, by przeprowadzić zamach na prezydenta"), oskarżał Donalda Tuska o zdradę i oddanie śledztwa w ręce Rosjan. Potem zmienił front i stwierdził, że uznaje zamach smoleński „za nieprawdopodobny" i od początku nie wierzył w teorie spiskowe lansowane przez Antoniego Macierewicza. Część prawników uznała, że Rogalski naruszył kodeks etyki adwokackiej, bo negując zamach i atakując Macierewicza, zaatakował też poglądy swojego byłego mocodawcy, czyli Jarosława Kaczyńskiego.

Mecenasi Krzysztof Stępiński i Jacek Kondracki tak to ocenili: „Relacje adwokata z klientem są bardzo szczególne. Ich podstawą jest pełne zaufanie, którego adwokat nie może zawieść. Nawet wtedy, gdy pełnomocnictwo wygaśnie. (…) Czasem klient powierza adwokatowi informacje najwyższej wagi, czasem niemal nieistotne. Ich charakter nie ma znaczenia. Zasada morda w kubeł na zawsze to standard etosu i etyki, choć brzmi wulgarnie. Zakładamy, że adw. Rogalski spędził z rodzinami katyńskimi wiele godzin. To nic nadzwyczajnego. W takiej sprawie jak katastrofa smoleńska adwokat reprezentujący pokrzywdzonych jest także terapeutą. Dlatego nas, starych adwokatów, szokuje, że po trzech latach bliskich relacji z klientami adw. Rogalski poszedł do mediów i powiedział to, co powiedział. Zrobił klientom świństwo. Zawiódł ich zaufanie, a siebie i adwokaturę wystawił na pośmiewisko".

Andrzej Sikorski

FOT. JACEK WASZKIEWICZ/ REPORTER, JAN KUCHARZYK/ EAST NEWS

eprasa.pl feab52a080

Dlaczego PSL popiera kandydaturę Mateusza Szpytmy na prezesa IPN?

Paweł Dybicz

Składające się w ogromnej mierze z nominatów PiS Kolegium Instytutu Pamięci Narodowej wskazało parlamentowi dr. Mateusza Szpytmę jako kandydata na prezesa instytutu. Co prawda, kandydatów było dziesięciu, w większości absolutnie nieznanych, ale wybór Szpytmy był pewny. Dotychczasowy wiceprezes IPN był faworytem pisowskich członków kolegium, ludzi o poglądach nie tylko jawnie prawicowych, ale wręcz skrajnych, jak w przypadku przewodniczącego kolegium prof. Wojciecha Polaka, prof. Mieczysława Ryby, prof. Andrzeja Nowaka czy Bronisława Wildsteina.

W czasie przesłuchań konkursowych Szpytma, przedstawiając się jako kandydat merytoryczny, silnie zakorzeniony w strukturach IPN, znający instytut od wewnątrz, deklarował, że planuje w nim „pewne korekty". W rzeczywistości są one kosmetyczne (słyszał ktoś, by je zgłaszał?), a sztandarowym projektem na lata jego kadencji ma być naukowo-dokumentacyjny „Rejestr zbrodni 1939-1956". Tak więc byłaby to kontynuacja obowiązującej za poprzedników polityki historycznej, czyli ciągła walka z prosowiecką władzą i jej bezpieczniackim aparatem. Ciekawe, że Szpytma nie odniósł się do niemalejącego (nadal ok. 70 osób) mimo coraz mniejszej liczby spraw do rozpoznania pionu prokuratorskiego. Nie bardzo też wie, co zrobić z dziesiątkami tysięcy niesprawdzonych oświadczeń lustracyjnych.

Kolegium IPN wybrało, teraz kolej na Sejm i Senat. Wydaje się, że w Sejmie kandydatura Szpytmy ma duże szanse, a to za sprawą… PSL. Przewodniczący jego Rady Naczelnej i jednocześnie wicemarszałek Sejmu z poręki Stronnictwa już bowiem poinformował, że jego ugrupowanie poprze Szpytmę.

Kim jest dr Mateusz Szpytma, że ma poparcie ludowców? Trafnie określił go w tekście Estery Flieger w „Rzeczpospolitej" były wieloletni dyrektor sekretariatu prezesa IPN dr Krzysztof Persak: „Postrzegam go jako osobę z formacji pisowskiej od lat oddelegowaną do kontaktów z ludowcami". To oddelegowanie znalazło odbicie w publikacjach i konferencjach organizowanych przez Szpytmę, poświęconych głównie ruchowi ludowemu w Polsce Ludowej.

Szpytma odpowiada peeselowcom, bo realizuje ich obecną wizję przeszłości Polski i ich ugrupowania. Sprowadza się ona do tego, że w czasie II wojny niemal cała wieś pomagała Żydom, poza wyjątkami wszyscy byli jak rodzina Ulmów, tylko Niemcy ich nie rozstrzelali. Powojenne PSL zaś było zawsze w opozycji do komunistów, ludowcy stawiali opór, za co byli represjonowani. Biorą na sztandary Stanisława Mikołajczyka, ale wyrzucają z pamięci to, że twórca powojennego PSL nie chciał się bratać z podziemiem, a za jego czasów prasa ludowa o „żołnierzach wyklętych" pisała „bandy", często z dodatkiem „leśne". A że zapomina się o ZSL czy takich postaciach jak Władysław Kiernik? To już efekt pracy młynów historii i decyzji/poglądów liderów Stronnictwa, nawet jeśli są dziećmi działaczy PRL.

Ludowcy biorą na sztandary Mikołajczyka, ale wyrzucają z pamięci to, że nie chciał się bratać z podziemiem.

Wicemarszałek Piotr Zgorzelski z PSL oświadczył w Polsat News, że nie ma żadnych wątpliwości, iż Szpytma to „świetny kandydat", którego koncyliacyjność, wiedza i doświadczenie w pracy w IPN predestynują do kierowania instytutem. Co więcej, zapowiedział, że PSL będzie przekonywać do tej kandydatury koalicjantów z rządu.

Dlaczego ludowcom tak zależy na wybraniu Szpytmy? Chcą ubić interes z PiS i Karolem Nawrockim, mianowicie znieść dwukadencyjność władz samorządowych, w których mają wielu zasiedziałych wójtów i starostów. I może, niejako w darze dla obecnych koalicjantów, załatwić uznanie przez Nawrockiego wybranej czwórki sędziów za pełnoprawnych członków Trybunału Konstytucyjnego. Zgorzelski i jego koledzy chcą zapomnieć, że już raz zrobili deal z PiS w sprawie prezesa IPN i to oni za poparcie Marcina Wiącka na funkcję RPO zagłosowali za kandydaturą Nawrockiego na prezesa IPN. Dziś oceniają go krytycznie, zarzucając mu bycie „wykonawcą woli politycznej PiS", przez co współpraca z nim staje się coraz trudniejsza, ale są współodpowiedzialni za to, że został prezydentem.

Jest jeszcze jedna sprawa związana z ewentualnym wyborem Szpytmy – żadne cięcie budżetu instytutu nie będzie wówczas wchodziło w rachubę. PSL nie zgodzi się na okrojenie funduszy, nawet jeśli będzie to postulował minister Domański, a koalicjanci poprą. No bo jak można umniejszać władztwo własnego kandydata? Poza tym, gdyby ludowcom nie poszło w wyborach parlamentarnych, mogliby znaleźć jakieś posady u orędownika selektywnej historii ruchu ludowego.

Ewentualny wybór Szpytmy musi jeszcze zatwierdzić Senat, gdzie pisowcy i ludowcy są w mniejszości. Będzie pat, ale to niczego nie zmieni w działalności IPN, bo nadal będą w nim rządzić ludzie pokroju Nawrockiego. ■

eprasa.pl feab52a080



Z Galicji Jan Widacki

Plus ratio quam zwis?

Muszę zacząć od wyjaśnienia. *Plus ratio quam vis* (rozum przed siłą) jest oficjalną dewizą Uniwersytetu Jagiellońskiego od czasu jego jubileuszu w roku 1964. Ta krótka sentencja zawiera wielką mądrość, że rozum znaczy więcej niż siła. Znaczy więcej, czyli więcej możemy osiągnąć myślą niż przemocą. W dewizie tej zawarta została też wskazówka co do hierarchii wartości. Myślenie i posługiwanie się rozumem nie tylko jest skuteczniejszym narzędziem działania niż stosowanie przemocy, ale również znajduje się wyżej w hierarchii wartości. A więc myślenie nie tylko ma wyższą wartość pragmatyczną niż siła i przemoc, lecz także góruje w sensie metafizycznym. Chodzi o wyższość moralną. Można to rozwijać dalej. Przemocą nie da się zniszczyć rozumu, rozum na koniec zwycięży itd.

Bardzo to mądre i piękne. Co więcej, zapewne prawdziwe. Ale jest jeden warunek. Musi być wola uruchomienia myślenia. Wola użycia rozumu w celu pokonania czegoś niemądrego, narzuconego siłą. A z tym u nas bywa gorzej.

W środowiskach naukowych powszechne jest narzekanie. Nie tylko zresztą w środowiskach naukowych – chyba ogólnie bardzo lubimy narzekać. Także krytykować wszystko i wszystkich, nie biorąc za nic odpowiedzialności. To niezwykle wygodna postawa. Otóż w środowiskach naukowych narzekamy na niskie zarobki, na kiepskie finansowanie nauki, na narzucanie pracownikom naukowym coraz liczniejszych obowiązków biurokratycznych, odrywających ich od tego, co robić powinni, czyli od pracy naukowej. Na niesprawiedliwy rozdział grantów, na archaiczną organizację studiów, na idiotyczny system punktacji dorobku, dzięki któremu premiowani są nie ci, co mądrze piszą, tylko ci, którzy wiedzą, gdzie aktualnie warto publikować. Ten system demoralizuje, promuje cwaniaków i spryciarzy. Są bowiem, jak się okazuje, czasopisma krajowe, wydawałoby się prowincjonalne, o których mało kto słyszał, a za opublikowanie w nich artykułu można dostać liczbę punktów porównywalną z tą otrzymywaną za publikację w najlepszych światowych periodykach. Albo za dwutomową monografię opublikowaną nawet w dobrym wydawnictwie można dostać tyle samo punktów, ile za artykuł w czasopiśmie wychodzącym gdzieś na Podlasiu. Osobiście nie mam nic przeciw Podlasiu, to piękna i ciekawa pod każdym względem kraina, ale niekoniecznie jest to promieniujący na świat ośrodek naukowy.

Kiedyś moi profesorowie uczyli mnie, że zanim napiszę jedną stronę, powinienem przeczytać sto. Teraz mistrzami, rekordzistami w liczbie zebranych punktów są często ci, którzy chyba więcej napisali, niż przeczytali. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego od trzech lat próbuje podobno naprawić ten idiotyczny system punktowy, ale jak dotąd bez efektu. Dobita reformą gowinową z czasów rządu PiS nauka polska ledwie dyszy. Ale najgorsze jest to, że wszystko dzieje się przy całkowitej bierności, apatii środowiska naukowego. Niedawno jedna z szacownych instytucji naukowych zorganizowała konferencję na temat programów nauczania na studiach prawniczych. W Krakowie są cztery wydziały prawa – czy może już nawet pięć – na których pracuje łącznie kilkaset osób. Przyszły cztery osoby…

Nauka polska, dobita reformą gowinową, ledwie dyszy. Ale najgorsze jest to, że wszystko dzieje się przy bierności i apatii środowiska naukowego.

W dużym ośrodku naukowym, mieście kilku uniwersytetów i licznych towarzystw naukowych, na posiedzenia naukowe przychodzą garstki pasjonatów. Życie naukowe tli się. Mimo to dzieją się też rzeczy wielkie, powstają znakomite książki i artykuły, prowadzi się wartościowe badania naukowe, których efekty są doceniane w świecie. To wszystko prawda. Tyle że to wszystko dzieje się niemal na marginesie instytucjonalnej nauki. Liczne środowisko naukowe mogłoby wymusić konieczne zmiany na tych, którzy administrują nauką. Mogłoby użyć myślenia, pokazać siłę rozumu i przełamać to, co utrudnia rozwój nauki. Mogłoby stanowić skuteczną grupę nacisku. Mogłoby. Ale musiałoby chcieć. A nic nie wskazuje na to, by jakoś szczególnie chciało. Ludzie przekonali się, że nie mają na nic wpływu – tłumaczył mi kolega profesor – uważają, że szkoda czasu, a poza tym można się narazić. Ponadto, przekonywał mnie, „ludziom to wisi". Obawiam się, że tak jest, ale i pocieszam, że to jakaś taka przejściowa apatia.

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl feab52a080



SMUTNY DZIKA LOS

Kontrowersje wokół odstrzałów w miastach to wynik nieskutecznej walki z afrykańskim pomorem świń

Kornel Wawrzyniak

Chodzenie na skróty rzadko kiedy przynosi dobre efekty. Ostatnie tygodnie pokazały to dobitnie w kontekście radzenia sobie z dzikami w przestrzeni miejskiej. Uwagę opinii publicznej przykuła szczególnie sytuacja w stolicy. W warszawskich dzielnicach dochodziło do scen, które wzbudziły ogromne emocje: lochy z warchlakami były uśmiercane na oczach mieszkańców. Sprawa wywołała protesty pod ratuszem i ponownie zaogniła debatę o tym, jak rozwiązywać problem dzikiej zwierzyny w miastach. Zdaniem wielu ekspertów i aktywistów rosnąca liczba dzików w miastach to nie przypadkowe zjawisko, lecz konsekwencja błędnych decyzji podejmowanych w ramach zwalczania afrykańskiego pomoru świń (ASF).

Ludzkie zaniedbania

Problem widoczny w 2026 r. ma korzenie jeszcze w 2014 r., kiedy na granicy z Białorusią zaczęto odnotowywać pierwsze przypadki ASF. Ich liczba wzrastała z roku na rok i pod koniec 2018 r. stała się naprawdę niepokojąca. W 2019 r. decydenci zarządzili masowy odstrzał dzików jako główną strategię walki z ASF. Dr inż. Robert Mysłajek z Uniwersytetu Warszawskiego zwracał wtedy uwagę, że za większość przypadków przenoszenia ASF na trzodę chlewną odpowiadają nie dziki, lecz ludzie. Wirus przenoszony jest m.in. na obuwiu, ubraniach czy w paszy. Kluczowa w walce z chorobą bioasekuracja w praktyce okazała się trudna do egzekwowania.

Zasady higieny – takie jak odkażanie obuwia na specjalnych matach czy unikanie bezpośredniego przechodzenia z lasu do chlewu – wymagały od rolników dodatkowych nakładów finansowych i organizacyjnych. Część środowiska hodowców sprzeciwiała się tym wymogom, twierdząc m.in., że państwo chce ich zrujnować. Niezadowolenie na wsiach rosło. Nagle ciężar walki z afrykańskim pomorem świń przeniesiono na redukcję populacji dzików. Było to przede wszystkim zagranie polityczne. Rządzące wówczas Prawo i Sprawiedliwość zyskało kilka politycznych punktów, „upraszczając" rolnikom życie, a jednocześnie pompując miliony złotych do Polskiego Związku Łowieckiego.

Masowy odstrzał trwa nieprzerwanie do dziś. I nic nie wskazuje, aby cokolwiek dawał. Pod koniec 2024 r. Państwowa Rada Ochrony Przyrody (PROP) negatywnie zaopiniowała „Krajowy plan walki z ASF", podkreślając wysokie koszty, brak

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

eprasa.pl feab52a080

Miasta stały się dla zwierząt atrakcyjnym azylem: oferują łatwy dostęp do pożywienia, brak naturalnych drapieżników i względne bezpieczeństwo przed polowaniami.

dowodów na jego skuteczność oraz poważne konsekwencje dla ekosystemów. Zdaniem naukowców opieranie strategii zwalczania ASF na intensywnym odstrzale dzików od lat nie przynosi oczekiwanych efektów.

„Plan prezentuje pozbawioną podstaw naukowych aprobatę dotychczasowych działań, połączoną z kolejnym rokiem wydawania publicznych pieniędzy na działania o nieznanej efektywności (...). Biorąc pod uwagę koszty wdrażania Planu, oznacza to kontynuację polityki bezwarunkowego transferu ogromnych środków publicznych do Polskiego Związku Łowieckiego", czytamy w opinii PROP. Specjaliści z Państwowej Rady Ochrony Przyrody wskazywali również, że w „Krajowym planie walki z ASF" nie przedstawiono żadnych informacji o kosztach odstrzałów z poprzednich lat. Postanowili więc sami to policzyć. Bazując na obowiązujących stawkach za odstrzał (650 zł za samicę i 300 zł za pozostałe osobniki), PROP wyliczyła, że między 2019 a 2024 r. wydaliśmy w Polsce minimum 597,5 mln zł na tę nieskuteczną walkę.

Paradoksów jest więcej. Część specjalistów ostrzega, że rosnąca liczba dzików w miastach to m.in. efekt masowego odstrzału prowadzonego w związku z ASF. Na możliwe źródła tego zjawiska zwrócił uwagę Michał Żmihorski z Instytutu Biologii Ssaków Polskiej Akademii Nauk w Białowieży w komentarzu opublikowanym na platformie X. Napisał, że obecność dzików w miastach może być pośrednim skutkiem intensywnych odstrzałów prowadzonych poza obszarami zurbanizowanymi w ramach walki z afrykańskim pomorem świń. Zwierzęta szybko się nauczyły, że miasta pozostają jednymi z nielicznych miejsc wolnych od presji łowieckiej.

Według danych GUS w 2016 r. populacja dzików w Polsce liczyła ok. 260 tys. osobników. Dziś szacuje się ją na ok. 60 tys. Miasta stały się dla zwierząt atrakcyjnym azylem: oferują łatwy dostęp do pożywienia, brak naturalnych drapieżników i względne bezpieczeństwo przed polowaniami. Jednocześnie infrastruktura – zwłaszcza źle zabezpieczone altany śmietnikowe – sprzyja ich obecności.

Mimo wybijania dzików ognisk ASF wcale nie ubywa. Wręcz przeciwnie, ich liczba wzrasta. W 2023 r. odnotowano ponad 1 tys. ognisk choroby, w 2024 r. – ponad 1,8 tys., a w 2025 r. ok. 3,4 tys. „Od lat wydajemy setki milionów złotych na masowe zabijanie dzików, mimo że nauka jasno pokazuje, że nie jest to skuteczna metoda walki z ASF. Państwo finansuje działania, które niszczą przyrodę, a jednocześnie nie rozwiązują problemu choroby", wytyka w mediach Radosław Ślusarczyk z Pracowni na rzecz Wszystkich Istot.

Miasto w potrzasku przepisów

Według danych Urzędu m.st. Warszawy liczba dzików w stolicy wynosiła w 2025 r. 3031 i rośnie. Wzrosła też liczba zgłaszanych zdarzeń z udziałem dzików. W 2020 r. było ich 432, a w zeszłym roku aż 8804. Miasto stołeczne ma wyraźny problem. Tylko w pierwszej połowie kwietnia w Warszawie i okolicach doszło do trzech groźnych incydentów. W Forcie Bema mężczyzna skończył z poszarpanym udem. Na Białołęce młoda kobieta straciła wczesną ciążę, po tym jak wystraszyła się dzika. Wreszcie w Wołominie została pogryziona seniorka. Od początku 2026 r. w samej Warszawie odnotowano ponad 120 niebezpiecznych zdarzeń. Prezydent Rafał Trzaskowski tłumaczył: „Jeśli dziki wchodzą na place zabaw, nie mamy wyboru. Naszym obowiązkiem jest zapewnienie bezpieczeństwa mieszkańcom".

Warszawa znajduje się w swoistej pułapce prawnej. Z jednej strony, przepisy związane z ASF uniemożliwiają odłów dzików i ich wywóz poza miasto. Z drugiej, obowiązuje zakaz płoszenia zwierzyny łownej. W praktyce w myśl obowiązujących przepisów jedynym legalnym narzędziem do dyspozycji władz wydaje się odstrzał dzików.

I właśnie on doprowadził do sytuacji, które wzburzyły opinię publiczną. Pod koniec lutego portal OKO.press opisał przypadek lochy, która oprosiła się na terenie szpitala psychiatrycznego. Zwierzę zostało zabite, następnie uśmiercono także młode. Sprawa stała się impulsem do dyskusji o standardach humanitarnego postępowania służb. Pod koniec marca na Bemowie na ogrodzonym placu zabaw zamknięto 12 warchlaków i cztery lochy, po czym dokonano ich odstrzału. Wszystko w obecności mieszkańców, nawet dzieci. W okresie wielkanocnym media informowały również o podobnych działaniach podejmowanych na Mokotowie. Lasy Miejskie przeprosiły za te zdarzenia, a prezydent Rafał Trzaskowski zapowiedział, że podobne akcje nie będą przeprowadzane na oczach mieszkańców.

Według Urzędu m.st. Warszawy liczba dzików w stolicy wynosiła w 2025 r. 3031 i rośnie. Więcej jest też zgłoszeń o zdarzeniach z udziałem dzików.

„W sprawie dzików Rafał Trzaskowski zaufał myśliwym, a nie naukowcom. I to nie działa, bo dzików wciąż przybywa. Prezydent wydaje decyzje blankietowe, obejmujące setki zwierząt, z góry uzasadniając je bezpieczeństwem. Tymczasem nie ma weryfikacji, czy dana sytuacja rzeczywiście stanowi szczególne zagrożenie dla obiektów użyteczności publicznej", stwierdziła w rozmowie z „Gazetą Wyborczą" adwokatka Karolina Kuszlewicz.

Zapewnienia prezydenta stolicy nie wystarczyły jej mieszkańcom. Dlatego 15 kwietnia pod ratuszem zebrało się ponad 100 osób, aby zaprotestować przeciwko obecnej polityce miasta wobec dzików. Protestujący apelowali o wstrzymanie

eprasa.pl feab52a080

odstrzału, powołanie rady ekspertów oraz wprowadzenie alternatywnych metod zarządzania populacją dzików. „Strzelanie do dzików pod dyktando myśliwych jest totalną drogą na skróty, a od prezydenta europejskiej stolicy oczekujemy czegoś więcej niż takich łopatologicznych rozwiązań”, zaznaczał podczas protestu Piotr Cykowski z ruchu społecznego Akcja Demokracja.

Nasze miejskie dziki

Liczba dzików w miastach niezaprzeczalnie się zwiększa. Urząd miejski w Łodzi podaje, że orientacyjnie ich populacja w ostatnich latach wzrosła z ok. 2 tys. do nawet 3 tys. osobników. Miasta takie jak Bydgoszcz, Białystok i Olsztyn przekazały Polskiej Agencji Prasowej dane o liczbie zgłoszeń mieszkańców i służb w sprawie dzików. W Bydgoszczy w 2025 r. było ich 100, rok wcześniej tylko 17. W Białymstoku do 9 kwietnia 2026 r. odnotowano 83 zgłoszenia, tymczasem w całym 2025 r. – 98. Straż miejska w Olsztynie w pierwszym kwartale 2026 r. otrzymała 91 zgłoszeń mieszkańców, podczas gdy w 2025 r. miała ich 184.

Dr hab. Jakub Gryz z Instytutu Badawczego Leśnictwa wskazuje w rozmowie z PAP, że powodem obecności dzików w miastach jest urbanizacja pochłaniająca lasy, łąki i pola. „Najczęściej to ludzie wkroczyli na obszar, na którym żyły dzikie zwierzęta. W Warszawie zabudowany ma zostać Łuk Siekierkowski, który jest ostoją dzików i innych zwierząt, znikają łąki, są plany zabudowy okolic Jeziorka Czerniakowskiego”, podkreśla naukowiec. Zaznacza też, że podstawą koegzystencji ludzi i dzikich zwierząt jest racjonalnie prowadzona gospodarka przestrzenna, która bierze pod uwagę to, że zabudowywany teren może być już zamieszkany przez inne gatunki niż ludzie.

Mimo narracji o zagrożeniu badania opinii publicznej z dużych europejskich miast, takich jak Berlin, Barcelona czy Gdańsk i Kraków, pokazują, że mieszkańcy nie mają problemu ze współistnieniem z dzikami. „Przegląd Otwocki” opublikował w ubiegłym roku ankietę dotyczącą poparcia mieszkańców dla odstrzału dzików. Miasto zmaga się z problemem od kilku lat. Mimo to aż 81% respondentów odpowiedziało, że są przeciwni odstrzałowi redukcyjnemu. 19% ankietowanych było innego zdania. Przeciwko odstrzałom protestują przede wszystkim organizacje społeczne i aktywiści, ale także zwykli mieszkańcy. Pod petycją sprzeciwiającą się zabijaniu dzików podpisało się już co najmniej 7 tys. osób. Proponowane są różne rozwiązania nieśmiercionośne.

Mimo wybijania dzików ognisk ASF wcale nie ubywa, wręcz przeciwnie.

„Kraków stosuje antykoncepcję u gołębi. Immunoantykoncepcja to metoda, która będzie się rozwijać i powinna być testowana również w przypadku dzików. Warszawa mogłaby zostać liderem takich działań”, komentuje w mediach Marta Szczepańska z ruchu Miasto Jest Nasze. Inne pomysły obejmują m.in. odpowiednie zagospodarowanie zieleni miejskiej, sadzenie roślin odstraszających zwierzęta, odsunięcie obwodów łowieckich od granic miasta czy powołanie stałych zespołów eksperckich analizujących przyczyny konfliktów ludzko-zwierzęcych w konkretnych lokalizacjach.

Dzięki presji aktywistów i protestujących mieszkańców warszawski ratusz zapowiedział utworzenie zespołu eksperckiego, który zajmie się problemem dzikich zwierząt w Warszawie. Warto jednak podkreślić, że działacze miejscy zabiegali o radę ekspercką od listopada 2025 r., a ich prośby były ignorowane. „W końcu mamy przełom. Miasto nie może dłużej utrzymywać stanowiska, że uśmiercanie tych zwierząt to skuteczne i jedyne rozwiązanie”, poinformowało 16 kwietnia Miasto Jest Nasze.

Niestety, to nie rozwiązuje kwestii odstrzału dzików w innych miastach. Rzecznik prezydenta Torunia Marcin Centkowski stwierdził w mediach, że m.in. wzmożone odstrzały prowadzone przez koła łowieckie na granicy miasta i regularny odstrzał redukcyjny w mieście pozwalają utrzymać populację dzików „na akceptowalnym poziomie”. Ma to jednak konsekwencje. Lekarz weterynarii Dorota Sumińska wskazuje, że masowy odstrzał może dawać odwrotny efekt: „Badania pokazują, że odstrzał powoduje wzrost populacji i jej degenerację. Młode lochy rozmnażają się częściej, nawet trzy razy w roku. Gdyby nie strzelać, populacja byłaby stabilna”.

Aktywiści przypominają jeszcze o potencjalnych konfliktach interesów i apelują o odsunięcie myśliwych od wpływu na politykę miejską. Tutaj jednak w grę wchodzą ogromne pieniądze, liczone w milionach złotych. Myśliwi i ich lobbyści tak łatwo nie odpuszczą. Warszawa mimo obietnicy utworzenia zespołu ekspertów nie zamierza na razie rezygnować z odstrzałów. Przedstawiciele organizacji społecznych zapowiadają więc dalsze działania monitorujące oraz presję na rzecz zmiany podejścia do problemu. Szczególną uwagę mają poświęcić nowo powołanemu zespołowi, który ma wypracować systemowe i bezkrwawe rozwiązania. Czy tym razem miasto przestanie chodzić na skróty?

Lek. wet. Dorota Sumińska: Badania pokazują, że odstrzał powoduje wzrost populacji i jej degenerację.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl feab52a080

Refleksje pesymisty



Andrzej Romanowski

Zagłada Leszna

Mija 370 lat od zagłady Leszna. O tym epizodzie naszych dziejów rzadko się pamięta. A jeśli już go się zauważa, to z wyjaśnieniem, że był to odwet za zdradę. Czy jednak rzeczywiście? W początkach potopu szwedzkiego zdradzali niemal wszyscy: protestanci i katolicy. Naturalnie były wyjątki – takie jak Jasna Góra. Ale bez porównania dłużej opierał się Szwedom niemieckojęzyczny, luterański Gdańsk.

Leszno zniszczono nie tyle za zdradę, ile za herezję. Bo była to siedziba protestantów: luteranów, czasem kalwinistów, a zwłaszcza braci czeskich, którzy po ucieczce spod władzy katolickich Habsburgów stworzyli tu swój główny ośrodek. Przywódcą braci był Jan Amos Komenský: mieszkał w Lesznie co najmniej ćwierć wieku, a często wyjeżdżając za granicę, zyskał już wtedy rozgłos europejski. Dziś jego ideami oddychamy jak powietrzem. Czyż bowiem nas dziwi edukacja dziewcząt? Albo szkolnictwo jako obowiązek państwa? Lub zasada poglądowości, wyłożona w książce „Orbis sensualium pictus”? Ten twórca nowożytnej pedagogiki napisał w Lesznie swe największe dzieło – „Didactica magna”.

Ale nie tylko on był chlubą Leszna. W kierowanym przez Komenskiego gimnazjum braci czeskich uczył też Jan Jonston, kalwinista, syn emigranta ze Szkocji, podpisujący się Scoto-Polonus. Z czasem stanie się twórcą zupełnie nowej dyscypliny wiedzy: dendrologii – nauki o drzewach. Książki Komenskiego i Jonstona wielokrotnie wydawano, ale głównie na Zachodzie – w Polsce nie budziły zainteresowania. Tymczasem Leszno nieprzerwanie ściągało ludzi różnych wyznań, zwłaszcza uciekinierów spod władzy Habsburgów. Ostatnie dziewięć lat życia spędził tu Johannes Heermann, wydawał tu swe książki Andreas Gryphius. Obaj należeli do największych twórców ówczesnej literatury niemieckiej.

Oczywiście w leszczyńskiej typografii Czecha Daniela Vettera publikowali też pisarze polscy, tacy jak Samuel ze Skrzypny Twardowski czy Krzysztof Opaliński. Byli katolikami, ale heretycka oficyna im nie przeszkadzała – u Vettera wydawali nawet dominikanie i jezuici. Również Czesi dołączyli do produkcji polskojęzycznej: Komenský już w roku 1635 wydał po polsku pracę „Prawy conterfect”. Vetter też napisał książkę w tym języku: „Islandię albo krótkie opisanie wyspy Islandii”. Ten najsłynniejszy w świecie opis Islandii XVII-wiecznej należy tym samym do literatury polskiej. Różne nacje i różne konfesje żyły w Lesznie przez długie lata w symbiozie.

Polacy wkroczyli do Leszna 28 kwietnia 1656 r. Miasto było opustoszałe, bo większość mieszkańców uciekła. Nocą zdobywcy obłożyli domy materiałami łatwopalnymi, a 29 kwietnia rano, około godziny 10, podłożyli ogień. Kto usiłował uciec z płomieni, tego dopadała polska szabla. Pożar trwał trzy dni: do 1 maja. Zniszczał dom Komenskiego razem z jego biblioteką oraz rękopisami sztuk teatralnych i traktatów teologicznych; spłonął jego monumentalny „Linguae Bohemicae Thesaurus” (Słownik języka czeskiego), dzieło życia, opracowywane jeszcze w Czechach. Spaliła się biblioteka braci czeskich z kilkoma tysiącami woluminów, zgorzało gimnazjum Komenskiego, nawet kościół katolicki św. Mikołaja. Zniszczał w ogniu grób Johanna Heermanna. Spaliły się, przywiezione akurat do Leszna i spoczywające na katafalku, zwłoki słynnego na obu kontynentach admirała Krzysztofa Arciszewskiego.

Leszno zniszczono nie tyle za zdradę, ile za herezję.

Komenský zdołał uciec. Ale po paru miesiącach wydał w holenderskim Amsterdamie książkę „Lesnae excidium” (Zagłada Leszna). Nie potrafił otrząsnąć się z ciosu, bez wahania oskarżał polskich barbarzyńców, którzy zniszczyli mu wszystko. Tymczasem zagłady Leszna dopełniła w roku 1658 uchwała Sejmu Rzeczypospolitej, nakazująca wygnanie z kraju braci polskich – arian. Obu tym skonfliktowanym ze sobą wyznaniom udzielił schronienia Amsterdam. Komenský i Jonston mogli tu już bez przeszkód ogłaszać swe największe dzieła. A bracia polscy wydali dziewięć potężnych tomów serii „Bibliotheca Fratrum Polonorum quos Unitarios vocant” (Biblioteka Braci Polskich, zwanych Unitarianami). Wywarli wpływ na wielkich filozofów, Johna Locke’a, Barucha Spinozę, Pierre’a Bayle’a, Johna Tolanda, na myśl kolonistów brytyjskich w Ameryce, na ideologię wczesnego Oświecenia… Ale żadnego wpływu nie wywarli na katolicką Polskę.

Leszczyńskie ognisko nauki, oświaty i kultury już wtedy nie istniało. I już nigdy nie wróciło Leszno do czasu swej protestanckiej świetności. Pedagogika wstydu? Raczej pedagogika prawdy! Ale my, polscy katolicy, sumienie mamy czyste. Nieużywane.

a.romanowski@tygodnikprzeglad.pl

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl feab52a080

Fałszywe jubileusze „Gazety

Dziennik stracił tylu czytelników, że nie ujawnia

Marek Książek



Uroczystości w Gietrzwałdzie; obok Macieja Matery (z lewej) i Andrzeja Senkowskiego (w środku) stoi senator Gustaw Marek Brzezin z PSL.

Prawdą jest to, że pierwszy numer polskiej, katolickiej „Gazety Olsztyńskiej" ukazał się 16 kwietnia 1886 r., 140 lat temu. Jego twórcami byli światli chłopi warmińscy, w tym Andrzej Samulowski, poeta i księgarz z Gietrzwałdu, w którego domu to pismo się rodziło. Dokładnie naprzeciw kościoła i klonu, na którym dziewięć lat wcześniej miała się ukazać Matka Boska i przemówić do dwóch miejscowych dziewczynek po polsku. Wobec akcji germanizacyjnej na Warmii objawienie to miało szczególne znaczenie, bo umacniało ducha polskości w Prusach Wschodnich. Tak samo jak wydawanie „Gazety Olsztyńskiej".

Pierwszym redaktorem był Jan Liszewski, a potem redagowanie pisma przejęła rodzina Pieniężnych, wywodząca się z Wielkopolski. Po wybuchu II wojny światowej hitlerowcy skonfiskowali świeży numer, zburzyli redakcję w centrum Olsztyna, a Seweryna Pieniężnego juniora zamordowali w obozie Hohenbruch koło Königsbergu/Królewca.

Czas partyjnego dziennika

Po wojnie „Gazeta" w poprzedniej formule nie miała miejsca w Polsce. Dopiero w szczycie stalinizmu, w 1951 r., zaczął się ukazywać dziennik PZPR „Głos Olsztyński" i z Pieniężnymi nie miał nic wspólnego (choć Wanda Pieniężna, wdowa po ostatnim redaktorze, była z ramienia Znaku posłanką na Sejm PRL w latach 1957-1961, o czym mało kto pamięta). Jednak niecałe dwie dekady później, w kwietniu 1970 r., redakcja wróciła do przedwojennego tytułu, nawiązując do zasług walczącej o polskość „Gazety Olsztyńskiej", ale zachowując pod winietą hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!". Ta zmiana nie wzbudziła sprzeciwów do czasu obchodów 100-lecia „GO" w 1986 r.

Sam jubileusz założenia pisma Pieniężnych może przeszedłby bez zgrzytów, zwłaszcza że dzięki inicjatywie Towarzystwa Przyjaciół „Gazety Olsztyńskiej" zbudowano nową szkołę w pobliskich Dywitach, w przededniu jubileuszu zorganizowano wielką wystawę w Muzeum Warmii i Mazur, a dziennik PZPR został odznaczony Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. „Zawrót głowy od sukcesów skłonił nas do umieszczenia pod winietą tytułową słów: »Pismo istnieje od 1886 roku«. Byłem inicjatorem tego pomysłu. Po 15 latach muszę przyznać, że to był nasz wielki błąd", ocenił na naszych łamach Roman Wachowiec, do 1990 r. zastępca redaktora naczelnego Czesława Pazery („Drugie zawłaszczenie", „Przegląd" nr 21/2001).

Wstawienie dodatku o ciągłości tytułu wzbudziło wiele kontrowersji i sprzeciwów, zwłaszcza środowiska kościelnego, ale red. Wachowiec tłumaczył: „Pragnęliśmy ocalić od zapomnienia to, co zrobili w Olsztynie nasi poprzednicy. Dzięki temu pamięć trwa". Na przykład wtedy padła propozycja odbudowy zniszczonego przez Niemców Domu „Gazety Olsztyńskiej", a w społecznym komitecie, którym kierował cieszący się szacunkiem naukowiec, reportażysta i pisarz Władysław Ogrodziński, była Ewa Pieniężna-Bojarska, jedna z dwóch córek ostatniego redaktora. Z nią i jej siostrą Marią Pieniężną-Frieman redaktorzy partyjnego dziennika mieli dobre relacje.

Potentat z Bawarii, biznesmen z Wólki

Roman Wachowiec opublikował swój tekst w „Przeglądzie", gdy właścicielem „GO" był niemiecki wydawca Franz Xaver Hirtreiter, związany z grupą Passauer Neue Presse. W 1998 r. odkupił on wydawnictwo – jako osoba fizyczna – od spółdzielni

eprasa.pl feab52a080

Olsztyńskiej”

wyników sprzedaży



Czesław Pazera i dziennikarka Elżbieta Burzyńska na uroczystości z okazji 100-lecia utworzenia „Gazety Olsztyńskiej”.

dziennikarskiej, której osiem lat wcześniej tytuł i cały majątek przyznał likwidator koncernu RSW „Prasa-Książka-Ruch”. Historia potentata prasowego z Bawarii jest bogata w wydarzenia i anegdoty, ale poprzestańmy na tym, że bywał w redakcji z okazji Bożego Narodzenia i zwykle narzekał, że ma puste kieszenie. A potem wymawiał magiczne słowo „tausend”, co wprawiało obecnych w ekstazę, bo ten tysiąc, choć brutto, 400-osobowa załoga dostała jako świąteczny prezent.

Ale zatrudnienie w gazecie matce i wykupionych tygodnikach powiatowych sukcesywnie spadało, tak jak nakład. Hirtreiter próbował więc sprzedać gazetę brytyjskiemu koncernowi. A gdy nic z tego nie wyszło, odsprzedał swoje udziały – po zaniżonych cenach – prezesowi wydawnictwa Jarosławowi Tokarczykowi, choć niektórzy twierdzą, że była to tylko transakcja na papierze. Po dwóch latach, we wrześniu 2021 r., Tokarczyk odsprzedał je – zachowując sobie 5% – Andrzejowi Senkowskiemu.

„Kim jest nowy właściciel?”, pytał wówczas Adam Jerzy Socha z prawicowego miesięcznika „Debata”. I odpowiadał, że „twórcą największej w Polsce firmy handlującej zewnętrznymi częściami samochodowymi. Na stronie firmy Polcar możemy przeczytać, że stworzył tę firmę od zera. Wystartował w 1986 r. Pierwsza lokalizacja firmy znajdowała się w małym mieszkaniu w wieżowcu przy ul. Koźmiana na warszawskim Żoliborzu”.

Po latach firma Senkowskiego rozrosła się do 600 pracowników, a jego magazyn w Wólce Kosowskiej stał się „europejskim składem fabrycznym dla ponad 350 producentów z całego świata”. Na stronie internetowej właściciel chwalił się: „Od momentu założenia po dzień dzisiejszy firma kieruje się chrześcijańską etyką, co przejawia się w indywidualnym podejściu i szacunku do klienta, pracowników, jak i partnerów handlowych”.

Być może dzięki tej dewizie zwrócił na niego uwagę ówczesny premier. Jak podawał portal Wirtualne Media, „głośniej o Andrzeju Senkowskim zrobiło się rok temu, kiedy jego firmę w Wólce Kosowskiej odwiedził premier Mateusz Morawiecki. Pochwalił wtedy jego spółkę za to, że przetrwała pandemię bez pomocy państwa”. Premier dodał, że gdyby taka pomoc była potrzebna, to jej udzieli, bo „rząd dba o firmy z polskim kapitałem”.

Na obchodach jubileuszu nie było poprzednich redaktorów naczelnych.

Patriota wykupił niemiecki kapitał

Właściciel sam nie rządzi w Olsztynie, bo na prezesa spółki i na redaktora naczelnego powołał Macieja Materę, którego portal OKO.Press w 2016 r. wymieniał wśród ludzi związanych z Antonim Macierewiczem. W 2015 r. Matera miał być powołany przez ministra obrony narodowej do rad nadzorczych Wojskowych Zakładów Elektronicznych oraz firmy Energomontaż-Północ Gdynia. Obie spółki powiązane były z Polską Grupą Zbrojeniową. I to Matera przeprowadził pierwszy wywiad ze swoim szefem, pytając Senkowskiego – co można odtworzyć w internecie – o powód zakupu „Gazety”, choć wcześniej biznesmen mediami się nie zajmował. Ten odparł, że tytuł kupił z pobudek patriotycznych, bo gazeta po wojnie trafiła w ręce komunistów, a ok. 2000 r. w ręce Niemca, któremu było wszystko jedno, co się dzieje z całą grupą medialną. Dlatego polski przedsiębiorca postanowił ją ratować! Jak ratuje się dzieło, pamiątkę historyczną – i to był główny powód.

Z tą historią Senkowski był na bakier, skoro nie wiedział, że przerwa w wydawaniu „GO” trwała w sumie 31 lat! Jednak od razu było widać, komu sprzyja dziennik, bo już w grudniu 2021 r. zamieścił obszerny wywiad z Jarosławem Kaczyńskim, który bezdyskusyjnie ocenił, że stan wojenny był zbrodnią, a gen. Jaruzelski powinien być za to skazany na dożywocie. Smaczku sprawie dodaje fakt, że wywiad nie był podpisany przez żadnego dziennikarza, co sugerowało, że przesłano go wprost z Nowogrodzkiej.

Gdy jednak w 2023 r. władzę w Polsce przejęła opozycja, „GO” spuściła z tonu, zamieszczając komentarze polityków z różnych ugrupowań, także lewicowych. Matera nadal rządził „GO” i do legendy

eprasa.pl feab52a080



Dom „Gazety Olsztyńskiej" został oddany do użytku w 1992 r.

przeszły jego trwające nawet dziewięć godzin zebrania redakcyjne, podczas których chwalił się głównie swoimi życiowymi sukcesami. Natomiast na spotkaniu noworocznym z mediami u marszałka województwa narzekał, że w redakcji ma słabych dziennikarzy (ktoś wtedy skomentował: „To niech pan im lepiej płaci").

Niemniej to właśnie jego podwładni przygotowali na jubileusz 140-lecia aż 140 stron dziennika. W pewien sposób wrócono do historii, do pisma Pieniężnych, ale większość miejsca zajęły artykuły promocyjne, a więc płatne, a do tego gratulacje i życzenia od polityków, samorządowców oraz instytucji, banków i lokalnych firm. Trochę kasy wydawca ściągnął z rynku, choć ceny reklam drastycznie spadły w porównaniu z gazetą Hirtreitera. Podobnie jak nakład, a zwłaszcza sprzedaż dziennika, co tylko po części można usprawiedliwić konkurencją internetu.



Ale „Gazeta Olsztyńska" straciła tylu czytelników, że nie ujawnia nawet sprzedaży w zestawieniach prasy regionalnej publikowanych w Wirtualnych Mediach. Ostatnia podana tam sprzedaż, półtora roku temu, wykazała średnio ok. 1,2 tys. egzemplarzy dziennie. Teraz może to być poniżej tysiąca. Skurczyła się też znacząco, co w tej sytuacji zrozumiałe, ekipa pracowników, w tym etatowych dziennikarzy. Ostatnio wydawca sprzedał drukarnię, a gazetę drukuje w Białymstoku.

Ale właściciel tytułu nadal mami reklamodawców sukcesami, a na jubileuszu obchodzonym w Gietrzwałdzie nazwał prezesa Macieja Materę, który prowadzi jego wydawnictwo, mężem opatrznościowym. Słyszeli to liczni goście, w tym metropolita warmiński abp. Józef Górzyński, ale też przedstawiciele samorządów oraz jeden senator z PSL (wśród gości nie było poprzednich naczelnych „GO"). Odczytano również listy gratulacyjne od prezydenta Karola Nawrockiego, wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza i wicemarszałka Sejmu Krzysztofa Bosaka, który wskazał, że „140 lat to wiek, którego zazdrościć mogą inne tytuły prasowe, nie tylko w Polsce, ale i na świecie".

Relacja własna „GO" z tej gali utrzymana była w podobnym tonie i przekonywała resztki czytelników, że świętowano ciągłość pisma istniejącego 140 lat. Jeśli tak, to trzeba by w to wliczyć wydawanie gazety z szyldem PZPR, kierowanej w ostatnich latach PRL przez Czesława Pazerę. Którego jednak nie zaproszono na uroczystość ani do Gietrzwałdu, ani na olsztyński zamek, gdzie Muzeum Warmii i Mazur zorganizowało konferencję na temat rocznicy – co jednak tam wyraźnie podkreślano – ukazania się pierwszego numeru gazety Pieniężnych. Impreza w muzeum odbyła się z udziałem kilkorga potomków tego rodu, z którym redaktorzy partyjnego dziennika, w tym dwoje żyjących zastępców Pazery, byli w bardzo dobrych relacjach i mogliby wnieść do dyskusji dodatkowe wartości.

Marek Książek

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl feab52a080

Polityczne zmiany w Bułgarii

Czy Rumen Radew, jako premier, powstrzyma dalszy rozpad państwa?

Bojan Stanisławski
Korespondencja z Bułgarii

Przeprowadzone 19 kwietnia wybory parlamentarne w Bułgarii przyniosły miażdżące zwycięstwo formacji byłego prezydenta Rumena Radewa, Postępowej Bułgarii. Można przyjąć, że o ile nie zajdzie żadna nadzwyczajna okoliczność, były to ostatnie wybory z długiej serii przedterminowych elekcji – ośmiu od 2020 r.

Niedoszacowani i przeszacowani

Ugrupowanie Radewa uzyskało wynik całkowicie niedoszacowany przez ośrodki badania opinii publicznej – sięgający 45% poparcia, co przełożyło się na 131 mandatów w 240-osobowym, jednoizbowym Zgromadzeniu Narodowym. Drugie miejsce zajęła partia GERB Bojka Borisowa – polityka, który przez ponad 15 lat pozostawał swoistym właścicielem bułgarskiego życia politycznego – uzyskując wynik niemal trzykrotnie niższy, nieco ponad 13%. A mowa o ugrupowaniu, które przez lata funkcjonowało jako rdzeń obecnego systemu władzy i jego główny beneficjent.

Trzecie miejsce przypadło koalicji Kontynuujemy Zmianę – Demokratyczna Bułgaria (PP-DB), będącej ekspozyturą polityczną liberalnej inteligencji bułgarskiej, radykalnie proeuropejskiej i przywiązanej do euroatlantyckiego kursu państwa. Do parlamentu weszły także DPS-Nowy Początek (7%) oraz partia Odrodzenie (4,3%). Kilka innych istotnych dotąd formacji – w tym Bułgarska Partia Socjalistyczna – nie przekroczyło progu wyborczego.

Fakt, że ugrupowanie Borisowa, stworzone dwie dekady temu przy wsparciu niemieckich konserwatystów i przez lata rozwijane pod ich politycznym parasolem, uzyskało dziś wynik raptem nieco przekraczający 10%, ma ogromne znaczenie i zwiastuje koniec pewnej epoki. Mówimy o partii, która długo była osią systemu władzy w Bułgarii, a sam Borisow sprawował w tym czasie wręcz dyktatorską kontrolę nad instytucjonalnym i gospodarczym porządkiem państwa. Tak głęboki spadek poparcia należy zatem traktować jako totalną dezintegrację jego zdyscyplinowanego dotąd elektoratu, który zapewniał mu poparcie wystarczające do rządzenia. Konsekwencje tego krachu dopiero zaczną się ujawniać.

To właśnie wokół tej formacji i tej osoby ukształtował się śródziemnomorski oligarchiczny model rządów, oparty na sieciach powiązań politycznych, biznesowych i instytucjonalnych, na granicy świata formalnej polityki i układów kryminalnych. Istotnym punktem odniesienia pozostaje tu Deljan Peewski i jego DPS-Nowy Początek, który w ostatnich latach wyrósł na jednego z głównych pretendentów do przejęcia części tego wpływu. Choć oba ośrodki były wobec siebie konkurencyjne, teraz najpewniej zaczną wspólnie kontrować projekt Radewa, broniąc zarówno własnego stanu posiadania, jak i modelu państwa, który obsługuje ich interesy. Modelu opartego na klientelizmie i korupcji, z procederem masowego kupowania głosów włącznie.

Tym bardziej znaczące jest zatem to, że przy frekwencji nieco wyższej niż w poprzednich cyklach wyborczych i wyraźnie zarysowanym głosie protestu mechanizmy te okazały się niewystarczające. Postępowa Bułgaria zwyciężyła we wszystkich okręgach wyborczych, z jednym wyjątkiem: regionu wokół miasta Kyrdżali, będącego tradycyjnym bastionem środowiska Peewskiego, gdzie praktyki wyborcze rządzą się wyłącznie logiką merkantylną.

Wymowny jest również wynik osiągnięty przez Radewa w samej Sofii. Stolica od lat stanowi twierdzę kręgów skupionych wokół koalicji PP-DB reprezentującej liberalną i proeuropejską część bułgarskiej inteligencji, domagającą się całościowej okcydentalizacji kraju. Środowisko to żąda trwałego dostępu do władzy, jest przekonane o własnej kompetencji i moralnej wyższości, a swój przekaz buduje przede wszystkim na haśle walki z korupcją i „mafijnym państwem".

Właśnie te grupy przez dekady dominowały w Sofii, niezależnie od tego, pod jakim szyldem partyjnym występowały i startowały w wyborach. Tym razem jednak nawet tam doszło do wyraźnego przełamania. Zwycięstwo Radewa w stolicy pokazuje, że głos protestu okazał się silniejszy i ważniejszy niż dotychczasowe podziały tożsamościowe.

Radew w istocie wysuwał takie same postulaty jak PP-DB, stawiając głównie na walkę z oligarchią i korupcją i cały czas podkreślając, że chce, by Bułgaria wreszcie była „normalnym europejskim krajem". A warunkiem tego jest rozbicie istniejących układów i uwolnienie państwa z patologicznego kieratu. Dlatego część wyborców liberalnych zdecydowała się poprzeć Radewa, uznając, że daje on większą szansę na realne działanie.

eprasa.pl feab52a080

Jeśli Radew rzeczywiście przystąpi do demontażu „mafijnego państwa" zbudowanego wokół Borisowa, odbierze paliwo polityczne również bułgarskim liberałom. Jeżeli zaś ci zaczną widzieć w Postępowej Bułgarii swoje przedstawicielstwo tak samo jak znienawidzeni przez nich bułgarscy plebejusze, będzie to gigantyczny przełom w tamtejszej kulturze politycznej.

Jednocześnie Radew był przez PP-DB konsekwentnie przedstawiany jako polityk koniunkturalny, który – mimo deklaracji antysystemowych – odwołuje się do „najniższych instynktów" społecznych i wykorzystuje prorosyjskie sentymenty dominujące w społeczeństwie. Co dało powód do demonizowania go jako „agenta Putina".

Przyszłość ugrupowań protestu

Osobną kwestią pozostaje przyszłość ugrupowań protestu, które w ostatnich latach pojawiały się i znikały na bułgarskiej scenie politycznej. W minionych cyklach wyborczych widzieliśmy cały wachlarz efemerycznych projektów – od partii Jest Taki Naród po jeszcze bardziej egzotycznie nazwane stronnictwa, jak Majestat albo MIECZ. Jedyną formacją, która zdołała utrzymać się w parlamencie, okazało się jednak Odrodzenie pod wodzą Kostadina Kostadinowa. Nieprzypadkowo.

Właśnie ta partia w ostatnich latach konsekwentnie organizowała społeczny sprzeciw: prowadziła kampanie przeciwko przyjmowaniu euro, inicjowała referendum w tej sprawie, organizowała demonstracje i mobilizowała zróżnicowane środowiska. Mimo to Odrodzeniu udało się jedynie utrzymać obecność parlamentarną na minimalnym poziomie. Zasadniczą część głosu protestu przejął Radew. Dla wielu wyborców okazał się on bardziej przekonującym nośnikiem sprzeciwu. Jego przekaz był mniej radykalny, bardziej uporządkowany i pozbawiony retorycznego nadmiaru, a co najważniejsze – wydaje się realistyczny i osiągalny. W przypadku Kostadinowa w miarę jak zaostrzał się jego język, malała zdolność tego polityka do poszerzania elektoratu.

Odrodzenie staje zatem wobec poważnego dylematu: czy próbować się odnaleźć w nowym układzie poprzez bardziej koncyliacyjne podejście i ewentualną współpracę z Radewem z pozycji słabszego partnera, czy pozostać w opozycji i ryzykować dalszą marginalizację. Już w pierwszych wypowiedziach po wyborach pojawiły się sygnały możliwego przesunięcia akcentów. Kostadinow oznajmił, że wobec wypadnięcia Bułgarskiej Partii Socjalistycznej poza parlament jego ugrupowanie bierze na siebie odpowiedzialność za reprezentowanie elektoratu lewicy. Na ile ta strategia okaże się skuteczna, pozostaje pytaniem otwartym. Jedno jest pewne – zwycięstwo Radewa zasadniczo zmieniło układ sił politycznych i już zmusiło niektórych graczy do ponownego określenia swojej roli, a innych kompletnie wyeliminowało.

Między prawdą a zmyśleniem

Warto jeszcze rozprawić się z narracją, według której bułgarskie wybory należy odczytywać przede wszystkim jako element szerszej układanki geopolitycznej w Europie Środkowo-Wschodniej. Miniony tydzień przyniósł prawdziwą lawinę tyleż emocjonalnych, co powierzchownych lub wręcz prymitywnych interpretacji, szczególnie w mediach społecznościowych oraz w części zachodnich – a wtórnie także polskich – mediów głównego nurtu.

Nudny festiwal zużytych etykiet: „triumf sił prorosyjskich", „antyimigrancki nacjonalizm", „geopolityczny zwrot", a nawet sugestie, że Bułgaria może się stać kolejną odsłoną „orbanizmu". Wszystko to zanurzone w fantazjach o hydrze rosyjskich wpływów, która rzekomo znów podniosła głowę – tym razem na Bałkanach. Narracje te, powielane bez elementarnej znajomości bułgarskich realiów politycznych i społecznych, mówią nam więcej o fobiach i obsesjach ich zwolenników niż o sytuacji w Bułgarii.

Nie jest to zresztą szczególnie zaskakujące. Bułgaria przez lata pozostawała na peryferiach zainteresowania zachodniej opinii publicznej. Tym bardziej że i Unia Europejska, i Waszyngton wspierały zbudowany i utrwalony tam model władzy – oparty na absolutystycznej prerogatywie Bojka Borisowa i jego zaplecza – który gwarantował formalną stabilność oraz ostentacyjną, deklaratywną lojalność wobec struktur euroatlantyckich.

W tej sytuacji naturalnym partnerem dla zachodnich mediów i komentatorów stały się środowiska liberalne, dziś skupione wokół koalicji PP-DB. To z ich perspektywy najczęściej interpretowano bułgarską politykę, co w praktyce oznaczało przyjęcie określonego języka opisu rzeczywistości. W tym języku Radew od początku funkcjonował jako figura podejrzana – polityk albo otwarcie „prorosyjski", albo co najmniej balansujący na granicy „prorosyjskości", oskarżany o koniunkturalizm, a niekiedy wręcz przedstawiany jako „rosyjski agent". Pojawiały się nawet dziwniejsze tezy, próbujące wiązać jego karierę z działalnością konkretnych rosyjskich środowisk i osób. Na przykład według jednej z najpopularniejszych tego typu teorii swoistym oficerem prowadzącym Radewa miał być Leonid Reszetnikow, szef Rosyjskiego Instytutu Studiów Strategicznych i emerytowany generał rosyjskiego, a wcześniej radzieckiego wywiadu. Ma się rozumieć, podstaw nie miał ani ten, ani żadne inne spiskowe absurdy produkowane w środowisku bułgarskich liberałów.

Radew od początku obecności w polityce – jeszcze jako prezydent wybrany po raz pierwszy

Radew od początku obecności w polityce opowiadał się za bardziej pragmatycznym podejściem do relacji międzynarodowych, w tym z Rosją.

eprasa.pl feab52a080



Czy Radew będzie umiał działać skutecznie w skrajnie niesprzyjających warunkach? Sofia, 20 kwietnia 2026 r.

w 2016 r. – opowiadał się za bardziej pragmatycznym podejściem do relacji międzynarodowych, w tym do stosunków z Rosją. Nie oznaczało to ani kwestionowania członkostwa Bułgarii w NATO czy w Unii Europejskiej, ani postulatu „geopolitycznego zwrotu", chodziło raczej o próbę uniknięcia eskalacyjnej retoryki i poszukiwanie rozwiązań, które nie byłyby sprzeczne z interesami gospodarczymi państwa. To samo pragmatyczne podejście prezentował zresztą wobec niektórych koncepcji unijnych, takich jak Zielony Ład czy pakt migracyjny, domagając się „krytycznego myślenia i przewidywania skutków" zamiast prób „demonstrowania moralnej wyższości".

Dobrym przykładem jest szeroko komentowana wypowiedź Radewa udzielona tuż po wyborach. Zapytany przez zagranicznego dziennikarza o przyszłość relacji z Rosją, odpowiedział spokojnym tonem i płynną angielszczyzną, że powinny one być oparte na wzajemnym szacunku oraz pragmatycznym podejściu do kwestii gospodarczych. W normalnych warunkach byłaby to standardowa dyplomatyczna deklaracja. W obecnym klimacie medialnym została jednak przedstawiona jako dowód przypisywanego Radewowi „putinizmu".

Zabetonowane status quo

Co znamienne, wszystkie relacje w tonie wzmożenia na okoliczność „zwycięstwa partii prorosyjskiego byłego prezydenta" pomijają wielokrotne wypowiedzi Radewa, w których stanowczo podkreślał, że Bułgaria pozostanie lojalnym członkiem NATO i Unii Europejskiej, a jego celem jako przyszłego premiera będzie wzmacnianie, a nie osłabianie sojuszy, których Bułgaria jest częścią.

Zasadnicze pytanie dotyczy wcale nie zagadnień geopolitycznych, lecz zdolności Radewa do skutecznego działania w skrajnie niesprzyjających warunkach. Opowieści o „wyprowadzaniu Bułgarii" z NATO czy z Unii Europejskiej pozostają wygodną zasłoną dymną dla bardziej przyziemnego problemu – totalnie zabetonowanego status quo.

Samodzielna większość parlamentarna nie przekłada się automatycznie na sprawczość. W bułgarskich realiach działa jak zapalnik – mobilizuje wszystkie ośrodki władzy, wybudza z letargu przegranych i uruchamia mechanizmy obronne systemu, który pozostaje w ich rękach. To oni kontrolują instytucje, kartele medialne i inne kanały nacisku i to oni mają najwięcej do stracenia.

Do tego dochodzi kruchość zaplecza Radewa. Szybko zbudowana formacja, o słabo wykrystalizowanym profilu ideowym, łatwo może się stać polem napięć i ambicjonalnych rozgrywek, które w kluczowym momencie rozproszą energię potrzebną gdzie indziej.

Dlatego najbliższe tygodnie i miesiące będą testem wiarygodności zapowiedzi i zdolności do narzucenia tempa i kierunku zmian. Jeśli Radew nie przełoży swojego mandatu politycznego na serię szybkich i radykalnych decyzji, system go zgniecie, zanim zdąży on wytłumaczyć opinii publicznej, dokąd zmierza i co próbuje zrobić. Musi więc wykonać kilka mocnych, wyprzedzających ruchów, które otworzą przed nim przestrzeń działania i zarysują pole kolejnych konfrontacji.

Bojan Stanisławski

FOT AFP/EAST NEWS

eprasa.pl feab52a080

Iran ma dziś więcej kart

Wojna wzmocniła pozycję Teheranu

Rozmawia Robert Walenciak



JULIUSZ GOJŁO
– wieloletni dyplomata, specjalista od Bliskiego Wschodu, Afryki, krajów Azji Centralnej. W latach 2010-2017 ambasador RP w Iranie. Ekspert Centrum Stosunków Międzynarodowych.

Zaskoczyła pana reakcja Iranu na atak USA i Izraela? I wszystko, co później się wydarzyło?

– Nie zaskoczyła mnie ta reakcja ani nie zaskakuje mnie to, co obecnie się dzieje. Ten scenariusz przedstawiałem jeszcze przed wojną, w „Res Humana". Może pan sprawdzić.

Skąd brała się pańska pewność?

– Było dla mnie oczywiste, że atak na Iran jest absolutnie kontrproduktywny i niczego nie przyniesie. Do dziś nie wiemy, jakie są cele Stanów Zjednoczonych. Stąd konkluzja: jedynym krajem, który na pewno chciał tej wojny, nie są Stany Zjednoczone, tylko Izrael.

Inna konkluzja: jeżeli przyjrzymy się regionowi, zobaczymy, że wszystkie kraje, z wyjątkiem Iranu, są państwami albo upadłymi, albo pod kontrolą reżimów przyjaznych wobec Izraela lub Stanów Zjednoczonych, albo jedno i drugie. Tę tezę można rozwinąć: doprowadzenie do porozumienia jądrowego z Iranem absolutnie nie było w interesie Izraela.

Czyli Izrael był przeciwny negocjacjom w Genewie, które szły w dobrym kierunku. Chciał wojny i zniszczenia Iranu.

– Przypomnę rok 2018. Wtedy Donald Trump wycofał Stany Zjednoczone z porozumienia jądrowego z Iranem. A mimo to Iran przez rok od złamania tego porozumienia przestrzegał jego warunków. I w zasadzie wszyscy poważni eksperci, łącznie z szefem Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, ba, łącznie z tzw. środowiskami wywiadowczymi Stanów Zjednoczonych i byłym szefem Izraelskiej Agencji Jądrowej, są zgodni, że Iran nie prowadził daleko posuniętych prac nad bronią jądrową. Tak, wzbogacał uran, tu nie ma co dyskutować, a wiadomo, że powyżej pewnego poziomu wzbogacenia uran ma zastosowanie tylko wojskowe. Nadal jednak traktat o nieproliferacji broni jądrowej, czyli NPT, którego Iran jest sygnatariuszem, nie narzuca jakiegokolwiek pułapu wzbogacania materiałów rozszczepialnych. Iran korzysta z tego prawa, a przy tym poddaje się inspekcjom. W Teheranie z uwagą śledzone są losy Ukrainy, która wyrzekła się broni jądrowej w zamian za gwarancje swojej suwerenności i integralności terytorialnej. Po czym jeden z „gwarantów" na nią napadł, a pozostali, z USA na czele, nie są w stanie lub nie chcą się wywiązać z podjętych zobowiązań. Dla Iranu program jądrowy to polisa ubezpieczeniowa. O tyle ważna, że od 47 lat kolejne administracje w Białym Domu mówią, że wobec Iranu „wszystkie opcje są na stole, z militarną włącznie". Takie sformułowanie padło nawet z ust laureata Pokojowej Nagrody Nobla, prezydenta Baracka Obamy.

Pytanie, jak daleko był Iran do osiągnięcia tego poziomu.

– Premier Izraela Netanjahu od 30 lat powtarzał, że to jest *imminent threat*. A jak to tłumaczyć? Natychmiast, niebawem, w najbliższej przyszłości? Jeżeli pomyślimy, jakie były cele tej wojny, to na pewno w Stanach Zjednoczonych te cele nie zostały zdefiniowane. Zdefiniował je premier Netanjahu.

Teraz mamy zawieszenie broni i negocjacje. Dzieje się to dlatego, że Iran wybrał bardzo skuteczną metodę wojny – zablokował cieśninę Ormuz. Jest też pewne, że jemeńscy Huti, sprzymierzeńcy Iranu, są w stanie zablokować cieśninę Bab al-Mandab.

– To, że Iran zablokuje cieśninę Ormuz, było wiadome od zawsze. Choć nie dla wszystkich. Spotkałem się z opinią, że co tam, przecież Stany Zjednoczone natychmiast to odblokują. Okazuje się, że nie. Dlatego, że wcale nie potrzeba rozbudowanej floty, żeby zatrzymać ruch w cieśninie. Amerykanie mówią, że zniszczyli całą flotę Iranu, a czy kontrolują cieśninę? Notabene pierwszą ofiarą tych działań był nieuzbrojony

eprasa.pl feab52a080

irański okręt na wodach międzynarodowych. Nieuzbrojony, bo wracał z ćwiczeń. Na których też byli Amerykanie.

To odrębna historia. Dla mnie o tyle bolesna, że pływałem na morzu i wiem, co to może znaczyć. Wszystko to byli chłopcy z poboru. Żadni Strażnicy Rewolucji, tylko zwykli chłopcy z małych miasteczek i wsi, po prostu wzięci do wojska. Zostali rozstrzelani na pełnym morzu. US Navy z dumą obwieściła, że zatopiła bezbronny okręt. Prezydent Trump powiedział, że topimy, bo to jest śmieszne. *Because it's fun*. I to jest całe rozumienie.

Jeżeli wszyscy wiedzieli, jak potoczy się wojna, dlaczego oni w to weszli?

– Dlatego, że nie wiedzieli, w co wchodzą.

Ale wiedziały o tym np. kraje arabskie. Państwa Zatoki, które mocno przecież lobbowały w Ameryce, miały swoje dojścia. Katar dał Trumpowi luksusowego Boeinga 747.

– Kraje arabskie Zatoki Perskiej są trochę w takiej sytuacji, w jakiej jesteśmy my. Uznawały do tej pory, że jedynym i skutecznym gwarantem ich bezpieczeństwa są Stany Zjednoczone.

I przeżyły zaskoczenie.

– Moja teza jest taka, że każdy kraj mały w stosunku do Stanów Zjednoczonych i uważający, że ma z nimi szczególne relacje strategiczne, żyje złudzeniem. Dlatego, że sojusz strategiczny jest strategiczny tylko i wyłącznie wtedy, gdy partnerzy w tym sojuszu w razie problemów ponoszą zbliżone straty i zbliżone ryzyko. A jeżeli jest inaczej – straty ponosi tylko jedna strona – to znaczy, że relacja jest wasalna. Nie strategiczna i nie jest to sojusz, tylko zależność wasalna.

A jeśli chodzi o kraje Zatoki, pierwszym bardzo poważnym sygnałem, że istnieje problem, był izraelski atak na cele w stolicy Kataru.

9 września 2025 r., w Ad-Dausze, na przywódców Hamasu.

– W tym ataku Izraelczycy pogwałcili suwerenność Kataru, ale stawiam tezę, że pogwałcili również suwerenność terytorialną Arabii Saudyjskiej. Oni twierdzą, że odpalili pociski z Morza Czerwonego, które weszły w stratosferę i przeleciały nad Arabią. Mogę się mylić, ale oni nie mają takich pocisków. A to znaczy, że pociski manewrujące leciały na niewielkiej wysokości. A jeżeli tak, to Saudyjczycy musieli przymknąć oko i stwierdzić, że trudno. To był pierwszy sygnał, zresztą poskutkował tym, że Arabia Saudyjska zawarła natychmiast umowę z Pakistanem. Pakistan, przypominam, jest krajem dysponującym bronią jądrową. To pokazuje, że zaczęto sobie zdawać sprawę z istnienia problemu.

Że na Amerykę liczyć nie można.

– Natomiast po wybuchu wojny, po ataku amerykańskim i izraelskim na Iran, mieliśmy uderzenia odwetowe Iranu… Irańczycy jeszcze przed wybuchem wojny wysłali oficjalne pismo do Rady Bezpieczeństwa ONZ, że w razie ataku amerykańskie cele znajdujące się na terenie państw arabskich Zatoki będą uznane za cele uprawnione.

Już teraz Iran wydobywa i sprzedaje dwa razy więcej ropy i po cenie dwukrotnie wyższej niż przed wojną.

Irańczycy uderzyli też w odsalarnie.

– Tak, pojawiły się takie doniesienia, jednak obraz jest złożony. Iran zaprzecza, Bahrajn i Kuwejt natomiast utrzymują, że doszło do ataków. Weryfikacja źródeł prowadzi do konkluzji, że powstały uszkodzenia – czy to efekt bezpośrednich ataków, czy skutek uboczny, trudno stwierdzić jednoznacznie. Dezinformacja i propaganda są intensywne po obu stronach. Ważne są natomiast dwie rzeczy: najmniejsze nawet szkody w tym przypadku mają ogromne znaczenie psychologiczne i strategiczne. Woda staje się dobrem krytycznym.

Nie wiemy więc na razie, czy to był atak celowy, czy raczej spadły jakieś odłamki?

– Tego nie wiemy. Jednak wiemy, że wcześniej to Izrael uderzył na irańskie odsalarnie. I odwet, choć zapowiadany, nie nastąpił, przynajmniej natychmiast. Oczywiście można teraz się zastanawiać dlaczego. Mam wytłumaczenie, ale to jest moja teoria. Otóż mitem założycielskim szyizmu jest bitwa pod Karbalą, w której 72 towarzyszy Husajna, wnuka Mahometa, plus kobiety i dzieci, zostało przez 30 tys. zbrojnych otoczonych i odciętych od wody. A potem ich zabito.

Jednym z rytuałów praktykowanych w trakcie święta Aszura – to coroczne wspomnienie tej bitwy i śmierci Husajna, mające charakter misteriów, podczas których odtwarza się wydarzenia pod Karbalą – jest rozdawanie wody. W szyizmie odmówienie wody potrzebującym, zwłaszcza kobietom i dzieciom, jest barbarzyństwem. Dlatego uderzenie w odsalarnie jest barbarzyństwem, bo uderza w ludność cywilną.

Religia tego zabrania.

– Irańczycy nie są przesadnie religijni. Natomiast istnieje pewien zbiór wartości, które wywodzą się z religii. Myślę, że z tego powodu również Izraelczycy nie zdecydowali się – być może też pod naciskiem Amerykanów – zbombardować infrastruktury energetycznej Iranu. Dokonali tylko jednego uderzenia, na jednym z przedmieść Teheranu.

Dlaczego?

– Ponieważ Iran zapowiedział, że w wypadku ataku na infrastrukturę energetyczną oni także uderzą. Co to oznacza? Że stają chłodnie, odsalarnie, szpitale. A o ile Iran ma rozproszone, nieduże elektrownie – każda ma udział 2-3% w całej sieci energetycznej – o tyle Izrael ma jedną elektrownię, która pokrywa zapotrzebowanie kraju w 30%. Uderzenie w taką elektrownię oznacza, że 30% Izraela zostaje pozbawione energii elektrycznej. To samo dotyczy krajów arabskich.

Iran jest państwem, które ma zaplecze gospodarcze, żywnościowe i wodne. Ma zdecentralizowaną obronę. Po śmierci najwyższego przywódcy Alego Chameneiego wdrożono dyrektywę, którą jeszcze on wydał, że kraj ma być broniony już bez zarządzania z góry. W porozumieniu między poszczególnymi

eprasa.pl feab52a080

ośrodkami, ale każdy z nich działa autonomicznie. Jest to 31 okręgów.

Amerykanie nie są zdolni odblokować cieśniny Ormuz?

– W mojej opinii nie.

Trump nie ma więc wyboru. Musi się porozumieć z Iranem?

– Im bardziej Ameryka brnie w konflikt, tym większą przewagę mają Irańczycy. Mówiłem o tym jeszcze przed wojną, Iran jest krajem, który zaabsorbuje te wszystkie uderzenia. Jest jak wielka poduszka. I znów, inna jest wygrana Iranu, a inna jest wygrana Stanów Zjednoczonych i inna jest wygrana Izraela. Dla Iranu jako państwa i systemu politycznego wygraną jest przetrwanie. Wygraną Izraela jest zniszczenie systemu politycznego Iranu. Kamień na kamieniu, prawda? Zniszczenie cywilizacji.

A jaka jest wygrana Stanów Zjednoczonych? Że Iran ukorzy się przed Trumpem? Tak filmowo?

– Wygląda na to, że o to chodzi.

Iranowi też się nie opłaca prowadzić tej wojny. Trump grozi, że zniszczy wszystkie elektrownie i wszystkie mosty.

– Przyjmijmy metodę Trumpa – kto ma jakie karty w ręku? Trump ich nie ma. Jaki był status quo ante? Iran był obłożony sankcjami – teraz w zasadzie już ich nie ma. Irańska ropa nie płynęła w takiej ilości, w jakiej Iran chciał – już płynie. Dlatego że sami Amerykanie na to zezwolili, żeby ceny ropy za mocno nie skoczyły. Już teraz Iran wydobywa i sprzedaje dwa razy więcej ropy i po cenie dwukrotnie wyższej niż przed wojną. Cieśnina Ormuz nie była zablokowana – teraz jest zablokowana. Iran zapowiedział zaś, że będzie pobierał myto. Co więcej, kwestia wzbogacania uranu staje się mało negocjowalna.

Iran chce po dolarze od baryłki.

– Jeżeli na tankowcu mieści się 2 mln baryłek, to 2 mln za każdy tankowiec. Dalej: Iran powiedział, że owszem, każdy może przepłynąć, ale my w naszej dokumentacji sprawdzimy, jakie kto zajmował stanowisko wobec nas. Tak więc Iran ma karty. I to takie, których nie miał przed wojną.

Państwa Zatoki tracą najbardziej.

– Tracą pod bardzo wieloma względami. Na razie wszyscy robią dobrą minę do złej gry. Wszystkie państwa Zatoki próbują pokazać, że ta wojna nie do końca ich dotyczy. To znaczy, że *business as usual*. Tylko co będzie za tydzień, za dwa, nie wiemy. A pierwszym ruchem różnego rodzaju przedsiębiorców i inwestorów była ucieczka. Na przykład z Emiratów.



Transparent na teherańskiej ulicy przedstawia zamordowanego najwyższego przywódcę Iranu ajatollaha Alego Chameneiego (z prawej) oraz jego syna i następcę Modżtabę Chameneiego. 15 kwietnia 2026 r.

A inwazja lądowa na Iran jest możliwa? Amerykanie ściągnęli w okolice Zatoki 50 tys. żołnierzy.

– Armia irańska to jest milion. Razem z organizacjami paramilitarnymi i przysłowiowymi już pasterzami będzie miała kolejny milion. Jak popatrzymy na mapę Iranu, widzimy obwarzanek – w środku jest pustynia, a na zewnątrz góry. Wszystkie ważniejsze ośrodki miejskie są otoczone górami. To nie jest płaski Irak. Wejście na taki teren, zamieszkany przez ponad 90 mln ludzi…

Wynika z tego, że w interesie Trumpa jest szybkie zakończenie rozmów. Dlaczego więc ich nie zamyka?

– Problemem jest to, że, po pierwsze, delegacja amerykańska reprezentuje nie interesy Stanów Zjednoczonych, lecz Izraela. Po drugie, jest nieprzygotowana. A po trzecie, ma błędne wyobrażenie. Bo sądzi, że gdy przedstawi Iranowi swoich 15 punktów, z których jeden brzmi: macie wyzbyć się rakiet, to Iran powie: przyjmujemy! A przecież to dokładnie tak samo, jakby powiedzieć: macie oddać pistolety i magazynki z nabojami do tych pistoletów, a my postanowimy, co dalej. Nikt tego nie zrobi! Państwo, które się pozbędzie środków obrony, przestaje istnieć. Tak trudno to zrozumieć?

A sytuacja wewnętrzna? W styczniu odbywały się wielkie manifestacje antyrządowe. A teraz?

– Obecna wojna daje reżimowi w Teheranie drugi mit założycielski. Pierwszym mitem założycielskim była wcale nie rewolucja islamska, tylko wojna z Irakiem. Wtedy system polityczny zyskał legitymację społeczną. Wróg napadł na ojczyznę. Większość ludzi stanęła do obrony tej ojczyzny – stanęli do obrony Iranu, a nie Republiki Islamskiej. Teraz rodzi się drugi mit założycielski.

Wróg napadł, a my nie ulegliśmy. To wzmacnia reżim?

– Ten system w ostatnich latach liberalizował się. Trochę tak, jak w Polsce w drugiej połowie lat 80., kiedy to też powoli się liberalizowało. Jakieś reformy gospodarcze były, jakieś firmy polonijne czy obrót walutą. A teraz zamiast starszego pana, który co prawda był zachowawczy, ale np. wydał fatwę stwierdzającą, że broń jądrowa nie jest dobra, i był arbitrem między różnymi ośrodkami, mamy nowego przywódcę. Jest młodszy i ma w pamięci to, że jego ojciec i najbliższa rodzina zostali zabici, ma też silne związki ze

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, AFP/EAST NEWS

eprasa.pl feab52a080

Strażnikami Rewolucji. I jak ktoś to ironicznie skomentował, dzięki wojnie zamiast ajatollaha Chameneiego mamy ajatollaha Chameneiego 2.0 w wersji turbo.

I już wiadomo, kto jest ten zły.

– Iran ma swoje problemy i społeczeństwo stoi przed bardzo wieloma wyzwaniami. Tylko znów, łatwo przychodzi sformułowanie, że walczą tam dwie strony. Nie, walczy kilka stron, a w środku tej walki jest irańskie społeczeństwo, które musi sobie poradzić z lecącymi na nie bombami i z codziennymi problemami, w dodatku też nie w całości popiera system polityczny, w jakim żyje.

Mieliśmy niedawno wielki ruch, niemal rewolucję, pod hasłem „Zan, zendegi, azadi", czyli „Kobieta, życie, wolność". To było w 2022 r. po śmierci Mahsy Amini, która została aresztowana na ulicy i pobita przez policję. Ta śmierć przyniosła mnóstwo protestów.

A system przetrwał.

– System jest postrzegany jako opresyjny, wielu ludziom nie odpowiada, ale pamiętajmy, że rewolucja irańska odbyła się na wyraźne życzenie Irańczyków. To nie jest system narzucony z zewnątrz, lecz wybrany przez Irańczyków.

Ale dziś, zwłaszcza dla młodych, jest archaiczny.

– Na pewno gospodarka irańska była i jest zarządzana źle. Panuje też nepotyzm, dopuszcza się daną klikę do lepszych stanowisk. No i kraj duszą też sankcje gospodarcze – od 47 lat! Bezrobocie jest więc duże, ludzie nie widzą przyszłości ani szans. Na przykład ogromnym problemem dla Irańczyków, zwłaszcza młodych, jest kwestia mieszkań.

Mediana wieku w Iranie to 35 lat. Mamy więc potencjał rewolucyjny?

– Trochę tak, ale trochę nie, bo ta mediana rośnie, czyli społeczeństwo się starzeje. Dzietność kobiet irańskich jest na poziomie europejskim, dorównuje francuskiemu. Gdy się porówna z tym, co było przed rewolucją… Wtedy dzietność wynosiła tam powyżej 7, mocno zakorzeniony był analfabetyzm. Ta mediana zatem rośnie, kobiety wychodzą coraz później za mąż, coraz później rodzą dzieci i mają ich mniej.

Moja teza jest taka, że rewolucję robią ludzie, którzy nie mają rodzin, są młodzi i pełni nadziei, więc raczej przed trzydziestką. Później, gdy zakładają rodziny, dochodzą do wniosku, że nie warto umierać, to nie robią rewolucji. Dlatego moim zdaniem moment rewolucyjny w Iranie już minął jakiś czas temu.

A co teraz? Jest nowy przywódca.

– Modżtaba Chamenei, syn zabitego Alego Chameneiego. W normalnych warunkach, gdyby jego ojciec odszedł z tego świata w sposób naturalny, miałby bardzo małe szanse zostać następcą. Pierwszy powód, fundamentalny, jest taki, że nie ma kwalifikacji, by sprawować funkcję najwyższego przywódcy religijnego, bo musiałby być tzw. mardżą, czyli dojść na wyższy poziom edukacji religijnej. A drugi powód – to jest w pewnym sensie sukcesja dynastyczna, a dokładnie z tym walczyła Republika Islamska. Widać więc, że jego wybór był spowodowany chęcią zademonstrowania, że się nie ugniemy. Ale – co jeszcze jest ważne – za tym wyborem stoją wszystkie ugrupowania konserwatywne, zwłaszcza Strażnicy Rewolucji.

Obecna wojna daje reżimowi w Teheranie drugi mit założycielski. Pierwszym była wojna z Irakiem.

Strażnicy Rewolucji – co to za organizacja?

– To formacja, która powstała w czasie wojny z Irakiem. Jako siły wyjątkowo dobrze przeszkolone i wyselekcjonowane do ochrony systemu politycznego. Mają inne wyposażenie i inny budżet niż regularna armia. To oni pilnują kluczowych portów morskich, lotnisk i w związku z tym mogą decydować, kto do takiego portu będzie wpływał, a kto nie. Mają również udziały w gospodarce irańskiej. To bardzo istotna siła i – co się zmieniło w wyniku wojny – ich znaczenie wzrosło.

Dlaczego?

– Jaka jest rola najwyższego przywódcy w systemie? Mówi się, że ma najwyższą władzę. Nieprawda. On jest najwyższym arbitrem. A ponieważ jest arbitrem, musi się układać z różnymi ludźmi i różnymi grupami. Budować kompromis między różnymi obozami. A teraz, ponieważ pozycja Strażników Rewolucji wzrosła, ten konsensus będzie inny, jego środek ciężkości znajdzie się w innym miejscu.

Może mała dygresja. Często komentatorzy zachodni i analitycy pokpiwają, że nowy przywódca nie jest widoczny, nie udziela się. To niezrozumienie kultury Iranu. Otóż w szyickim systemie religijnym kluczową rolę odgrywa imam, który się skrył. Kiedy nadejdą „dni ostatnie", on powróci i wymierzy sprawiedliwość. Jest to religia mesjanistyczna. Ale to też przekłada się metaforycznie na codzienność: imam przywódca, który się skrył, który nas prowadzi do zbawienia, jest obecny, ale nie musi być widoczny. Jeżeli zatem mamy najwyższego przywódcę, który nie jest widoczny, ale jest obecny, bo go wybrano, to jest dokładnie ta sama metafora religijna, co doskonale działa. Czy Modżtaba Chamenei żyje, czy nie żyje, nie ma znaczenia. Istotne jest, że system działa.

Nie ma innego systemu.

– Dlatego przekonanie Amerykanów czy Izraelczyków, że reżim można zdekapitować, jest błędne, bo system polityczny Iranu został tak zaprojektowany, że będzie działał nawet w przypadku śmierci przywódców. Usunięcie jednego człowieka, drugiego czy piątego nie zawali systemu, tylko go zradykalizuje. I to się dzieje na naszych oczach.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Za tydzień
druga część rozmowy
z ambasadorem Juliuszem Gojłą:
- **Co legitymizuje reżim?**
- **Kto obalił szacha?**
- **Jak głęboko sięga islam?**
- **Tajemnice styczniowych demonstracji.**
- **Jaka jest rola kobiet w Iranie?**

eprasa.pl feab52a080

MIASTO PO ZMIANIE

Jak Forst na Łużycach rewitalizuje dziedzictwo przemysłowe

Beata Dżon-Ozimek
Korespondencja z Niemiec

Miasto było mi znane jedynie jako stacja kolejowa w drodze do Berlina. Ale wreszcie pojawiła się pokusa przyjrzenia się bliżej „niemieckiemu Manchesterowi". Kusiła Polka, zakochana w historycznych postaciach regionu, fascynującym ogrodzie różanym i nieistniejących już 300 kominach fabrycznych ponad Forst na Łużycach. Jolanta Imbierska, miejska urzędniczka odpowiedzialna za turystykę, odczarowała mi miasto, a każdy poznany dzięki niej rozmówca zaprosił do innego mikrokosmosu.

Forst ma wręcz nadmiar wspaniałej postindustrialnej architektury, willi przemysłowców, szkół zawodowych i zakładów, w większości zamkniętych po „zmianie" w latach 90. Kominy prawie zniknęły z krajobrazu. Miasta nie stać na ratowanie wszystkiego. Ale pojawili się prywatni właściciele postindustriali – są dla siebie konkurencją w pozyskiwaniu coraz bardziej ograniczonych środków, bacznie się obserwują. Każdy w swoim stylu i celu rewitalizuje dziedzictwo materialne. Zgadzają się co do jednego: kupili obiekty, a nie zabytki. Tylko że od jakiegoś czasu objęto je ochroną konserwatorską, co bardzo utrudnia życie. Gdyby nie upór i pomysłowość ludzi, niejednego obiektu już by nie było. Ratują, jak Anett Dörl z Traumfabrik, dawne zakłady tekstylne przed nadmiernym spokojem. Dla nieużywanych obiektów czasy bezruchu są śmiercią. Trzeba je ożywiać i niepokoić.

Są w Forst i kamienie pamięci po zamordowanych obywatelach żydowskiego pochodzenia, Stolpersteine, i mniejszość słowiańska, Serbołużyczanie, widoczna w dwujęzycznych napisach w mieście. To kolejne warstwy miejscowego palimpsestu.

Traumfabrik, czyli Fabryka Marzeń

Pięć kondygnacji, odrestaurowany parter, gościnne podwórze nad Młynówką. Soczyste graffiti, pozostałości po projektach artystycznych, podłogi malowane przez dzieci podczas różnych zajęć, imponujące widoki z góry. Obrazki jak z budynków Hundertwassera, rośliny próbują się rozpychać pośród konstrukcji. Porzucone bele materiałów z lat 90., wielobarwne „dywany" z nici do tkania – jedna wielka scenografia. Przestrzenie te są wykorzystywane do kręcenia teledysków, organizowania koncertów oraz sesji ślubnych i modowych. Płytki podłogowe znanej firmy sprzed ponad 100 lat trwają, czynna jest winda służąca dawniej produkcji, jest i komin, a obok stylowa dawna willa właścicieli.

Czy dla 39-letniej właścicielki Anett Dörl dawne zakłady włókiennicze Bergamiego i Noacka to fabryka marzeń? Jej marzenia z pewnością wychodzą poza schematy, a konserwator zabytków gra w nich wielką rolę. – Kupiłyśmy tę fabrykę z mamą ponad 10 lat temu, zawsze chciałyśmy robić coś dla młodych ludzi, by ich zatrzymać w Forst. Z czasem to było za dużo dla mamy i od sześciu lat sama prowadzę Traumfabrik (Fabryka Marzeń). Ale nic z tego, co kupowałam, nie było zabytkiem, teraz jest inaczej i to problem – mówi „właścicielka ziemska", jak nazywa Anett jej kolega.

Przy niemal współczesnym obiekcie z żółtej cegły rodziny Noack kończą się wąskie tory dawnej kolejki, Czarnej Julci. Za płotem willa. Budowla z czerwonej cegły należała do Bergamich. – Do 1991 r. tkano tu sukno, moja mama wywodzi się z przemysłu tekstylnego. Kiedy dorastasz, jako dziecko ciągle jesteś w ruchu, nie możesz być spokojna, zwiedzasz trochę świata, płynie w tobie włoska krew, masz wyobraźnię – śmieje się energiczna Anett. W międzyczasie umawia wizyty turystów i prowadzi konsultacje ze studentką, która pisze pracę na temat tych obiektów. Marzenia mają swój ciężar i koszt.

– Jest idea, możemy ją urzeczywistnić, pytanie tylko, czy ja, następne pokolenie, czy ktoś inny. Uratowaliśmy to, co stało bezczynnie przez prawie 30 lat – objaśnia Anett. Położyła nowe dachy i rynny, wstawiła okna i drzwi. – Teraz potrzeba nowych okien, bo te wstawiliśmy przed wizytą konserwatora. Zawsze jest trudno, kiedy masz coś zrobić w miejscu, które najpierw było własnością prywatną, zostało skonfiskowane podczas wojny, potem znacjonalizowane do zjednoczenia Niemiec w 1991 r. Na parterze, w części Bergamiego, było najgorzej: nie było widać podłogi, wszystko było pokryte materiałem i zagracone na każdym piętrze. Ludziom z dnia na dzień powiedziano, że nie muszą już przychodzić, maszyny stały, magazyn był pełen paczek z wełną. I tak przez 25 lat. Zapaliło się dwa czy trzy razy.

Stoimy na warstwie masy wyrównującej na oryginalnych kaflach Villeroy & Boch. Tu odbyły się odczyty autorów „Spiegla", koncert barokowy artystów z Berlina i zespołów rockowych. Grafficiarze malujący od Halle po Moskwę i fotograficy podjęli temat „Porzucenie". Ale żadne dochody z takich imprez nie wystarczą, kiedy w „żółtym" budynku trzeba

eprasa.pl feab52a080



Anett Dörl w dawnych zakładach włókienniczych stworzyła Traumfabrik – Fabrykę Marzeń.



Dörthe Stein zajmuje się Archiwum Miejsc Zaginionych.



Maszynami tkackimi zajmują się mistrzowie Dietmar Heinrich i Stefan Buss.



Julia Koppetsch (z lewej) z autorką tekstu Beatą Dżon-Ozimek.

wstawić 78 okien 2,5 na 3 m, a teren obejmuje 1,1 ha.

Ostatnia z rodziny Bergamich, pamiętająca fabrykę, zmarła dwa lata temu. – Pewnego dnia stanęła u moich drzwi, dowiedziała się o mnie z wywiadu – wspomina Anett. Nie zdążyły jednak świętować 91. urodzin kobiety.

Tymczasem Anett zarządza swoimi pokojami gościnnymi, rozwozi dzieci na zajęcia, otwiera Fabrykę Marzeń dla gości, szuka środków i sprzymierzeńców. Czuć, że to jej miejsce, jeszcze ma energię. Kiedy gapimy się z góry na jej posiadłość, mówi: – Spójrz, tam są moje sokoły domowe i mój domowy lis.

Dama od ciężarów

Najważniejsza dawniej dama wagi ciężkiej, lokomotywa Czarna Julcia, odpoczywa. To dla niej w apogeum sukcesu przemysłowego ok. 45-tysięczne Forst pokryło się torami miejskiej kolei – zielone lokomotywy szybko poczerniały od sadzy. Czarna Julcia rozwoziła ze stacji Forst węgiel brunatny do 288 fabryk (1925), ciągnęła do pięciu wagonów z węglem z prędkością 8 km/godz. Ostatni uroczysty przejazd odbył się w 1965 r. Dzięki specjalnym wózkom przestawiano wagony normalnotorowe na miejskie, wąskie tory. Domyta i odmalowana Julcia stoi teraz w Forster. Muzeum Historii Włókiennictwa i Przemysłu Łużyc, na razie częściowo czynnym. Dla wielu jest prawdziwą perełką, ostatnią oryginalną lokomotywą.

Sieci torów, wciąż widocznych pośród XIX-wiecznych kocich łbów, kończą się przy dawnych fabrykach włókienniczych czy ciepłowniach, które bazowały na lokalnych odkrywkach węgla brunatnego. Prowadzi do nich Miejski Szlak Historii

eprasa.pl feab52a080

Kultury Przemysłowej. Tablice mają polskie napisy. Takie zagęszczenie zróżnicowanego i ciekawego architektonicznie postindustrialu trudno znaleźć nawet na Śląsku. Każdy mur i obiekt to historia sukcesów, wynalazków, jak tego z zastosowaniem końskiego włosia do produkcji tkanin Oswalda Hänsela, tzw. Hänsel-Rosshaar. W Forsterze można zobaczyć maszynę z pękiem włosia, gotową do pracy.

– Wspólnie z Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze i miastami partnerskimi z Polski, Brodami oraz Lubskiem, stworzyliśmy nazwę dla tej najważniejszej powstającej tu regionalnej placówki: Forster. Muzeum Historii Włókiennictwa i Przemysłu Łużyc. Chodziło o nazwę atrakcyjną bez względu na język, by wrosła w turystyczny krajobraz – wyjaśnia Jolanta Imbierska, która zajmuje się też marketingiem turystycznym i współpracą z polskimi biurami podróży.

Podłoga we foyer Muzeum Forster, innej fabryki rodziny Noack, gruntownie odrestaurowanej, zaczyna wibrować. Jaki jest klucz do wzoru? Kremowo-fioletowawe, niewielkie kafelki falują jak tkanina, rozlewają się od wejścia do wnętrza, są artystyczną wizją wzorów z 1900 r. z miejscowej szkoły tkackiej. Zawsze gdy realizuje się tu duży projekt budowlany, trzeba zainwestować określony procent w sztukę. Artystka Anett Lau wygrała konkurs na podłogę. Wcześniej zakopano pod nią kapsułę czasu.

Ta fabryka, dziedzictwo postindustrialne, ma szczęście, że zaraz po zamknięciu produkcji w latach 90. pomyślano o muzeum. Od dwóch dekad tam koncentrują się finanse pozyskiwane m.in. z niemieckiego krajowego projektu rozwoju miast. Projektem zarządza muzealniczka Julia Koppetsch. Julia zbierała doświadczenia m.in. w Chile, które jest największym w świecie importerem tekstyliów. Aktualnie realizuje plany, dogląda treści, pilnuje szczegółów projektu i doboru kolorów.

– Wszystko musi być spójne i harmonijne. Dostępne są świetne materiały, na których nie widać odcisków palców, ze specjalną powłoką zapewniającą dużą odporność. Każdy „pokój tematyczny” ma własną kolorystykę. Jest i część dla dzieci – opowiada Julia Koppetsch. – Chcieliśmy, żeby wystawa była w trzech językach: niemieckim, polskim i angielskim, liczymy na przyjazd polskich gości, chcemy ich zachęcić tym gestem. Będzie dużo materiałów multimedialnych, w tym specjalna ścieżka dźwiękowa, dzięki której można usłyszeć hałas fabryki, powrócił też zapach maszyn i oleju maszynowego – wylicza szefowa projektu.

Maszyny tkackie sprzed lat są składane, olejone i uruchamiane. Uwijają się przy tych cackach technicy mistrzowie, technicy z innych czasów, Dietmar Heinrich i Stefan Buss. Pozwalają sobie patrzeć na ręce.





Muzeum Forster ruszy pełną parą w marcu 2027 r.

Fascynuje to końskie włosie. Było skręcane w przędzę, mocną nić używaną do podszewek, wzmocnień np. na ramionach, ale i dla ciepła. Hänsel, autor wynalazku, uciekł przed II wojną światową i zabrał technologię na Zachód, zarządzał nią aż do 2015 r. – Nie wiem, czy coś takiego jest używane na świecie, ale to był bardzo wysokiej jakości materiał. Nasz mechanik Stefan Buss, czuły na te kwestie, wspomina prezydenta Baracka Obamę, który miał źle dopasowaną marynarkę, a z naszym włosiem by mu się to nie zdarzyło. Szkoda, że Obama nie miał nic wspólnego z Forst – śmieje się Julia Koppetsch.

Odkurzacz i Serbołużyczanie

Nieszczęściem dla 137 miejscowości na Łużycach od 1924 r. był węgiel brunatny, dający napęd np. przemysłowi tekstylnemu w Forst. Dla ok. 25 tys. ludzi oznaczał apokalipsę przymusowych wysiedleń: opuszczenie domostw, przenosiny, utratę tożsamości. Po wielu miejscach pozostały tylko symboliczne kamienie, krzyże, ślady tabuizowanej, niewygodnej pamięci. Szczególnie dotknęło to słowiańską mniejszość, Serbołużyczan, często pozostawało im jedynie dziedzictwo niematerialne, czyli język.

– Jeśli gdzieś toczy się wojna i trzeba uciekać, później, jakkolwiek straszne by to było, można wrócić i powiedzieć: „Stąd pochodzę”, „Tam stał mój dom” albo „Mój dom nadal

eprasa.pl feab52a080



Przestrzenie Traumfabrik są wykorzystywane do kręcenia teledysków, organizowania koncertów oraz sesji ślubnych i modowych.

W Forsterze można zobaczyć maszynę z pękiem końskiego włosia, gotową do pracy.

tam stoi". Nie mogą tego o sobie powiedzieć przesiedleńcy, ich dom już nie istnieje, jest kopalnia. Dlatego wspomnienia też giną, prawda? Zawsze miałam wrażenie, że jeśli zapomniałam, jak wyglądała moja babcia, to dlatego, że kojarzyłam ją z orzechem włoskim, pod którym siedziała. I nie ma już orzecha włoskiego, przez to zapomniałam, jak wyglądała babcia – opowiada Serbołużyczanka z Horno, najwaleczniejszej miejscowości, która i tak przegrała z kopalnianym molochem. Została odtworzona na swoich warunkach. Dziś ta wieś, Rogow (Horno), z serbołużyckimi nazwami ulic i instytucji, leży w granicach Forst.

Tak w 2006 r. dzięki walce Serbołużyczan i Niemców m.in. o pamięć powstało Archiwum Miejsc Zaginionych, centrum dokumentacji przesiedleń związanych z górnictwem, a siedzibą stało się właśnie nowe Horno. Bezcenna baza danych o miejscach, które zniknęły – informacje, zdjęcia, wspomnienia – jest stale rozbudowywana, a teraz archiwum przekształca się w część Muzeum Forster, zajmuje się nim Dörthe Stein. Najbardziej lubianym elementem był jeszcze w Horno „infoodkurzacz": zwiedzający wyposażeni w obuwie ochronne dreptali z „odkurzaczem" z ekranem i „zasysali" informacje z żółtej mapy-dywanu Łużyc.

Odkurzacz historii, rewolucyjny 20 lat temu, być może jedyny taki na świecie, już nie powróci. Ale przesiedlenia trwają, choćby ze względu na lotniska czy zbiorniki retencyjne. Dörthe Stein i innym zależy, by pamięć o nieistniejących wsiach przestała być tabu: – W czerwcu zawsze obchodzony jest tzw. Dzień Utraconych Wsi Serbołużyckich. Zazwyczaj tworzy się wtedy nowe miejsce pamięci albo istniejące miejsce jest rozbudowywane.

Richard i Józef

Mechanik Dietmar Heinrich, słysząc język polski, zatrzymuje mnie: – Możemy chwilę? Moja mama pochodziła z okolic Wrocławia, ojciec z miejscowości, która była kiedyś niemiecka, a teraz polska. Ojca zabrała żandarmeria wojskowa z praktyk w leśnictwie, jako 17-latek pojechał do Francji na Służbę Pracy Rzeszy, stamtąd do Rosji, na front wschodni jako szeregowy w Wehrmachcie. Pozwolono mu iść na przepustkę, a ponieważ był strzelcem, musiał podróżować z bronią. Przyjechał do swojej wsi, która dziś jest polska, wtedy byli tam robotnicy przymusowi. Był tam Polak o imieniu Józef. Kiedy mój ojciec, Richard, tam dotarł, wszyscy go witali. Po jakimś czasie zawołał: „Josef, masz mój pistolet. Teraz ty idź na front, a ja zostanę tutaj". I skok w czasie: rok 1962, zawarto jakąś umowę między PRL a NRD, że z wizą można podróżować do Polski, ojciec mógł po raz pierwszy po wojnie odwiedzić dawną ojczyznę. Wjeżdża do wioski, a Josef, ten Polak, został tam i przejął karczmę, zobaczyli się: „Richard, nie mogę w to uwierzyć, to ty! Wejdź!". Polacy są bardzo gościnni, wiem, byłem tam, wszystko było: sznaps, piwo, ciasto, mięso. Muszę powiedzieć, że nienawiść, wojna między Niemcami a Polakami istniała tam, na górze, nie wśród ludzi. Wojna zawsze jest ciężka, zwłaszcza dla kobiet i dzieci. Ojciec dostał się do niewoli na Syberię w 1943 r., był jeńcem wojennym przez siedem lat, nauczył się rosyjskiego. Zawsze mówił, że Rosjanom też nie żyło się lepiej – wyrzuca z siebie pan Dietmar. Jakby czekał na takie przypadkowe spotkanie, w którym, dotykając najgłębszych emocji, mógłby się podzielić wspomnieniami. Pewnie ważne było to, że jestem z Polski.

– Ojciec powiedział coś, czego ludzie nie lubią słyszeć w dzisiejszych czasach, ale i tak to powiem, bo jestem demokratą. Zapracowaliśmy na reparacje. Dlaczego? To była zbrodnia wojenna – podsumowuje mój rozmówca.

Jak szybko można opowiedzieć historię, czyjeś życie, wyrazić poglądy i niejako prosić o wybaczenie… W tym króciutkim spotkaniu ważna była intensywność, nie okoliczności. Mocno, z głębi zapłakaliśmy, uścisnęliśmy się i każde wróciło do swoich zajęć. Takie to Forst, otwiera dusze, otwiera nawet w zaufaniu kościół św. Mikołaja, by po godzinach, w świetle łamanym przez witraże, móc zatopić się w kolejnych historiach.

Beata Dżon-Ozimek
b.dzon@tygodnikprzeglad.pl

Dziękuję za organizację i gościnę Eigenbetrieb Kultur, Tourismus, Marketing Rosenstadt Forst (Lausitz) i pani Jolancie Imbierskiej. Tekst powstał dzięki Stypendium Dziennikarskiemu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej.

FOT. J.IMBIERSKA

eprasa.pl feab52a080



Sycylię z Kalabrią połączy najdłuższy most świata

Nowe pokolenie Włochów ma dość archaicznej przeprawy na najważniejszą ze swoich wysp

Chrystian Ślusarczyk

Most, który połączy Półwysep Kalabryjski z Sycylią, ma być najdłuższym na świecie mostem wiszącym. Jego długość wyniesie ok. 3,7 km, rozpiętość między przęsłami – 3,3 km.

Pomysły, by połączyć Kalabrię z Sycylią trwałą konstrukcją, pojawiały się już w... starożytności, w roku 252 p.n.e. Naukowcy nie mają wątpliwości, że już wtedy próbowano ustawić na wodach Cieśniny Mesyńskiej tuziny konstrukcji przypominających pontony.

Do tematu mostu w tym strategicznym miejscu na poważnie powrócono w XIX w., jeszcze przed zjednoczeniem Włoch, gdy władcą Królestwa Obojga Sycylii był Ferdynand II z dynastii Burbonów. Panuje przekonanie, że zarówno południe Italii, jak i Sycylia zawsze były (i są) traktowane jako miejsce bez wielkiego znaczenia. Tymczasem przed zjednoczeniem to właśnie w Królestwie Obojga Sycylii rozwijano transport i budownictwo. Dopiero po zjednoczeniu Włoch nastąpił regres cywilizacyjny regionu. Jednak przeniesienie w 1871 r. stolicy Włoch do Rzymu, skąd bliżej było na południe, spowodowało, że odżył pomysł połączenia włoskiego buta z jego największą wyspą. Takie trwałe połączenie miało zmniejszyć widoczne do dziś różnice cywilizacyjne między bogatszą północą a biedniejszym południem.

Na początku XX w. stałe połączenie niekoniecznie oznaczało budowanie mostu. Pojawiła się koncepcja, którą zrealizowano między Anglią a Francją – budowy podmorskiego tunelu.

Zawirowania historyczno-przyrodnicze

Plany budowy mostu zatrzymało także tragiczne w skutkach trzęsienie ziemi z 1908 r., o sile 7,1 stopnia w skali Richtera. Doszczętnie zniszczyło ono Mesynę. Śmierć poniosło wówczas 80 tys. osób, większość

eprasa.pl feab52a080

właśnie w Mesynie. To wydarzenie spowodowało, że zarzucono również pomysł tunelu. Przeciwnicy owych projektów wskazywali liczne przeszkody z naturą w roli głównej. Poza ryzykiem wstrząsów tektonicznych wymieniali bliskość aktywnego wulkanu, Etny, którego pyły mocno pogarszałyby widoczność na moście. Zwracali poza tym uwagę – co podkreślane jest i dziś – na silne prądy morskie w zatoce, widoczne nawet z satelitów.

Nad Cieśniną Mesyńską notowane są bardzo silne porywy wiatru. Obecny most został więc zaprojektowany tak, aby wytrzymać wiatry o prędkości do 216 km/godz., czyli znacznie powyżej maksymalnej prędkości wiatru zarejestrowanej w tym rejonie, wynoszącej 140-150 km/godz.

Przeciwnikom budowy mostu, obawiającym się i wstrząsów, i tsunami, podawano za przykład słynny most Golden Gate w Kalifornii, postawiony na obszarze o wyjątkowo silnej aktywności sejsmicznej.

Pomysł skonstruowania mostu rozpatrywano także w latach 30., kiedy Włochami rządzili faszyści Mussoliniego, którzy chcieli go zbudować w ramach panującej wtedy gigantomanii architektonicznej. Po wojnie zmagający się z seriami kryzysów ekonomicznych kraj miał zupełnie inne priorytety niż połączenie południowych krańców.

Temat mostu powrócił w czasach bumu gospodarczego w latach 70. i nieco później, m.in. za sprawą Silvia Berlusconiego, który chciał na trwałe zapisać się w historii. Polityk istotnie zapisał się na kartach historii swojego kraju, ale raczej nie spektakularnymi inwestycjami o charakterze patriotycznym.

W 2013 r., gdy istniał już mocno zaawansowany technicznie projekt mostu, Włochy popadły w poważne tarapaty finansowe. Na czele technokratycznego rządu stanął Mario Monti, zapamiętany z niepopularnych działań oszczędnościowych mających na celu ustabilizowanie sytuacji gospodarczej kraju. Kwestia mostu praktycznie wówczas zniknęła z dyskusji publicznej.

Prawica – za, lewica i mafia – przeciw

Czas powolnego wychodzenia z kryzysu ponownie rozbudził chęć posiadania strategicznego mostu. Ostatnie lata przyniosły wyraźniejszy niż wcześniej podział: na lewicowych przeciwników jego budowy oraz prawicowych, gorących zwolenników. Politycy lewej strony są zdania, że Włochów nie stać na taką inwestycję (przy sporym obecnie zadłużeniu kraju). Proponują mądre (a z tym jest teraz poważny problem) wykorzystywanie środków unijnych i przeznaczenie ich na budowę infrastruktury drogowo-kolejowej. Lewica ma nadzieję, że budowanie autostrad prowadzących donikąd czy tras kolejowych, którymi i tak nikt nie będzie jeździł, wreszcie się skończy. Przypomina, że na Sycylii połowa linii w dalszym ciągu nie jest zelektryfikowana. Postuluje też, by zająć się odkładanymi od lat remontami i modernizacjami. Podkreśla również, że priorytetem włoskiego resortu transportu powinno być niedopuszczenie do powtórki tragedii z Genui, gdzie w 2018 r. w wyniku zawalenia się wiaduktu zginęły 43 osoby.

Z kolei zwolennikami budowy supermostu nad Cieśniną Mesyńską są premier Giorgia Meloni i wicepremier oraz minister infrastruktury i transportu Matteo Salvini. Wicepremier Salvini jest przy tym przekonany, że mafia tym razem nie przeniknie do procedur budowlanych – włoski rząd ma zagwarantować, że każde euro zainwestowane w most skontrolują organy nadzorcze.

Zwolennikami budowy supermostu są premier Giorgia Meloni i wicepremier oraz minister infrastruktury i transportu Matteo Salvini.

Jednak mafia, jak ocenia prof. Stefan Bielański z Katedry Geopolityki i Studiów Włoskich Uniwersytetu Komisji Edukacji Narodowej w Krakowie, swoje trzy grosze zapewne wtrąci. I to zarówno ta kalabryjska, jak i sycylijska. Włoska mafia według różnych źródeł wciąż liczy 9-10 tys. osób działających na całym świecie. Ale zdaniem policji i jej informatorów najwyższe szefostwo cosa nostry jest przeciwne budowie. Powodów niechęci jest wiele – to m.in. pojawienie się nowych miejsc pracy w regionie, napływ środków finansowych i narzucenie odgórnej państwowej stabilizacji. A cosa nostra prosperuje, wykorzystując przede wszystkim biedę, zacofanie i słabość państwa.

Zbudowanie mostu może zatem zniszczyć albo mocno zredukować źródła jej wpływów i kontroli, wciąż mocno odczuwalnych w całym regionie Mesyny. Prof. Bielański sądzi, że powstanie mostu może się przyczynić do odrodzenia mafii. We włoskich mediach nie brakuje zaś głosów, że nawet gdyby most powstał, mafia będzie blokować jego oddanie do użytku.

Ekolodzy mówią „nie”

Budowa mostu, związany z nią hałas, rozkopanie ogromnych obszarów, nieuniknione zanieczyszczenie oraz niszczenie flory i fauny aktywizują włoskich ekologów. A ci w blokowaniu inwestycji mają doświadczenie jak mało kto. Proces budowy może mieć pośredni lub bezpośredni wpływ na śmierć wielu cennych organizmów. Tereny po obu stronach Cieśniny Mesyńskiej są chronione na mocy dyrektywy środowiskowej (siedliskowej i ptasiej) Unii Europejskiej. Światowy Fundusz na rzecz Przyrody (WWF) i inne organizacje, takie jak LIPU (Lega Italiana Protezione Uccelli, Włoska Liga Ochrony Ptaków) czy Greenpeace, wszczęły już przeciwko rządowi włoskiemu serię procesów.

Szacuje się, że przez cieśninę każdego roku przelatuje ok. 300 różnych gatunków ptaków. Wiele z nich to ptaki migrujące. Gdyby budowa się rozpoczęła, ucierpiałyby też delfiny, płetwale błękitne i żarłacze białe.

FOT. STRETTODIMESSINA IT

eprasa.pl feab52a080

Szczególnie trudny okres nastałby dla kaszalotów, które przez cieśninę migrują.

Protestują ekolodzy, ale i lokalna ludność. Łącznie po obu stronach cieśniny przewiduje się wyburzenie 450 domów. Rząd planuje wywłaszczenie setek mieszkańców tylko z okolic jednego 400-metrowego pylonu. Zdaniem przewodniczącego komitetu No Ponte (Nie dla mostu) taka ingerencja w krajobraz w tak niezwykłym miejscu jest nie do zaakceptowania.

Komitet zarzuca władzom, że te nie zaznajamiają mieszkańców z niezbędnymi badaniami hydrologicznymi, sejsmicznymi i krajobrazowymi. „Ten region potrzebuje ogromnych inwestycji, ale na pewno nie w most. Nie realizuje się tu podstawowych potrzeb mieszkańców. W ubiegłym roku wielu z nas cierpiało na dotkliwy brak wody. Nie mówiąc już o dramatycznym stanie służby zdrowia i rozsypujących się po obydwu stronach cieśniny szkołach", mówił, nie kryjąc goryczy, aktywista z No Ponte Gino Sturniolo w wywiadzie dla Euronews.

„Nigdzie się stąd nie ruszę! – powiedziała lokalnej prasie mieszkanka Mesyny Mariolina De Francesco. – Jeśli miałabym odstąpić swój dom pod szpital onkologiczny, zrobiłabym to. Ale nie pod coś tak bezsensownego i niepotrzebnego".

Zielone światło zapalone

Pierwszy konkretny projekt mostu powstał w 1953 r. Jego autorem był amerykański inżynier David Steinman. Kolejne lata przynosiły i nowe projekty, i modyfikacje tych już istniejących. Wszystkie tonęły w morzu krytyki, niekompetencji i bezradności.

Dziś za sprawą działań wicepremiera Salviniego do rozpoczęcia budowy jest wyjątkowo blisko. Rząd Giorgii Meloni przeznaczył na ten cel 13,5 mld euro. Premier przekonuje rodaków, że uda się wygospodarować tak gigantyczne środki.

Most, który ma ułatwić życie przedsiębiorcom, zwykłym zjadaczom chleba i turystom, a także stanowić część infrastruktury NATO, ma być gotowy do 2032-2033 r. Konstrukcja ma scalić Sycylię i Kalabrię w miejscu, gdzie oba brzegi są najbliżej siebie. Połączy gminy Villa San Giovanni w Kalabrii i Mesyna na Sycylii.

Rozpięta zostanie między dwoma pylonami o wysokości 400 m. System zawieszenia oparty będzie na kablach o średnicy 1,26 m i długości ponad 5 km – co stanowi przełom w dziedzinie inżynierii. Prześwit przeprawy dla statków wyniesie 72 m na szerokości 600 m. Konstrukcja będzie miała po trzy pasy ruchu w obu kierunkach oraz infrastrukturę kolejową. Maksymalna przepustowość mostu ma wynieść 6 tys. pojazdów na godzinę i 200 pociągów dziennie. Żywotność mostu planowana jest na 200 lat.

Maksymalna przepustowość mostu ma wynieść 6 tys. pojazdów na godzinę i 200 pociągów dziennie.

W związku z budową mostu w Kalabrii zaplanowano powstanie ok. 10 km nowych dróg i 2,7 km linii kolejowych łączących most z historyczną Linią Tyrreńską i przyszłą linią dużych prędkości między Salerno a Reggio Calabria. W miejscowości Piale będzie nowoczesne centrum zarządzania projektem z przestrzenią handlową i konferencyjną. Na Sycylii zaś powstanie 10,4 km dróg oraz 17,5 km torów kolejowych, które połączą most z siecią regionalną (Mesyna-Katania, Mesyna-Palermo). W Mesynie zbudowane zostaną trzy nowe stacje kolejowe: Papardo, Annunziata i Europa – które zapewnią dostęp do mostu z centrum miasta, z uczelni i szpitali.

Włosi mają powiedzenie: „Zrobię to, kiedy powstanie most nad Cieśniną Mesyńską". Dziś realizacja jednego z najdroższych i najbardziej kontrowersyjnych projektów infrastrukturalnych wydaje się bliższa niż kiedykolwiek wcześniej.

Jak informuje huffingtonpost.it., rozpoczęcie budowy ma nastąpić we wrześniu. Wszystko wskazuje na to, że nowe pokolenia Włochów mają już dość archaicznej przeprawy na najważniejszą ze swoich wysp.

Chrystian Ślusarczyk



eprasa.pl feab52a080



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Czy komuniści w ogóle istnieli?

Zdecydowałem się skreślić klika uwag po doświadczeniu mojego kolejnego w ostatnich miesiącach spaceru z czerwoną flagą. Najpierw był Zamość – w urodziny Róży Luksemburg, potem upamiętnienie Stefana Okrzei. Tym razem wędrowaliśmy w dwie osoby – z Marią Świetlik, działaczką związkową, lewicową aktywistką, współautorką listu do władz Warszawy w sprawie niewywieszania flag Państwa Izrael podczas obchodów rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim.

Za tym pomysłem stoją po prostu fakty: PPR i Gwardia Ludowa były obok Bundu (Marek Edelman) najliczniejszymi formacjami wchodzącymi w skład Żydowskiej Organizacji Bojowej. Każda z tych grup to około sześćdziesięciorga walczących. Grupa komunistyczna zginęła niemal w całości, ocalali bundowcy z Edelmanem i lewicowi syjoniści z „Antkiem" Cukiermanem i Cywią Lubetkin cudem przeżyli masakrę w kwietniu i maju 1943 r. Niektórzy walczyli potem w powstaniu warszawskim, głównie w oddziałach Armii Ludowej i Gwardii Ludowej. To ich opowieści zbudowały pamięć o żydowskim zrywie, pierwszym masowym akcie zbrojnego oporu w okupowanej przez hitlerowców Europie.

Pierwszym aktem tworzenia ŻOB było zawiązanie w marcu 1942 r. Bloku Antyfaszystowskiego, którego jednym z przywódców (obok Anielewicza, Kapłana i Cukiermana) był Józef Lewartowski z Polskiej Partii Robotniczej. Z kolei odpowiedzialnym za szkolenia bojowe Bloku był inny działacz PPR, Pinkus Kartin (Andrzej Szmidt), były dąbrowszczak walczący w wojnie domowej w Hiszpanii. Zarówno Lewartowski, jak i Kartin zginęli przed wybuchem powstania w getcie. Kartin, aresztowany po donosie, został zakatowany na śmierć na Pawiaku, nikogo podczas tortur nie wydał.

W PRL Lewartowski został upamiętniony ulicą na terenie dawnego getta – istnieje do dziś. Imię Pinkusa Kartina nosiła mała uliczka na Zaciszu – kiedy w wyniku rozbudowy zniknęła, wraz z nią zniknęła pamięć o Kartinie. W III RP jednym z odprysków szału dekomunizacyjnego była kampania w sprawie pozbawienia Lewartowskiego ulicy. Jak dotąd nieskuteczna, ulica trwa.

Tak naprawdę ten wpis jest o czym innym – o tym, czego doświadczyłem podczas przemarszu z czerwoną flagą szlakiem bojowniczek i bojowców getta. W oczach wielu osób widziałem zdumienie, coś w rodzaju: a to skąd? Po co? Dlaczego? Jakim prawem? W czyim imieniu? Nieliczni, raczej znajomi, osoby, dla których historia buntu w kwietniu 1943 r. nie jest białą plamą, decydowali się zapytać – z niedowierzaniem słuchali mojej opowieści o komunistycznych bojowniczkach i bojowcach w getcie. Ich walka, śmierć zostały całkowicie wygumkowane z tej historii, pamięć o nich nie przetrwała. Sam fakt – liczebność grupy i jej znaczenie – po prostu z opowieści o zrywie polskich Żydów został wyrugowany. Jak u Marksa wielość działań ruchu robotniczego, tysięcy działaczy, związkowców wyniosła do istnienia słynne „widmo komunizmu", tak w tej historii „widmo komunizmu" pozbawiło pamięci o istnieniu dziesiątki prawdziwych osób (bohaterek i bohaterów). Ich często powikłane historie i losy rozpłynęły się w nicości, ślady ich życia i walki są sporadyczne, rozproszone, z opowieści o powstańczym getcie zniknęły. Trochę z tego powodu podjęliśmy tę inicjatywę, choć byliśmy świadomi, jak bardzo ta pamięć przestała istnieć, jak może budzić zdziwienie i – chwilami – oburzenie.

W całej tej historii oglądamy na własne oczy mechanizmy moderacji i dekompozycji dyskursu historycznego, gdzie w wyniku posłuszności „nowej wizji" fakty, dramatyczne doświadczenia, a w końcu sami ludzie znikają w kazamatach niepamięci. Tak pisze się nowa historia rozumiana jako pole walki. Piszą ją zwycięzcy, ci, co przeżyli, ci, których nie boli wymazywanie dawnych towarzyszy boju. Krew dzieli się na dobrą i złą, naszą i obcą, akceptowaną i odrzucaną, aż w końcu po prostu nieobecną. Nasz spacer wziął się z niezgody na takie potraktowanie bojowników z racji późniejszych, po 1989 r., ocen politycznych.

Tak więc w wojnie flag okazało się, że obwieszenie całej trasy pamięci flagami Izraela w dobie jego ludobójczych działań jest w porządku, natomiast jedna czerwona flaga, nawet nie radziecka, tylko ta ruchu robotniczego z XIX i XX w., budzi podejrzenia. Na sam koniec podeszła jednak do nas starsza pani mieszkająca na stałe we Francji i szepnęła: „Jak dobrze, że jest tu ta czerwona flaga". Była to córka przedwojennych komunistów – związkowców broniących praw polskich górników pracujących we francuskich kopalniach. Ona wiedziała, dlaczego ta flaga jest na swoim miejscu.

Wszystko to piszę w przededniu 1 Maja, wielkiego święta historii robotniczych protestów, walk, zmagań o lepszy i sprawiedliwszy świat. Spodziewam się, że podczas pochodu organizacji związkowej ta czerwona flaga będzie wreszcie tam, gdzie powinna być. Ale kto tam wie? Niech się święci 1 Maja! Święto praw pracowniczych i walki o strajk – praw, które same się nie obronią, bo władza wyrosła z ruchu robotniczych protestów, Solidarności, dzisiejszych związkowców prawa do strajku skutecznie pozbawiła. ■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl feab52a080

Plakat jak kromka kultury

Codzienny i pełen znaczeń – polski plakat znów w centrum uwagi

Rozmawia
Bronisław Tumiłowicz



MICHAŁ WARDA
– muzealnik i historyk sztuki, kurator w Muzeum Plakatu w Wilanowie

Muzeum Plakatu w Wilanowie znów otwarto po dłuższym remoncie i renowacji. Czym się różni od poprzedniego?

– Muzeum poddano pierwszej w historii tak gruntownej modernizacji, dzięki której była możliwa realizacja ekspozycji stałej polskiego plakatu. Dotychczas organizowaliśmy liczne wystawy czasowe. Od inauguracji w 1968 r. odbyło się niemal 300 pokazów tematycznych. W latach 1994-2016 muzeum było też organizatorem prestiżowego Międzynarodowego Biennale Plakatu w Warszawie czy prezentowanej naprzemiennie cyklicznej wystawy przeglądowej Salon Plakatu Polskiego.

Jak można zdefiniować, czym jest plakat?

– Wbrew pozorom niełatwo zdefiniować, czym on jest, zwłaszcza obecnie, w czasach dynamicznych przemian technologicznych widocznych w przestrzeni medialnej. Plakat jest zatem zarówno dziedziną grafiki projektowej, jak i medium, drukiem wysokonakładowym, narzędziem komunikacji wizualnej. Bez wątpienia również jest dziedziną, której narodziny w połowie XIX w. nieodłącznie związane były z początkami współczesnej reklamy i kultury masowej. Ale równocześnie plakat zyskał miano obiektu sztuki w XX w. i stał się obszarem poszukiwań oraz eksperymentów twórczych. Funkcją plakatu jest skuteczna, zgodna z zamierzonym celem komunikacja i perswazja, w której autor wykorzystuje liczne techniki plastyczne ujęte w ramy syntezy wizualnej. Ta dyscyplina wypowiedzi nie jest zarezerwowana wyłącznie dla plakatu, bo podobną rolę odgrywają inne dziedziny grafiki projektowej, takie jak identyfikacja wizualna, grafika informacyjna i wydawnicza, które kształtują nasze otoczenie wizualne.

I wszystkie plakaty mają ten sam wymiar: 100 na 70 cm.

– W większości wypadków tak, chociaż międzynarodowa norma, z której pochodzi ten kojarzony z plakatem format B1, nie obowiązuje we wszystkich krajach. Historia wprowadzenia znormalizowanych arkuszy drukarskich sięga lat 20. XX w., co pokazuje również, że plakat był od początku ściśle związany z rozwojem techniki, rynku reklamowego i przemysłu poligraficznego. Wprowadzona wówczas po raz pierwszy w Niemczech przez Deutsches Institut für Normung (Niemiecki Instytut Normalizacji) tzw. norma wszystkich norm DIN 476 towarzyszy nam po niewielkich korektach do dziś. Znamy ją wszyscy pod postacią kartki A4 i formatów pochodnych, które miały zaoszczędzić nasz czas poprzez usprawnienie obiegu dokumentów oraz pomóc optymalnie zaprojektować wyposażenie biur. W Polsce ową normę wprowadzono w latach 30. XX w.

Natomiast na sam plakat wpływ miało nie tylko wynalezienie pod koniec XVIII w. barwnego druku litograficznego, który w kolejnym stuleciu uczynił z niego najbardziej demokratyczną, powszechnie dostępną formę sztuki graficznej, ale też organizowanie jego prezentacji w przestrzeni miejskiej. W 1854 r. Ernst Litfass wyprowadził na ulice Berlina charakterystyczne słupy ogłoszeniowe, które w Warszawie zagoszczą za sprawą Fryderyka Koepkego w 1890 r.

Na obecnej wystawie stałej oglądamy 240 plakatów z 36 tys. znajdujących się w kolekcji muzeum. Jakie kryteria wam przyświecały?

– Kryteria obejmowały jak najpełniejszą reprezentację polskiej twórczości w dziedzinie plakatu. Temu służyć mają kolejne odsłony wystawy, kiedy nastąpi wymiana jednych prac na drugie, równie reprezentatywne. W ciągu roku pokażemy łącznie ponad 750 plakatów. Co miesiąc będziemy wymieniać część z nich, trzymając się podstawowych tematów, których prace dotyczą. Pokażemy wtedy także słynne tytuły i plakaty unikatowe, z których zachowały się pojedyncze sztuki. Wszystko dotyczy tych samych okresów historii, nierzadko tych samych autorów i prac zaprojektowanych na podobny temat. Jest to wspólna opowieść i choć plakaty się zmieniają, koncepcja piątki kuratorów wystawy, którzy odpowiadają za poszczególne okresy

eprasa.pl feab52a080



W odnowionym Muzeum Plakatu przy ul. Stanisława Kostki Potockiego 10/16 w warszawskim Wilanowie.

historii, pozostaje taka sama. Przyjęliśmy układ chronologiczny. Mnie przypadł w udziale okres najpóźniejszy. Każdy z nas podejmował samodzielnie decyzje, aby jak najpełniej ukazać rozwój form artystycznych, które uznał za ważny dokument epoki, biorąc pod uwagę jego znaczenie i funkcje anonsujące wydarzenia polityczne, kulturalne, społeczne, będące zarazem tekstem kultury. Plakat nie tylko mówi sam za siebie, ale także opowiada o czasach, w których powstał. Zależało nam na wyborze nie tyle prac reprezentatywnych, ile najbardziej znaczących w historii, polityce i kulturze.

Te zamierzenia chyba udało się zrealizować?

– Mamy w muzeum opowieść o naszej historii przez pryzmat plakatu, informację odbieraną z perspektywy ulicy, kiedy nadawca konfrontował się z odbiorcą. Może dla niektórych będzie to tylko zmultiplikowany gwar, chaos różnych zdarzeń i doznań, ale zarazem mamy tu dialog i bogatą opowieść o dziesiątkach lat polskich ulic i naszej zbiorowej wyobraźni. Plakat jest więc świadkiem i uczestnikiem historii, faktów ważnych i mniej istotnych. W plakacie tkwi potencjał istotnego dokumentu epoki, symbolu przeszłości. Poza zachowanymi zdjęciami archiwalnymi, fragmentami kronik filmowych czy opisem wydarzeń na kartach podręczników i książek historycznych, mamy do dyspozycji medium, które pobudza wyobraźnię, pomaga kojarzyć minione zdarzenia. Jest barwnym, wyrazistym medium, które stanowi część naszej zbiorowej pamięci.

Plakat nie tylko mówi sam za siebie, ale też opowiada o czasach, w których powstał.

Wystawa ma silny walor edukacyjny i chodzi o edukację nie tylko historyczną, ale i artystyczną.

– Tak, zwłaszcza ta druga wymaga szczególnej uwagi, bo szkoła nie przygotowuje w wystarczającym zakresie do świadomego kontaktu ze sztukami wizualnymi. Każdy plakat opowiada własną historię na swój indywidualny sposób. Mówi o naszej wspólnej historii, ale i o fascynacjach samych twórców. Nie staramy się w żaden sposób ich oceniać, bo te prace pozwalają każdemu wyrobić sobie własne zdanie. Prowadzimy odbiorców poprzez historię, ilustrujemy jej najważniejsze momenty i przypominamy, że plakat nie jest wyłącznie atrakcyjnym wizualnie, graficznym czy malarskim obrazem, to równocześnie ważny nośnik treści oraz forma dialogu z odbiorcą.

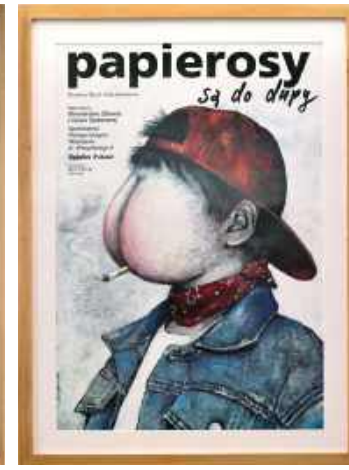
W jednej z wypowiedzi, wspominając o unikatowym zjawisku, jakim była polska szkoła plakatu, zauważył pan, że na jej istnieniu zaważyła cezura transformacji ustrojowej. W czym to się przejawiało?

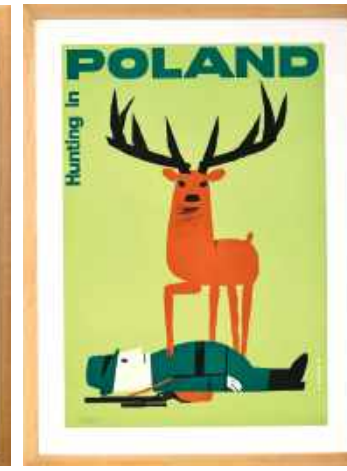
– W tym specyficznym momencie dynamika wydarzeń politycznych końca lat 80. zbiegła się z przełomem technologicznym – wprowadzeniem i upowszechnieniem technologii cyfrowych w projektowaniu graficznym oraz rozwojem mediów audiowizualnych, co wywarło ogromny wpływ także na przemiany kulturowe i społeczne w Polsce. Komputeryzacja – przegrana z Zachodem rywalizacja na tym polu krajów bloku wschodniego była jednym z powodów upadku dyktatur komunistycznych. W przestrzeni publicznej nastąpiło zauważalne i gwałtowne przejście od dyktatury politycznej do wolności obywatelskiej i gospodarczej.

eprasa.pl feab52a080









Miejsce powszechnej cenzury i propagandy zajęła obca nam kulturowo reklama. Spowodowało to konieczność zmiany i adaptacji nowego języka komunikacji wizualnej, w którym dostrzegalne były cywilizacyjne aspiracje społeczeństwa na nowo uczącego się reguł rynku reklamowego. Sytuacja wpłynęła nie tylko na sposób projektowania, ale i na cały dotąd silnie scentralizowany system wydawniczy, w ramach którego nastąpiła również swoista deregulacja zawodu projektanta graficznego, którym mógł się stać niemal każdy, bo stracił aktualność wymóg posiadania odpowiedniego dyplomu i kwalifikacji. Zapotrzebowanie rynku, otwarty dostęp do zawodu i niższy próg wejścia dzięki nowoczesnym narzędziom projektowym wpłynął zauważalnie na niską jakość i chaos wizualny w polskich miastach lat 90.

Jak odebrali to twórcy?

– Dla wielu twórców szokiem było wycofanie się państwa z prowadzonej w poprzedniej epoce z rozmachem aktywności, m.in. w zakresie edukacji zdrowotnej i kulturalnej, w postaci masowej produkcji ulotek, folderów i plakatów. Niektórzy projektanci mierzyli się też z barierą technologiczną, zanim opanowali programy graficzne. Problem stanowił poza tym model edukacji artystycznej, który nie nadążał za potrzebami współczesnych mediów i dynamicznie rozwijającego się rynku reklamy. Wchodzące na rynek pracy na początku XXI w. pokolenie projektantów ukształtowanych w kulcie polskiej szkoły plakatu, której domeną była przestrzeń kultury – kino, teatr, galerie i muzea – wpadało w struktury agencji reklamowych i pragmatycznych reguł rynku, gdzie największe znaczenie ma cel wskazany przez klienta, a nie twórcę. Konieczne były edukacja, ewolucja metodologiczna i odejście od dominującej idei plakatu artystycznego ku zasadom grafiki projektowej.

Na szczęście kapitał kulturowy polskich projektantów i ich silna potrzeba edukacji stały się solidnym fundamentem, pozwalającym zachować im kluczową wartość polskiego plakatu – kreatywną samodzielność i skłonność do przełamywania konwencji. Dzięki licznym inicjatywom projektantów, powoływanym przez nich stowarzyszeniom, poprzez organizację wystaw, spotkań i konferencji, środowisko skutecznie odbudowuje status i znaczenie grafiki projektowej, przy dość biernej postawie niedofinansowanych państwowych instytucji kultury. Efektem tego są nie tylko liczne wartościowe publikacje, ale przede wszystkim wydawnictwa skutecznie walczące o miejsce na rynku i promujące polskich ilustratorów oraz grafików. Zainteresowanie plakatem jako wartościowym społecznie medium komunikacji i reklamy powraca do teatrów i niezależnych dystrybutorów filmów.

Plakat jest ważnym nośnikiem treści oraz formą dialogu z odbiorcą.

Czyli dziś także możemy być dumni z polskich plakatów?

– Polska szkoła plakatu jest zjawiskiem historycznym, datujemy ją na lata 50. i 60. XX w. Jej twórcy wytyczyli ambitną drogę, którą podążyli inni, kładąc fundament pod jeden z najbardziej wyróżniających się fenomenów w kulturze wizualnej XX w. Tacy twórcy jak Eryk Lipiński, Henryk Tomaszewski, Józef Mroszczak, Wojciech Fangor czy Tadeusz Trepkowski wyrwali plakat filmowy z uniwersum kultury masowej i uczynili z niego ambitne medium wizualne. Przełamali schematyczną konwencję reklamy kinowej zależnej od strategii firm producenckich i dystrybutorów, dla których film był produktem rynkowym. Zgodnie zresztą z konsekwentnie wdrażaną w drugiej połowie lat 40. polityką kulturalną celem plakatu miała być manifestacja komunistycznej, kulturowej rewolucji, odcięcia się od zdominowanej przez komercję kultury masowej świata zachodniego. Paradoksalnie jednak zapędy propagandowe zaowocowały twórczością wyzwoloną, w której nasi graficy odważnie czerpali z doświadczeń współczesnych sztuk wizualnych i świadomie wykorzystywali w sposób wyrafinowany ich zdobycze. Tworząc nową formułę plakatu i tym samym komunikacji z odbiorcą, nawiązywali do treści filmu, nie zdradzając jego puenty, zdobywali się niekiedy na jego interpretację i komentarz, traktując film jako pełnoprawny tekst kultury, z którego twórcą możemy wchodzić w dialog. Uzyskali

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl feab52a080

poprzez tę metodę autonomię twórczą, choć ujętą w ramy sprawnie działającego systemu kontroli.

Na naszych ulicach widać ogromną dysproporcję poziomu artystycznego zwykłej, schematycznej reklamy np. filmowej, zwłaszcza amerykańskiej, i zaawansowanych, wyrafinowanych plakatów do różnych wydarzeń kulturalnych czy społecznych.

– Nie jest to kwesta upadku gustów, tylko wynik traktowania filmu jako produktu pewnej gałęzi przemysłu rozrywkowego, który zazwyczaj skutecznie odnajduje swojego konsumenta. Polski plakat filmowy początkowo, dzięki upaństwowieniu i centralizacji nie tylko samej produkcji filmowej, ale i dystrybucji kinowej, nie musiał się mierzyć z wymogami rynku komercyjnego, który zresztą w ten sposób skutecznie zlikwidowano. Patrząc na polski plakat filmowy tamtych lat, ale również teatralny i ten poświęcony innym wydarzeniom kulturalnym, wyraźnie dostrzegamy, że operuje on innym językiem, pozbawionym schematyzmu i przewidywalności, a jednak dociera do nas zawarta w nim informacja. Rozumiemy, że dane wydarzenie jest warte uwagi, że możemy po nim oczekiwać niepowtarzalnych, przeznaczonych dla nas przeżyć. Polski plakat z lat 70. i 80. posługiwał się często wyrafinowaną formą graficzną, która nieprzygotowanego odbiorcę może niekiedy wprowadzać w zakłopotanie. Przykładem jest plakat Mieczysława Wasilewskiego do amerykańskiego filmu „Dirty dancing", znanego w Polsce pod tytułem „Wirujący seks". Ta dość wyrafinowana grafika zapowiadała popkulturowe dzieło i była dowodem panowania wówczas w Polsce plakatowej kultury wizualnej szczelnej na powtarzalność konwencji i schematów reklamowych.

Ma pan własny ranking autorów albo ulubiony plakat?

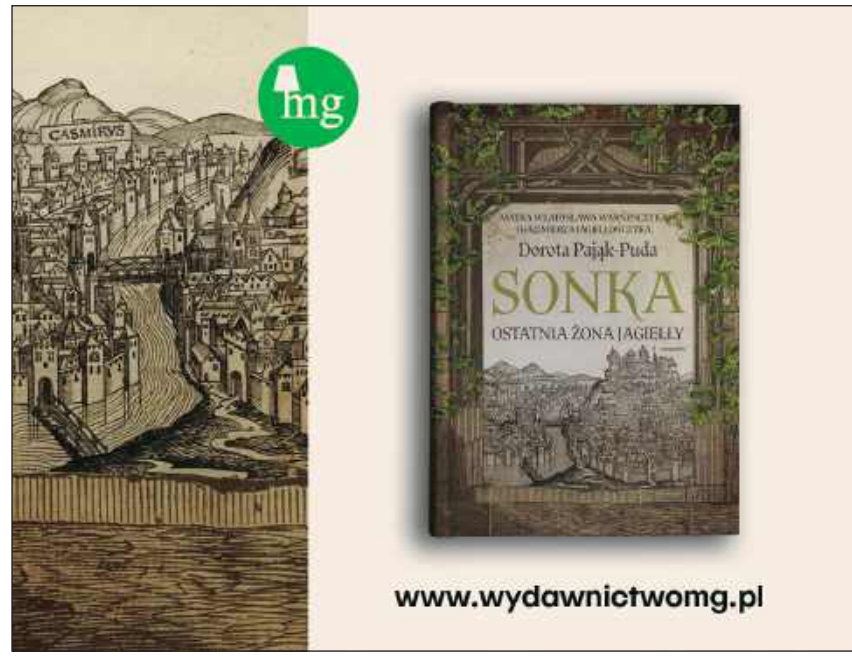
– Niezwykle ważny jest dla mnie projekt Franciszka Starowieyskiego z 1974 r. do spektaklu „Taniec śmierci" według Strindberga w Teatrze Współczesnym. Właściwie była to czarno-biała reprodukcja tego plakatu (urodziłem się w roku, kiedy został wydany, więc nie miałem szansy widzieć go na ulicy), którą zobaczyłem w albumie Danuty Wróblewskiej „Polska grafika współczesna". Grafika Starowieyskiego wywarła na mnie na tyle silne wrażenie, że postanowiłem zainteresować się bliżej polskim plakatem i grafiką projektową. Być może znaczenie miał też fakt, że jako student historii sztuki pilnie „przerabiałem" wówczas sztukę okresu baroku i z podziwem odebrałem odważną interpretację motywu tańca śmierci.

W ciągu roku pokażemy łącznie ponad 750 plakatów. Co miesiąc będziemy wymieniać część z nich.

Sztuka plakatu stała się niemal równorzędnym medium komunikacji kulturalnej. Twórcy dbają o poziom artystyczny, a nie tylko o umieszczenie, jak na afiszu, komunikatu informacyjnego. Ogólnopolskie festiwale czy imprezy, np. Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina albo Wielkanocny Festiwal Ludwiga van Beethovena za każdym razem ogłaszają konkurs na plakat i jesteśmy świadkami bardzo ciekawych, kreatywnych propozycji.

– Konkurs na plakat reklamujący renomowane instytucje lub organizowane przez nie wydarzenia pozwala często wyłonić prace utalentowanych twórców, dać im szansę na debiut, a odbiorcom okazję do kontaktu z wartościową grafiką. Dzięki temu zresztą najwybitniejsze tego rodzaju realizacje trafiają do naszych zbiorów. Plakat to zarazem „papierowa Wieża Babel", ale również znakomita wizytówka naszej kultury. Powinniśmy odważniej wykorzystywać potencjał naszych twórców i czerpać z nadal niewystarczająco docenianej renomy polskiego plakatu. Polscy projektanci mają niezwykły potencjał, który bierze się nie tylko z ich umiejętności i dostępu do globalnej kultury wizualnej, ale przede wszystkim z naszej tradycji, co pozwala im bez najmniejszych kompleksów, z wymaganą w tej dziedzinie śmiałością podejmować dialog z odbiorcą, co leży u podstaw idei skutecznego i wartościowego artystycznie plakatu. Tak zresztą jako autorzy wystawy „Plakat polski. Kolekcja" w Muzeum Plakatu w Wilanowie rozumiemy jego wartość i w ten sposób chcieliśmy go zaprezentować.

Bronisław Tumiłowicz



eprasa.pl feab52a080

Magdalena Bargielska
Szlachetne naczynie
Cyranka, Warszawa 2026

Mocny, choć kameralny debiut, który z niezwykłą czułością i precyzją odsłania kruche mechanizmy ludzkiej psychiki. Historia Miry – dziewczyny balansującej między wstydem, samotnością a potrzebą bycia dostrzeżoną – rozwija się półszeptem, jakby opowiadana tuż obok czytelnika. Ten intymny ton wzmacnia wrażenie autentyczności i sprawia, że każda rysa w bohaterce oraz jej otoczeniu staje się boleśnie wyraźna. Szpital psychiatryczny nie jest tu miejscem uzdrowienia, lecz raczej soczewką skupiającą wcześniejsze zaniedbania – przede wszystkim te zakorzenione w rodzinie. Literacko dopracowana, wciągająca powieść, choć pewnie dla części czytelników forma może być wyzwaniem.

Agata Romaniuk
Dina, Dina
W.A.B., Warszawa 2026

Kameralna i poruszająca opowieść o tożsamości, wykorzenieniu oraz kosztach emocjonalnych wojny. Historia ukraińskiej studentki malarstwa, która porzuca względne bezpieczeństwo życia we Włoszech, by wrócić do ogarniętej konfliktem ojczyzny, została osadzona w intymnej perspektywie jednostki. Autorka unika patosu, skupiając się raczej na drobnych gestach, napięciach i relacjach – szczególnie tych między Diną a jej bliskimi oraz ukochanym. Największą siłą książki jest jej wielogłosowość i świadomość narracyjna – Romaniuk podkreśla niepewność pamięci i subiektywność opowieści. Dzięki temu czytelnik nie otrzymuje jednej „prawdy", lecz zbiór możliwych wersji zdarzeń, co koresponduje z tematem poszukiwania własnego miejsca.

Rafał Pikuła

Realizm kapitalistyczny

Głównym bohaterem i zarazem narratorem tej dość swobodnej adaptacji głośnej książki o wątpliwych urokach późnego kapitalizmu jest Pan Wiesławiec (Jakub Santarosa), absolwent nieatrakcyjnego rynkowo kierunku studiów zmuszony podjąć pracę w korporacji. Całe przedstawienie, rozgrywające się w przestrzeni odrobinę abstrakcyjnego „biura", to kolekcja jego zawodowych przygód i spostrzeżeń. Zaczyna się od zjadliwej satyry na korporacyjną nowomowę i „kulturę zapierdolu", prowadzącą nieuchronnie do alienacji i wyjałowienia. Dynamiczna, oparta na ruchu, zrytmizowana forma jest efektowna i dobrze obrazuje tempo życia w „rzeczywistości ciągłej sprzedaży". Ale to, co zaczyna się intrygująco, z czasem, choć przedstawienie nie jest długie, grzęźnie dramaturgicznie. Traci pazur i ostrze krytyczne. Osobiste historie poszczególnych postaci okazują się dość oczywiste, podobnie jak kolejne rozpoznania twórców. Choć publiczność chętnie przegląda się w opowieści, odnajdując na scenie własne perypetie, finał żywi się banałem – wprawdzie korporacyjny kult pracy alienuje i wpędza w depresję, ale właściwie nie możemy bez niego żyć.



„Każda praca hańbi", tekst i reżyseria Mira Mańka, Teatr im. Jana Kochanowskiego w Opolu, premiera 27 marca 2026

Spektakl zatem trafnie identyfikuje wewnętrzne sprzeczności późnego kapitalizmu, ale ostatecznie nie jest w stanie ich przekroczyć.

Michał Centkowski

Baletowa droga do gwiazd

Premiera w ramach 28. Łódzkich Spotkań Baletowych przeniosła nas w przestrzeń międzygwiezdną nie tylko tytułem „Supernova", lecz także poprzez szczególny sposób tańczenia, który wymykał się klasycznej, ale i nowoczesnej stylistyce. Ciała tancerzy potraktowano w pierwszej części jak figurki z plasteliny albo gumy, a w drugiej – jak elementy maszyny. Kontrapunktem dla tańca są rzeźby baletnic Małgorzaty Chodakowskiej stojące we foyer teatru.

Bronisław Tumiłowicz





„Supernova: ECHOES" (choreografia Jacek Przybyłowicz) oraz „Bedroom Folk" (choreografia Sharon Eyal i Gai Behar), Teatr Wielki w Łodzi, premiera 11 kwietnia 2026

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. EDGAR DE PORAY, MATERIAŁY PRASOWE (4)

eprasa.pl feab52a080



Oko w oko Tomasz Jastrun

Pęknięcie

Dwa dni w Nysie i dwa spotkania, w szkole i w bibliotece – oba bardzo udane. Nysa dostatnia, słoneczna i ładna, ma stare, przytulne fragmenty. Miasto niestety było częściowo zburzone, a w puste miejsca jak wszędzie weszła nędzna architektura z lat 60. i 70., ale jakimś cudem połączyło się to nieźle z tym, co ocalało lub zostało odbudowane. Byłem w Nysie na festiwalu poetyckim ponad pół roku temu i już opisywałem to miasto. Do Nysy dojeżdża się szynobusem z Opola. Linię tę uruchomiono ponownie nie tak dawno, po drodze małe miejscowości i wsie, niewielkie dworce pozamykane i w ruinie. To wszystko czeka na generalny remont. Ale widzę ludzi, którzy z pojazdu szynowego korzystają – dużo ładnej młodzieży, wszyscy dobrze ubrani, żadnego śladu prowincji. To jest też ta wielka zmiana, choćby wyglądu ludzi – zniknęły rozdeptane przez pańszczyznę oblicza i widać dostatek.

Spotkanie z kilkoma klasami w liceum Carolinum, założonym w 1624 r. przez jezuitów, z bogatą tradycją naukową i humanistyczną. Szkoła, pierwotnie działająca jako gimnazjum jezuickie, stała się kluczowym ośrodkiem edukacyjnym w regionie, świętując w 2024 r. 400-lecie. Jej grube mury trzymają chłód. Niebywała sala szkolnej biblioteki, ogromna, ze schodami w dół, z półkami biegnącymi pod niezwykle wysoki sufit. Przepiękny obiekt. Ładniejszą salę biblioteczną widziałem już chyba tylko w Sztokholmie, w zamku królewskim. Oprowadzał mnie po niej osobisty bibliotekarz króla, polski emigrant Adam Heymowski, z którym byłem blisko, mieszkając w stolicy Szwecji.

Z kolei drugie spotkanie w bibliotece, w pięknym miejscu przy starym rynku, gdzie niedawno uruchomiono tańczące fontanny, a budynek jest też z XVII w. Sporo ludzi na sali.

Nazajutrz, mając trochę czasu do odjazdu pociągu, przeglądam w czytelni biblioteki pisma. „Gazeta Polska" robi wrażenie pisma obłąkanego z nienawiści do Tuska, do ludzi liberalnie myślących. Z autorami „Gazety Polskiej", podobnie jak z jej czytelnikami, już nie można dyskutować, nie ma płaszczyzny do polemiki, zostaje tylko mordobicie lub mord po prostu.

Refleksja z pociągu: jeszcze wczoraj, gdy ktoś starszy wchodził do przedziału z walizką, zrywałem się z miejsca, by pomóc wstawić bagaż; teraz, kiedy ja wchodzę do przedziału, zawsze ktoś młodszy zrywa się, by mi pomóc. Walizka ciężka, bo w niej książki, więc nie protestuję. Na szczęście pociągi z przedziałami są coraz rzadsze. To, że posunęliśmy się w czasie, mówią nam nie tylko lustra, mówi mniej sił, ale też zachowania ludzi wobec nas. I czasami jest zdziwienie, skąd oni wiedzą, że masz już tyle lat, one przecież zleciały nie wiadomo kiedy i jak.

•

Nawrocki powołał sobie Radę Nowych Mediów. Nie wiem, co on ma do mediów, chyba to, żeby je wszystkie załatwić na amen, te nieprawicowe, gdyby tylko mógł, a nie może, więc ma radę. A w niej typy spod ciemnej gwiazdy, jak choćby Rafał Ziemkiewicz, wyjątkowo arogancki i odrażający osobnik. Jest Paweł Swinarski, który we wrześniu 2025 r. zasugerował publicznie, że atak rosyjskich dronów na Polskę był ukraińską prowokacją mającą wciągnąć nasz kraj do wojny. Nagranie wykorzystano potem w spocie Sztabu Generalnego Wojska Polskiego jako przykład rosyjskiej dezinformacji. Jest tam też podobno trzech lobbystów. Po tej radzie mediów również można poznać Nawrockiego – jest gorszy, niż na to wygląda, a przecież wygląda fatalnie.

Ludzie mają w sobie drapieżne zwierzę, któremu na imię ambicja. Polityka karmi je surowym mięsem.

•

Rysuje się rozłam w PiS. Mateusz Morawiecki tworzy stowarzyszenie, a w nim kilkunastu pisowców, też wygadani jak Horała i Dworczyk. Już nie wygląda to niewinnie, prezes się gniewa. Co zabawne, PiS doprowadziło nas do tego, że węszymy w tej inicjatywie spisek – że podział jest fikcyjny i taktyczny, a Morawiecki jako bardziej umiarkowany ma przyciągnąć umiarkowanych prawicowych wyborców. Wielu uwierzyło w spiskowy geniusz prezesa. Choć to oczywisty nonsens, myślą tak nawet moi racjonalni znajomi. Po kilku tygodniach zresztą to się uwyraźni i wyjaśni. Aż strach mieć tu duże nadzieje. Ale powstało duże pęknięcie.

I trudno nie zauważyć, że prezes ma pecha. Wymyślił sobie Morawieckiego, a ten zdrajca. Wymyślił Dudę – on także mu się postawił, nieśmiało, ale zawsze, jak prezes chciał zniszczyć TVN. Wymyślił prezes Nawrockiego, tu też szykują się kłopoty, pewnie nawet duże. Bo ludzie mają w sobie takie drapieżne zwierzę, któremu na imię ambicja. Polityka karmi je surowym mięsem. Można je zniewolić, ale nie oswoić. W klatce demokracji to niewykonalne. W tyranii zbyt ambitni tracą po prostu głowy. ■

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl feab52a080

WOJNA FUTBOLOWA

Czy Iran zagra na mundialu?

Wojciech Kuczok

Trump jest maniakiem, coraz wyraźniej daje o tym znać, ostatnio przypisuje sobie mesjańskie moce, prowokuje świat chrześcijański świętokradczymi obrazkami, ma się za Zbawiciela i może nawet w przeciwieństwie do swoich wyznawców dobrze zdaje sobie sprawę (jeśli jeszcze z czegokolwiek ją sobie zdaje), że jedyne zbawienie, jakie jest zdolny światu przynieść, to Sąd Ostateczny przyśpieszony za pomocą kodów atomowych. Aż się rwie do tego, by ich użyć – ma już swoje lata i demencję na karku, została mu połowa kadencji do tego, by wejść w boskie kompetencje; skoro Bóg świat stworzył, to on, pomarańczowe wcielenie Stwórcy, może go unicestwić.

Obecny prezydent USA tym samym przegadałby Boga, wszak ważne jest, kto ma ostatnie zdanie. Na razie nieliczni najwyżsi stopniem wojskowi robią wszystko, żeby tego szaleńca powstrzymać przed „całkowitym zniszczeniem cywilizacji" perskiej (to słowa Trumpa) lub cofnięciem Iranu do epoki kamiennej. Potrzeba spuszczenia bomby atomowej na Teheran jest zarówno u Trumpa, jak i Netanjahu przemożna, zwłaszcza że „Epicka Furia" okazała się kolejnym nieudanym blitzkriegiem. Ilekroć jakiś imperator w ostatnich latach zwiastuje błyskawiczne zwycięstwo, tylekroć okazuje się ono oddalać w czasie i rozwlekać na lata bezsensownej wojny.

Od kiedy Rosja napadła na Ukrainę, została wykluczona z rozgrywek sportowych, są niechlubne wyjątki, ale w przypadku najważniejszych imprez sportowych, czyli mistrzostw piłkarskich, igrzysk olimpijskich, być ich nie może. Przypomnę na marginesie, że m.in. temu zawdzięczamy udział w katarskim mundialu, bo mecz barażowy w Rosji wygraliśmy walkowerem. Tej logiki, że najeźdźca, który gwałci prawo międzynarodowe i napada na niepodległe państwo, musi zostać wykluczony z międzynarodowej zabawy świata pokoju, jaką jest sport, nikt nie podważał. Dopóki nie okazało się, że Izrael, państwo dokonujące ludobójstwa w odwecie za zamach terrorystyczny, może wysyłać swoich sportowców, gdzie chce. Na szczęście piłkarzy ma tak nieudacznych, że sami się eliminują z rozgrywek, więc nie ma problemu – bilety na mundial przegrali w starciach z Włochami i Norwegią.

Od kiedy jednak USA dokonały napaści na Iran, a wcześniej wycieczki zbrojnej w Wenezueli, problem jest podwójny. Po pierwsze, Gianni Infantino, przewodniczący FIFA, jest sprzedajnym lizusem Trumpa, więc nawet mu się nie śniło, aby na gospodarzy najbliższego mundialu nałożyć jakieś sankcje, nie mówiąc o wykluczeniu. Po drugie, do mistrzostw świata zakwalifikowała się reprezentacja Iranu i jak dotąd, pomimo nacisków i skandalicznych sugestii zewnętrznych, nie zamierza z imprezy się wycofać. Wykluczyć jej dyscyplinarnie nie można, to byłoby jednak zbyt grube nadużycie, w końcu nie Iran jest agresorem w tym konflikcie. Bez względu na to, czy rządy ajatollahów komuś się podobają, czy nie, Iran jest obiektem napaści zbrojnej i karać go za to nie można – równie dobrze, a raczej równie źle, można by wtedy przywrócić do rozgrywek Rosjan kosztem Ukraińców.

Gianni Infantino, przewodniczący FIFA, jest sprzedajnym lizusem Trumpa.

Trump szantażuje oficjalnie Irańczyków, że co prawda ich drużynę wpuści, ale nie będzie mógł zagwarantować jej bezpieczeństwa, poza tym kibiców już wpuszczać nie zamierza, a i członków sztabu szkoleniowego, działaczy oraz dziennikarzy może zawrócić z lotniska, jeśli zostaną uznani za indywidua podejrzane o terroryzm. Iran wystosował prośbę o przeniesienie swoich meczów na terytorium współgospodarza mistrzostw, czyli do Meksyku, ale spotkał się z odmową. Czyli obecnie sytuacja ma się tak: możecie przyjechać sobie pokopać, ale atmosfera jest, jaka jest, ludziska są głodni linczu i my ich powstrzymać w razie czego nie zdołamy. Tak że, drodzy Persowie, jakby co, to rozumiecie: na własną odpowiedzialność.

Wyczekiwaniu na rezygnację Iranu towarzyszą rozważania, kogo by ewentualnie na to zwolnione miejsce zaprosić. Przez chwilę przebąkiwano o dodatkowych barażach w strefie europejskiej, na co kibicowskie serca Polaków zabiły żwawiej, teraz mówi się o tym, aby przyznać dziką kartę, czy tam honorowy awans, Włochom za zasługi z przeszłości – w końcu to czterokrotni mistrzowie świata. Na szczęście natychmiast zareagował na to włoski minister sportu, obwieszczając, że jego kraj z takiej furtki skorzystać nie zamierza, bo awans wygrywa się na boisku.

Piłka nożna jest cudem świata wynalezionym w Europie i powinna pozostać sprawą europejską. W kraju poganiaczy bydła nie takie numery się dzieją, tam nie ma możliwości, żeby bogaty został wyeliminowany przez biednego, z amerykańskich wzorców wyszła wszak idea piłkarskiej Superligi, w której najbogatsze kluby miałyby gwarantowane stałe członkostwo i w żadnych eliminacjach nie musiałyby brać udziału.

eprasa.pl feab52a080



Piłkarze Iranu przed meczem z Syrią w jednej ósmej finału Pucharu Azji w Katarze. Ad-Dauha, 31 stycznia 2024 r.

Im bliżej czerwca, tym bardziej mi się chce womitować na cały ten piłkarski bazjel. Co mi tam koniec świata, którego pewnie wszyscy dożyjemy, kiedy pomarańczowy paranoik postanowi zabrać nas ze sobą do grobu, nad którym niebawem stanie – dla mnie świat już się skończył. Zamiast przedmundialowego adwentu, zamiast czuć reisefieber jak co cztery lata, kiedy zbliża się najpiękniejszy z piłkarskich maratonów – czuję niesmak i wrzody na żołądku. W świecie rozchwianym przez codzienne wybryki małpy z atomową brzytwą na podorędziu człowiek tęskni do niezmiennych wartości, do dawnego, bezpiecznego świata, do rytuałów, którym się oddawał w oswojonej przeszłości.

Jednym z takich obrządków dających mi ukojenie był mundial – nawyk miesięcznego wyłączania się z rzeczywistości na rzecz futbolowych zmagań, obsesyjna potrzeba obejrzenia wszystkich meczów na żywo. Wiem już, że w tym roku tak się nie stanie – za sprawą tego łotra Infantina piłkarskie mistrzostwa świata spuchły do karykaturalnych rozmiarów. Nie będę oglądał o trzeciej nad ranem meczu Republiki Zielonego Przylądka z Arabią Saudyjską. Przyjdzie czerwiec wyczekiwany przez cztery lata i nagle okaże się czerwcem zwykłym, powszednim, ordynaryjnym – jakaś impreza piłkarska będzie się toczyć na drugim końcu świata, ale potraktuję ją podobnie jak mundial klubowy – zacznę to na poważnie oglądać od fazy pucharowej, najpewniej dopiero od jednej ósmej. Zarywania nocy nie będzie, zamiast tego poranne oglądanie skrótów, z jakimś poczuciem niespełnienia, niedosytu, bo transowe oglądanie wszystkiego, programowanie dnia pod rejestr transmisji, wszystkie te obrzędy magiczne, do których przywykłem przez dekady, znikną.

To już nie będzie święto piłki, poza którą świata nie widać, za to odarcie mundialu z magii nieposkromiony chciwiec Infantino niech się w piekle smaży. Mam też nadzieję, że reprezentacja kraju głównego gospodarza mistrzostw nie wyjdzie z grupy, w przeciwieństwie do Iranu, za który trzymam kciuki tym mocniej, im bardziej agresywne kalumnie i ludobójcze pogróżki wygłasza w jego stronę ten bęcwał Trump.

Jakby nie dość było zmian strukturalnych, idiotycznych nowinek regulaminowych, wskutek których na mundialu zagra Szwecja pomimo zajęcia ostatniego miejsca w grupie eliminacyjnej, na czas mistrzostw mają zostać wprowadzone nowe przepisy.

Nie jestem fundamentalistą piłkarskim, który uznaje, że piłka nożna została nam zesłana przez Boga jak Tablice Mojżeszowe, a raz ustalone zasady powinny obowiązywać niezmiennie do końca świata, ale do niektórych pomysłów mam stosunek mocno sceptyczny. O ile rozszerzenie VAR na analizę potencjalnej drugiej żółtej kartki i na rzuty rożne wydaje się OK, o tyle zmiany dotyczące czasu opuszczania boiska (zmieniany zawodnik ma to zrobić w ciągu 10 sekund) oraz wykonania rzutów rożnych i autów (w 5 sekund) mogą być przeciwskuteczną paranoją. Zanim ten przepis się przyjmie, o ile w ogóle to nastąpi, będziemy świadkami wysypu kartek, kłótni boiskowych i skandali – no bo wyczerpany zawodnik, który o sekundę za późno zwlecze się z boiska, będzie protestował przeciw decyzji sędziego ze stoperem, to jasne.

Rozumiem, że to wszystko ma na celu wyeliminowanie gry na czas, ale nie wyobrażam sobie restrykcyjnego stosowania tego przepisu. Lecz przecież nie wyobrażałem sobie dotąd życia bez mundialu – a tu żyjemy w czasach niewyobrażalnych. ■

FOT. XIA BOHAN/IMAGO SPORT/FORUM

eprasa.pl feab52a080





Colin Delfosse (Belgia), „Restitution" (Restytucja), II miejsce, kategoria zawodowa: Projekt dokumentalny.

Sony World Photography Awards

SONY



Jean-Marc Caimi i Valentina Piccinni (Włochy), „The Faithful" (Wierni), I miejsce, kategoria zawodowa: Portret.



Fredrik Lerneryd (Szwecja), „Country Music in Kenya" (Muzyka country w Kenii), III miejsce, kategoria zawodowa: Perspektywy.



Seungho Kim (Korea Południowa), „Sunny Side Up: A Portrait of the Most Average K-Parenting Today" (Jajko sadzone: Portret najbardziej przeciętnego koreańskiego rodzicielstwa w dzisiejszych czasach), I miejsce, kategoria zawodowa: Perspektywy.

eprasa.pl feab52a080



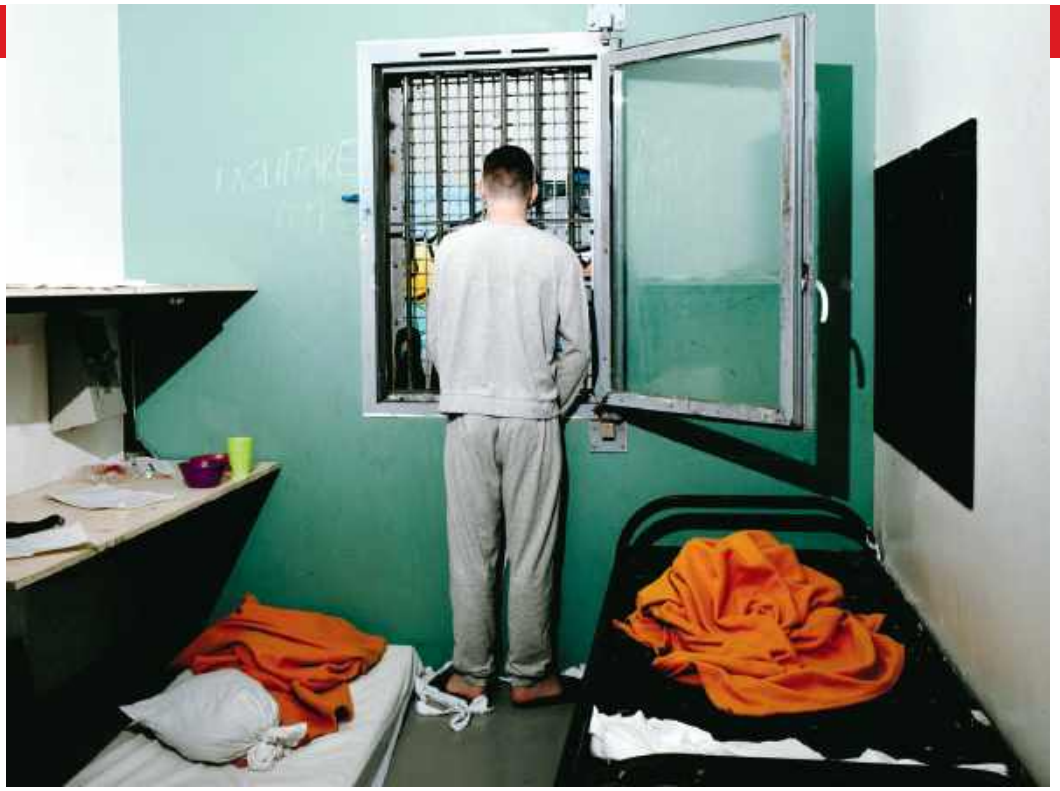
Santiago Mesa (Kolumbia), „Under the Shadow of Coca" (W cieniu koki), I miejsce, kategoria zawodowa: Projekt dokumentalny.



Elle Leontiev (Australia), „The Barefoot Volcanologist" (Bosy wulkanolog), Fotograf Roku, kategoria open: Portret.

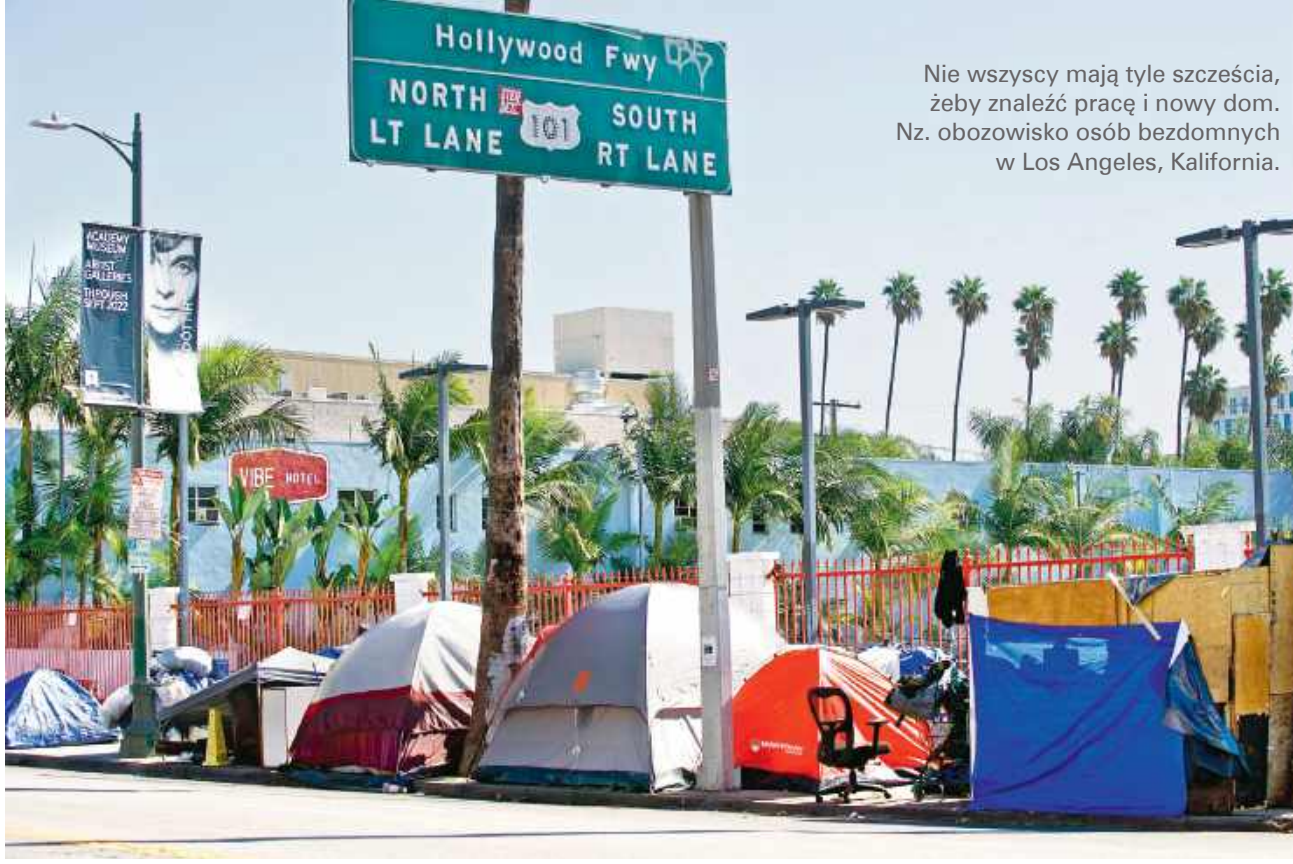
PHOTOGRAPHY AWARDS 2026





Alexandre Bagdassarian (Francja), „Sixteen and a Half: Eight Months in a Juvenile Prison" (Szesnaście i pół: osiem miesięcy w więzieniu dla nieletnich), III miejsce, kategoria zawodowa: Projekt dokumentalny.

eprasa.pl feab52a080



Nie wszyscy mają tyle szczęścia, żeby znaleźć pracę i nowy dom. Nz. obozowisko osób bezdomnych w Los Angeles, Kalifornia.

Nomadzi z przymusu

Co roku 5 mln Amerykanów traci dom z powodów eksmisji, podatków czy niespłaconych kredytów

Iza Klementowska

– Jesteście imigrantami? – spytała siwiejąca brunetka, wpatrując się w dwóch śniadych mężczyzn.

Poczekalnia autobusowa w Burlington w stanie Iowa była prawie pusta, nie licząc 10 osób, z którymi podróżowałam z okolic Chicago. Spotkałam dotychczas dwie Niemki jadące do Milwaukee. Im głębiej w serce Ameryki, tym więcej Amerykanów wszystkich identyfikacji etnicznych, z bagażami składającymi się z ogromnych, wymęczonych walizek, kraciastych toreb, widywanych w Polsce w latach 90., i dużych foliowych worków. Te przeważają.

Większość tych osób śpi na dworcowych bądź przystankowych ławkach, czekają na przesiadki. Z Burlington można jechać we wszystkie strony świata. Zdarza się, że na autobus trzeba czekać nawet do 10 godzin. Poczekalnia staje się więc tymczasowym domem. Można tu się umyć, zjeść, podgrzać jedzenie w kuchence mikrofalowej.

Ponieważ sama od jakiegoś czasu nie mam domu, próbuję zrozumieć koncepcję domu oraz różne potrzeby z nim związane, szczególnie gdy ktoś nam go odbiera. Co roku 5 mln Amerykanów traci dom z powodów ekonomicznych: eksmisji, podatków czy niespłaconych kredytów. Prowadzi to do poszukiwania pracy nawet bardzo daleko od wcześniejszego miejsca zamieszkania. Przyglądam się również ruchomym domom – takim, które człowiek nosi ze sobą i zatrzymuje w miejscu uznanym akurat za przyjazne, m.in. z powodu dostępu do pracy czy braku uprzedzeń. (...)

Sama przemierzyłam już trasę Nowy Jork-Chicago-Manitowoc w Wisconsin-Duluth w Minnesocie-Galesburg w Illinois-Burlington – łącznie ponad 2,2 tys. km, głównie autobusami, moja walizka zdążyła więc stracić jedno kółko i jest odrapana tak bardzo, jakby dorwał się do niej rzeźbiący odpowiednik Jacksona Pollocka. (...)

Wybieram autobusy, ponieważ do mniejszych miejscowości nie ma zwyczajnie czym dojechać. Poza tym w środkowych stanach USA, w odróżnieniu od hubów obu wybrzeży – Nowego Jorku, Los Angeles i San Francisco – są one znacznie tańsze niż samoloty i pociągi. Nie wszędzie się też doleci. Odległości między portem lotniczym w stolicy danego stanu a miejscem docelowym bywają tak duże, że tyle samo zajmie czasowo transport lądowy co lotniczy plus samochodowy. Infrastruktura kolejowa nie jest zaś w środkowych stanach bardzo rozbudowana. A wynajęcie samochodu przy użyciu polskiego prawa jazdy nie zawsze możliwe – zwłaszcza gdy planuje się podróż między stanami i oddanie auta w innym miejscu.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl feab52a080

Pracownik jednej z wypożyczalni powiedział mi otwarcie, że zbyt dużo imigrantów kradnie auta i wywozi je za południową granicę. Republikanie oraz biali ewangelicy postrzegają imigrantów jako zagrożenie. I republikanie stają się coraz bardziej antyimigranccy. Według PRRI American Values Survey aż 70% republikanów i 39% demokratów wierzy, że Bóg stworzył Amerykę jako nową ziemię obiecaną dla europejskich chrześcijan – i że obecnie zagrażają jej imigranci. Pogląd ten podziela 40% chrześcijan, 31% latynoskich katolików, 29% afroamerykańskich protestantów i 27% osób spoza religii chrześcijańskich lub niereligijnych.

Prawie 50% białych Amerykanów uważa, że imigranci zagrażają tradycyjnym wartościom. Najczęściej tak myślą biali bez wyższego wykształcenia (53%). Im dalej i dłużej podróżuję przez USA, tym bardziej się orientuję, jak wiele osób przemieszcza się przez ten kraj w poszukiwaniu pracy – i jak często postrzega się ich jako imigrantów, przyjeżdżających do Stanów Zjednoczonych w poszukiwaniu lepszego życia.

– Dla niektórych są oni synonimem imigrantów – powie mi później w Santa Fe Jordan, 40-latek od urodzenia mieszkający w niewielkim domu z gliny, pracujący w odpowiedniku miejscowej opieki społecznej.

Podczas jazdy autobusem czy wynajętym samochodem na północ od Chicago – do Minnesoty i Wisconsin – na trawnikach przed domami w wielu małych miejscowościach widziałam wbite w ziemię tablice z napisem Trump won! (Trump wygrał!). Podobne zdania dostrzegłam na zderzakach aut jadących przede mną, których tablice rejestracyjne wskazywały na stany, gdzie podczas wyborów w 2016 r. wygrał Trump: Iowa, Kansas, Kentucky, Missouri, Dakota Południowa i Północna, Wyoming, Montana, Tennessee, Arkansas. To Donald Trump podczas swojej prezydentury w latach 2017-2021 postanowił wybudować wysoki mur wzdłuż granicy z Meksykiem.

Kiedy zdarzało mi się coś powiedzieć, spytać o drogę lub poprosić o jakąś informację, od razu zwracałam uwagę, mimo że starałam się mówić z amerykańskim akcentem.

W poczekalni w Burlington przyglądam się siedzącym i śpiącym tu ludziom. Niektórzy przyjechali tutaj z Nowego Jorku w drodze do Teksasu albo jeszcze dalej. Czekam już prawie dwie godziny na autokar, który po kolejnych 14 godzinach ma mnie zawieźć do Ogallala w Nebrasce. Kilka stolików, kilkanaście krzeseł. Automat do kawy, kolejny z chipsami i batonami oraz mikrofalówka. Za pancerną szybą przy biurku młoda kobieta w mundurku miejscowych linii autobusowych. Lekko znudzona, ponieważ autokary przejeżdżają przez tę miejscowość zaledwie trzy razy na dobę. Pomieszczenie nie ma okien, jarzeniowe oświetlenie już uśpiło parę osób. Tylko dwóch mężczyzn chodzi tam i z powrotem po niewielkiej przestrzeni i rozmawia ze sobą w języku hiszpańskim.

– Jesteście imigrantami? – powtarza nieco głośniej kobieta. Ubrana na cebulkę, z przewieszonym przez ramię plecionym, sporym materiałowym workiem. Obok ogromna walizka na kółkach i duży foliowy worek.

– O co pani chodzi? – pyta po angielsku jeden z mężczyzn. Obaj ubrani w ciemne bluzy z kapturem i dżinsy. Obaj tylko ze średniej wielkości plecakami. – Mieszkamy i pracujemy w Denver. Mamy obywatelstwo amerykańskie.

– Ale jesteście imigrantami! Przyjechaliście do mojego kraju! – Kobieta podnosi głos. – Przez takich jak wy muszę szukać pracy gdzie indziej! Musiałam zostawić moje piękne mieszkanie w Nowym Jorku, bo nie stać mnie na nie, i zamieszkać z siostrą w Kolorado.

– To, że mówią po hiszpańsku, nie oznacza, że są imigrantami – odzywa się młoda dziewczyna z ciemnymi włosami. Duże zielone oczy ma bardzo szeroko otwarte. Do tej pory przyglądała się całej sytuacji. – Też mówię po hiszpańsku i co? Jestem Amerykanką mówiącą również po hiszpańsku. A pani w jakich językach mówi?

– Nie z tobą rozmawiam! Tylko z tymi dwoma. – Starsza kobieta wskazuje palcem na mężczyzn, którzy trochę skulili ramiona i patrzą na nią ze smutkiem. – Dla mnie jesteś white trash, białym śmieciem! Widać to po tobie.

Dziewczyna wstaje gwałtownie.

– Bo podróżuję autobusem? Pani też nim podróżuje. Bo mam dżinsy z dziurami? – mówi dość spokojnie, wpatrując się w kobietę, która również wstała. – Dlaczego czepia się pani tych mężczyzn tylko dlatego, że mówią po hiszpańsku?

– Niech pani da spokój – odzywa się inna kobieta, ciemnoskóra, siedząca naprzeciwko. – Nie warto wdawać się w dyskusję. Ta pani ewidentnie ma jakiś problem.

– Z tobą, czarna suko, też nie rozmawiam. – Starsza kobieta już całkiem traci panowanie nad sobą. – Wróci Trump i zrobi z wami wszystkimi porządek!

– Proszę się uspokoić – mówi do niej łagodnie jeden ze śniadych mężczyzn. – Wszyscy jesteśmy stąd, wszyscy jedziemy na tym samym wózku. Też jestem biedny. – Wyciąga do niej rękę, pokazując, żeby ściszyła głos.

– Nie porównuj mnie do siebie. Nie jestem taka jak ty. Ani jak ty, ani ty. – Wskazuje po kolei na wszystkich w poczekalni. Mężczyzna wzrusza ramionami i się wycofuje.

– Pewnie się czegoś boisz, dlatego chcesz, żebym się uspokoiła! – woła za nim jeszcze głośniej. – Zaraz zadzwonię po policję, to się okaże, kim naprawdę jesteś!

– Niech pani dzwoni po policję, może oni przywrócą panią do porządku. – Młoda kobieta nazwana „białym śmieciem" kiwa głową.

Nikt już nie śpi.

– Proszę do mnie podejść! – woła starszą panią kobieta za szybą. – Jeśli się pani nie uspokoi, to zadzwonię po policję. Ochroniarz już ma na panią oko. Chce pani dalej jechać? Chce pani dojechać do siostry, to proszę uszanować innych pasażerów.

– Ty czarna... – zaczyna kobieta, ale macha ręką i siada na swoim miejscu, zaciskając mocno szczęki. Patrzy jednak wciąż wyzywająco na wszystkich.

Dziewczyna za szybą kręci głową i w końcu wraca do rozmowy przez telefon. Przez następne 90 minut nikt się do siebie nie odzywa. Dwie osoby wychodzą na zewnątrz zapalić.

eprasa.pl feab52a080

•

Autobus podjechał częściowo już wypełniony i w bagażniku prawie w ogóle nie było miejsca. Nadwątlone szmaciane walizki i kraciaste torby przetykane czarnymi foliowymi workami, upchanymi praktycznie, gdzie tylko się da. Dla mojej małej walizki na kółkach nie było nawet centymetra. Próbowałam przesunąć część bagażu, ale przychodziło mi to z trudem. Kierowca tylko patrzył.

– Fucking imigrants. Pieprzeni imigranci – usłyszałam, więc podniosłam się od razu.

– Przepraszam, co pan powiedział? – spytałam, patrząc mu w oczy.

– Fucking imigrants – powtórzył bez zająknięcia. – Szybciej pakuj tę walizkę, bo muszę się trzymać rozkładu.

– Co pan powiedział na temat imigrantów? – zapytałam jeszcze raz.

– Najlepiej, żeby was tu po prostu nie było. Masz minutę. Jeśli nie uda ci się włożyć walizki, nie jedziesz.

Włożyłam. Zapamiętałam też jego nazwisko, numer autobusu oraz numer podróży. Usiadłam na przeznaczonym dla mnie miejscu, obok kobiety o ciemnej skórze, która posłała mi nikły uśmiech.

– W autobusie ma panować kompletna cisza. Nie ma rozmów przez telefon. Nie ma słuchania muzyki ani oglądania filmów. Jeśli chcecie to robić, to tylko przez słuchawki. Każde naruszenie tej zasady spowoduje, że zostawiam was na trasie. Tyle.

Popatrzyłam na pasażerów. Dla wszystkich ten komunikat wydawał się czymś normalnym. Nikt nie zareagował ani nie skomentował. Starsza kobieta, która wszczęła wcześniej awanturę, otuliła się kocem z dość dużymi dziurami, odwracając się plecami od ciemnoskórego mężczyzny siedzącego obok. (…) Wpatrywał się w jeden punkt na siedzeniu przed nim. (…) Przesiedział tak trzy następne godziny, aż do kolejnego przystanku. Dopiero wtedy przyjrzałam się pozostałym pasażerom. Stali na zewnątrz autobusu, przy ścianie stacji benzynowej, na której znajdował się przystanek. Osobno, w około metrowej odległości. Nikt ze sobą nie rozmawiał. Kupiłam kanapkę i również stanęłam przy ścianie, niedaleko ciemnoskórego, wysokiego mężczyzny. Uśmiechnęłam się.

– Długa droga – powiedział. – Jadę z Chicago do Phoenix. A wcześniej byłem w Kentucky. Jeszcze wcześniej w Alabamie. Krążę tak. Dwa dni temu zadzwonił do mnie kuzyn z Phoenix, że będzie dla mnie praca.

– Też mieszkasz w Arizonie?

– Na Florydzie. Ale wiesz, tam już nie mam pracy. Dlatego krążę. Od dwóch lat tam, gdzie jest jakaś praca. Z reguły na dwa, trzy miesiące. Byłem już chyba wszędzie. Ale cieszę się na Phoenix, bo przynajmniej nie będę musiał płacić za noclegi ani spać w namiocie. Często sypiam też w autobusach, bo to i nocleg, i przejazd w jednym. Nie trzeba dodatkowo płacić za hostel. Kenny. – Wyciągnął szeroką dłoń, pokrytą dość sporymi bliznami, które odczułam na swojej ręce. – Nie jesteś stąd, prawda?

Od dwóch lat tam, gdzie jest jakaś praca.
Z reguły na dwa, trzy miesiące. Byłem już chyba wszędzie.

(…) Kierowca spojrzał na nas i wskazał na otwarte już drzwi autobusu. Pasażerowie wchodzili na pokład w milczeniu. Byłam jedną z sześciu białych osób. Oprócz dwóch kobiet z poczekalni – jeszcze młody mężczyzna (…). Przypominał mocno przykurzonego surfera o rozjaśnionych blond lokach i opalonej na złoty brąz skórze. Nerwowo rozglądał się na boki, często obracając za lewe ramię. (…)

Para, która usiadła po przeciwległej stronie, sprawiała wrażenie, jakby nie chciała nikomu przeszkadzać. Kobieta wtulała się w mężczyznę, jak gdyby próbowała się schować. Daisy – jak się później dowiedziałam – była w trzecim miesiącu ciąży. Podróżowali aż w okolice San Diego na południu Kalifornii, gdzie mieszkali rodzice jej męża, Petera. Źle znosiła ciążę, dlatego musiała zrezygnować z pracy jako salowa. Peter – sprzedawca w małym lokalnym sklepie – właśnie stracił zatrudnienie. Sklep zamknięto. Powód: w dyskontach, gdzie sporo artykułów można kupić za dolara, jest taniej.

– Jeśli kiedyś przyjedziesz do Morris, zobaczysz puste witryny. Lokale znikają tam jak krople deszczu. Tak szybko – powiedział mi Peter na następnym postoju.

Kenny tylko mu przytakiwał. Morris, gdzie pracowała Julia, rzeczywiście świeciło pustkami.

– Najgorsze były dwa ostatnie lata. Chociaż głosowaliśmy na Trumpa, to wiemy, że to wina jego rządów. Wiele małych firm upadło, nie tylko u nas. Płaciliśmy za nasze mieszkanie trochę ponad 1,2 tys. dol. miesięcznie, więc stosunkowo niewiele, ale i na to nie jest nas teraz stać. Dlatego jedziemy do moich rodziców i spróbujemy od nowa. – Peter dotknął brzucha Daisy i ta dopiero w tym momencie się uśmiechnęła. (…)

– Na autobus wydaliśmy prawie ostatnie pieniądze, 400 dolców.

Mijaliśmy puste pola lowa i Nebraski, malutkie miejscowości, w których opakowania po chipsach latały jak ptaki. Mijaliśmy zamknięte stacje benzynowe, jakby ziemia została w popłochu opuszczona. Dwa stany – duchy. Kiedy więc dojechaliśmy do Omaha, największego miasta stanu Nebraska, świecącego w nocy tysiącem świateł ulicznych, poczułam się, jakbym wróciła z innego świata. Część osób wysiadła i dopiero teraz zobaczyłam, kto zabiera jaki bagaż. Czarne foliowe worki taszczyli niemal wszyscy – niektórzy mieli tylko taki worek. Jak zatem rozpoznać własny?

– Mój jest związany złotą tasiemką – powiedział na dworcu Kenny. – Czy mi wstyd, że tak wygląda mój bagaż? – Sam zadał sobie to pytanie, chociaż wcale nie chciałam go stawiać. – W pewnym momencie przestajesz się wstydzić i po prostu najważniejsze staje się to, żeby iść dalej. A w co pakujesz dobytek, nie jest istotne. Ważne, by go po prostu nie zgubić.



Fragmenty książki Izy Klementowskiej *Nomadzi. Długa podróż do domu*, Marginesy, Warszawa 2025

eprasa.pl feab52a080



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Tato, a co to jest puenta?

Bycie tatą to jest jednak klawa sprawa. Nie ojcem, ale tatą właśnie. W tym słowie zawiera się cała niewymuszona czułość i więź. Tak mi się szczęśliwie złożyło, że przez całe dorosłe życie ktoś mnie nazywa „tatą", bo jedne dzieci dorosły, ale drugie się rodziły. Od 33 lat jest zatem w rodzinie jakieś dziecko, które mówi „tato" nie tylko do mnie, ale i o mnie, bo jeszcze nie weszło w etap młodzieńczego odpępowiania, kiedy to przodków przemianowuje się na „starych". Mnie to wzrusza i rozczula – dopóki jestem tatą, starość nie ma śmiałości zbliżyć się do mnie, musi czekać, aż stanę się ojcem – tym, do którego się dzwoni, żeby bliknął stówkę, a potem, żeby od święta zapytać „no co tam?", a potem, żeby poprosić o wzięcie wnuków na długi weekend.

Wciąż jestem tatą, Antoś zimą skończył pierwszą dekadę swojego życia, nadal to ja jestem tym, który podaje szklankę wody, a nawet śniadanie do wyrka. Chciałbym, aby tak zostało na zawsze, ale to już ostatnie lata, bo ileż można tych dzieciaków płodzić, ileż można tych wiosen życia przeżywać na nowo i tych ostatnich miłości, a zatem, ilekroć słyszę wołacz „tato", robi mi się ciepło na sercu i żwawo w duszy. Na przykład dzisiaj odpowiedziało się na pytanie: „Tato, czy w Balatonie są rekiny?" (ach, jakże błogo jest wciąż być domowym omnibusem i autorytetem, na poziomie szkoły średniej to się niechybnie zakończy, na razie wystarczy wiedza ogólna i elementarna).

Antoś jest dzieckiem szczęśliwie wychowywanym w bezpiecznej odległości od realnych problemów tego świata, więc jego lęki wciąż generuje raczej kino niż rzeczywistość niepoczytalnych dorosłych. Nie boi się ludzi, ale rekinów tak, od kiedy obejrzał „Szczęki" w asyście dorosłych zasłaniających mu oczy w najstraszniejszych momentach (to akurat metoda przeciwskuteczna, bo scenę i tak potem trzeba opowiedzieć, a wyobraźnia jest okrutna i krwawa).

Kiedy ma w perspektywie nadwodną kanikułę, dopytuje o rekiny, teraz jedzie na turniej piłkarski na Węgry, stąd dociekliwość, czy aby nie istnieją jakieś rekiny słodkowodne. Od tych morskich opowieści przechodzimy do tematu wysp bezludnych, Antoś pyta, co bym ze sobą wziął na taką wyspę, mnie w pierwszej myśli przychodzi do głowy odsalarka wody morskiej. On oczywiście mówi, że zabrałby piłkę, co powoduje, że przypominam sobie „Cast Away" Roberta Zemeckisa, zdumiewającą, pełnometrażową reklamę firmy kurierskiej FedEx i piłek marki Wilson. No i trzeba to znowu obejrzeć, bo nie ma lepszej filmowej opowieści rozbitka.

Oglądałem to z każdym ze swoich dzieci i każde z nich łapało mnie za rękę podczas sceny katastrofy lotniczej, bodaj najlepiej zrealizowanej w historii kina, a potem dopiero na etapie survivalowym tej opowieści uspokajało się i przyglądało z zainteresowaniem, jak radzi sobie człowiek poza cywilizacją. Nie „poza światem", jak brzmi doklejony przez polskiego dystrybutora podtytuł, bo przecież bohater grany brawurowo przez Toma Hanksa tak naprawdę odkrywa świat i rudymenty egzystencji, na co dotąd nie miał czasu jako wiecznie zalatany korposzczur.

Antoś ma dni wypełnione po sam brzeg, szkoła, treningi, korepetycje matematyczne (w tej dziedzinie nikt z żyjących członków rodziny nie jest w stanie mu pomóc nawet na poziomie czwartej klasy podstawówki), zatem obejrzenie takiego długiego filmu trzeba podzielić na raty.

> Dopóki jestem tatą, starość nie ma śmiałości zbliżyć się do mnie, musi czekać, aż stanę się ojcem.

Bycie tatą to także bycie narratorem, opowiadaczem historii, lektorem książek do poduszki – Antoś musi iść spać, ale nie zaśnie, póki się nie dowie, co też się wydarzy, głód wiedzy jest zbyt silny, a dziecko nie może przecież kłaść się głodne. I choć obejrzy to wszystko kolejnego dnia po treningu, opowiadam mu resztę przygód rozbitka, którego wolę przetrwania podtrzymywała nadzieja w postaci jedynej nieotwartej paczki, wyrzuconej przez morze na brzeg.

Wszystkie inne pootwierał, z rzeczy pozornie nieprzydatnych na tropikalnej wyspie, jak łyżwy czy kasety wideo („Tato, co to jest?!"), uczynił praktyczny użytek, ale tej jednej nie ośmielił się otworzyć przez cztery lata swojej izolacji, zmotywowany tym, by nie stracić wiary, że zdoła ją jeszcze dostarczyć pod wskazany adres. I faktycznie dostarcza w finale filmu, okazuje się najrzetelniejszym kurierem świata, paczka dotarła poniewczasie, ale przetrwała upadek samolotu do oceanu i ponad 1400 dni na bezludnej wyspie. Antoś, ziewając już wśród ostatków jawy, pyta: „Ciekawe, co tam było w środku", a ja wyczytuję, jak na to odpowiedział na konferencji prasowej autor filmu: był tam wodoodporny, ładowany energią słoneczną telefon satelitarny. ■

eprasa.pl feab52a080



NIE ŚPISZ, czyli ryzykujesz

Czy dobry sen może pomóc w odzyskaniu zdrowia

Merijn van de Laar

Związek zdrowia ze snem stał się w nowoczesnym świecie przedmiotem ożywionej dyskusji. Człowiek, który raz nie dospał, może mimo to wstać rano w pełni sił, ale jeśli będzie nadmiernie i w dodatku zbyt długo ograniczał czas snu, mogą go czekać negatywne konsekwencje fizyczne i psychiczne.

A co na to nauka? Trudność w interpretacji wyników badań nad związkami długości snu ze zdrowiem polega na tym, że uczestnicy owych badań często są poddani silnej deprywacji snu w warunkach laboratoryjnych, co nijak się ma do rzeczywistości. Ponadto, mimo że badania wykazały zależność przyczynowo-skutkową pomiędzy długością snu a pewnymi schorzeniami, to ich autorzy całkowicie pomijali kategorie obiektywnej i subiektywnej jakości snu, a jest to istotna kwestia, ponieważ jak już pisałem wcześniej, wiele osób, które nie dosypiają, zgłasza również sen o niższej jakości.

Wniosek jest następujący: aby badanie zależności snu i zdrowia było wiarygodne, należy koniecznie w nim uwzględnić takie parametry jak długość, jakość i pory snu. Kolejna istotna kwestia to odróżnienie subiektywnego obniżenia jakości snu na skutek bezsenności od obiektywnych przyczyn trudności ze snem, czyli różnych zaburzeń snu. Niestety, w badaniach nad związkami jakości snu ze zdrowiem często nie bierze się tego pod uwagę.

Omówię to, co wiemy na pewno o zależności pomiędzy snem a najczęściej występującymi chorobami przewlekłymi spośród tych, które niosą większe ryzyko zgonu. Trudności ze snem często wiążą się z otyłością, będącą jednym z czynników sprzyjających rozwojowi chorób sercowo-naczyniowych. Wiele osób uważa np., że bezsenność może powodować tycie albo utrudnić schudnięcie. Czy rzeczywiście istnieje taki związek?

Badacze formułowali na ten temat wiele szczegółowych teorii. Jedna z nich głosi, że u osób w poważnym stopniu pozbawionych snu dochodzi do obniżenia poziomu leptyny (hormonu sytości) i jednoczesnego podwyższenia poziomu greliny (hormonu głodu). Może to nasilić potrzebę jedzenia, a dodatkowo wydaje się też, że występuje wtedy tendencja do spożywania większej ilości węglowodanów i tłuszczów. Jednakże badacze często uogólniają te dane do grupy osób mających problemy ze snem, tymczasem w samych testach biorą udział ludzie, którzy na co dzień sypiają dobrze i dla potrzeb eksperymentu godzą się skrócić czas snu do czterech godzin. Porównywanie ze sobą tych dwóch grup jest błędem. W badaniu przeprowadzonym w 2017 r. poziomy leptyny i greliny u osób cierpiących na bezsenność były dokładnie takie same jak w grupie kontrolnej. Mit obalony.

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl feab52a080

Podobnie rzecz się miała rok później: prof. Wai Sze Chan i jej współbadaczki nie rozpoznały żadnych bezpośrednich związków pomiędzy bezsennością a otyłością. Z drugiej zaś strony ostra deprywacja snu – w postaci ekstremalnej – rzeczywiście powoduje tycie, chociaż ten efekt wydaje się zmniejszać po dwóch tygodniach przewlekłego pozbawienia snu; tak samo się dzieje, kiedy deprywacja jest łagodniejsza, co częściej się zdarza w prawdziwym życiu.

Cukrzyca to choroba charakteryzująca się zaburzeniami w produkcji insuliny przez organizm, nieprawidłowym działaniem tego hormonu albo też połączeniem obu tych objawów; może to prowadzić do rozwoju chorób układu krążenia. Co łączy cukrzycę ze snem? Otóż eksperyment polegający na poddaniu deprywacji sennej osób sypiających przeciętnie wykazał, że pozbawienie snu powoduje zmniejszenie wrażliwości na insulinę, co jest jedną z wczesnych oznak rozwoju cukrzycy.

U osób, które budzą się wcześnie rano i mają trudności z podtrzymaniem snu, występuje podwyższone ryzyko nadciśnienia.

A czy istnieje związek pomiędzy skróconym snem, bezsennością oraz kolejnym czynnikiem ryzyka dla schorzeń sercowo-naczyniowych, mianowicie nadciśnieniem, czyli trwałym podniesieniem ciśnienia tętniczego? Pozbawienie snu i kładzenie się spać dużo później niż zwykle może się skończyć podwyższeniem tętna oraz ciśnienia krwi. Wyniki badań są tu jednak sprzeczne. U pacjentów z bezsennością obserwujemy wzrost ciśnienia oraz osłabienie normalnego nocnego spadku ciśnienia. Metaanaliza przeprowadzona w 2021 r. w Chinach wykazała, że u osób, które budzą się wcześnie rano i mają trudności z podtrzymaniem snu, występuje podwyższone ryzyko nadciśnienia. Dzieje się tak szczególnie w Europie, natomiast wśród mieszkańców Azji i Ameryki wyniki badania nie były aż tak jednoznaczne; potencjalne przyczyny wspomnianej różnicy pozostają niejasne.

Ważnym ograniczeniem tej analizy jest fakt, że w niektórych z przeprowadzonych badań nie brano pod uwagę możliwej obecności chorób somatycznych, stanu zdrowia psychicznego i zażywania dodatkowych leków; nie uwzględniono także statusu społeczno-ekonomicznego badanych osób ani tego, czy palą. Z tego powodu trudno ocenić, czy podwyższone ryzyko nadciśnienia to skutek bezsenności czy też innych czynników.

Badania nad zależnością pomiędzy trudnościami ze snem a stanem przedcukrzycowym dały sprzeczne wyniki. Jedno z badań skoncentrowanych na kryteriach obiektywnej i subiektywnej oceny trudności ze snem wykazało, że gdy śpi się krócej niż pięć godzin na dobę i ma się subiektywne odczucie bezsenności, ryzyko zapadnięcia na cukrzycę typu 2 jest o 300% wyższe. Samodzielnie ani bezsenność, ani niedosypianie nie wiązały się z tak podwyższonym ryzykiem. Związek ten dawał się zaobserwować dopiero, gdy występowały jednocześnie. Co mogło być tego przyczyną? Autorzy jednego z badań bezsenności oraz obiektywnej długości snu ustalili, że wśród ludzi, którzy śpią krótko, jest więcej osób starszych, cierpiących na nadwagę i mających wyższe wskaźniki deprywacji społecznej; częściej występowały u nich także zaburzenia neuropsychiatryczne. Te czynniki mogą, nawet osobno, zapowiadać wyższe zagrożenie cukrzycą, a także wyjaśniać zależność pomiędzy tą chorobą a bezsennością połączoną z obiektywnie krótkim snem.

Ani krótki, ani też długi sen nie wiążą się ze wzrostem ryzyka nowotworu.

Choroba sercowo-naczyniowa to problem dotyczący olbrzymiej części społeczeństwa. Do czynników ryzyka zaliczamy tutaj nadciśnienie, cukrzycę oraz otyłość. Badania poszukujące związku tych schorzeń z bezsennością znowu podają sprzeczne wyniki. Przyczyną może być to, że każde z nich obiera całkiem inną populację badaną. Niektóre próby uwzględniają wpływ takich czynników jak stan zdrowia psychicznego, a ich wyniki wskazują, że ważnym tropem dla wyjaśnienia związku bezsenności z chorobą sercowo-naczyniową może być depresja. Doświadcza jej wiele osób zgłaszających subiektywne trudności ze snem i stanowi ona niezależny czynnik ryzyka epizodów sercowo-naczyniowych.

Próba przeprowadzona w 2024 r. na blisko 3 tys. kobiet w średnim wieku wykazała, że związek między objawami bezsenności a chorobą sercowo-naczyniową istnieje niezależnie od wystąpienia oznak depresji. Kolejna z przeprowadzonych w USA prób trwała 22 lata, a na podstawie jej wyników przedstawiono wniosek, że u kobiet z ostrymi objawami przewlekłej bezsenności ryzyko wystąpienia choroby sercowo-naczyniowej jest o 51% wyższe.

Wśród kobiet zdarza się, że bezsenność jest symptomem bezdechu sennego. Po menopauzie ryzyko bezdechu jest dwukrotnie wyższe, co może być przyczyną powszechnego występowania tego schorzenia w badanej grupie wiekowej. Dodatkowo amerykańscy naukowcy zbadali chrapanie pod kątem prawdopodobnych objawów bezdechu sennego, chcąc stwierdzić, czy to zaburzenie może mieć wpływ na wyniki próby. Jednakże chrapanie nie jest u kobiet optymalnym wskaźnikiem bezdechu obturacyjnego i pomiary skupione wyłącznie na tym objawie prowadzą do zaniżenia częstości występowania tego zaburzenia, co potwierdzają sami autorzy badania we wnioskach. Co za tym idzie, powszechność bezdechu oraz jego wpływ na wyniki badań mogą być niedoszacowane. (…)

eprasa.pl feab52a080

Kolejną z głównych przyczyn zgonów są oczywiście nowotwory. Czy niedosypianie i bezsenność mogą zwiększać ryzyko rozwoju pewnych nowotworów? Po raz kolejny badania dostarczają nam sprzecznych wyników. Studium przeprowadzone w 2020 r. pod kierownictwem Tingting Shi wykazało, że bezsenność pociąga za sobą 24-procentowy wzrost ryzyka nowotworu, przy czym znacząco wyższy wzrost tego ryzyka odnotowuje się wyłącznie w przypadku raka tarczycy oraz wśród kobiet. Zdaniem naukowców związek bezsenności z nowotworem tarczycy może mieć źródło w tym, że u pacjentów z bezsennością obserwuje się zwiększony poziom hormonu stymulującego tarczycę. Próbą do tego badania była jednak grupa ludzi poddanych dobrowolnej deprywacji snu przez 64 godziny, a takiej sytuacji nie można w żaden sposób porównać z bezsennością. Ponadto, w studium Tingting Shi z 2020 r. zwrócono uwagę, że nie należy przedwcześnie dopatrywać się związków przyczynowych, ponieważ do tej pory przeprowadzono niewiele badań w tym kierunku i istnieje możliwość zniekształceń statystycznych. Metaanaliza prawdopodobieństwa zależności pomiędzy długością snu a zapadalnością na raka wskazała, że ani krótki, ani też długi sen nie wiążą się ze wzrostem ryzyka nowotworu.

Ogólnie rzecz biorąc, badania wykazują, że niedosypianie i bezsenność mają związek z czynnikami ryzyka chorób układu krążenia, takich jak nadciśnienie oraz cukrzyca. Nie jest wszakże jasne, czy są one bezpośrednią przyczyną tych chorób, ponieważ istnieją też inne czynniki mogące zniekształcić obraz badań; są to m.in. obecność zaburzeń depresyjnych lub też innych dolegliwości natury psychicznej, przyjmowanie leków nasennych oraz współistniejące choroby somatyczne. Nie odkryto żadnych związków łączących zapadalność na nowotwór z krótkim bądź też długim snem; trudno także postawić konkretne tezy w kwestii prawdopodobnych związków tej choroby z bezsennością. Jednym słowem, hipotetyczne zależności pomiędzy bezsennością, niedosypianiem a chorobami przewlekłymi nie są tak proste, jak wynikało to z wcześniejszych stwierdzeń.

Nie wymieniłem, rzecz jasna, wszystkich problemów zdrowotnych, z którymi się mierzymy. Jest ich znacznie więcej, ale przytoczone ustalenia mogą podnieść na duchu osoby biologicznie uwarunkowane do krótkiego snu oraz tych z nas, którzy cierpią na bezsenność.

•

Czy człowiek, który źle sypia, jest bardziej narażony na choroby? I odwrotnie: czy dobry sen może pomóc w odzyskaniu zdrowia? Wydaje się, że tak. To, czy jesteśmy wyspani, jest ważne dla naszej odporności.

Wśród kobiet bezsenność bywa symptomem bezdechu sennego.

Układ immunologiczny to sieć narządów i struktur chroniących organizm przed chorobami. Musi być na tyle wydajny, aby zadziałać w razie potrzeby, ale z drugiej strony nie powinien też być ciągle w trybie obronnym, ponieważ może to doprowadzić do reakcji autoimmunologicznych, takich jak alergie, które też potrafią poważnie odbić się na zdrowiu.

Podczas snu organizm przestawia się na swego rodzaju tryb zapasowy, dzięki czemu dysponuje energią do przeprowadzenia różnych ważnych procesów. Na przykład głęboki sen to moment największej produkcji białek zwanych cytokinami. Są to ważne substancje, ponieważ pomagają zwalczać szkodliwe wirusy i bakterie. Jeśli więc siedzieliśmy dzisiaj obok kogoś mocno przeziębionego, to aby się nie zarazić, lepiej dobrze się wyspać.

Sen wpływa też na układ odpornościowy w jeszcze inny sposób, a mianowicie to właśnie wtedy zachodzi intensywna proliferacja, czyli namnażanie komórek odpornościowych. Można je sobie wyobrazić jako wewnętrzne psy stróżujące, które gryzą po kostkach wszystkie wirusy i bakterie. Nie ma się zatem co dziwić, że ludzie, którzy źle śpią, są bardziej narażeni na zakażenia.

Oprócz tego prawdą jest też, że im głębszy jest nasz sen, tym lepsza odpowiedź immunologiczna. Tak wynika z badań nad skutecznością szczepionek przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu A. U grupy badanych osób, które przespały całą noc, układy odpornościowe zareagowały lepiej niż u drugiej grupy, która po zaszczepieniu nie spała do samego rana. Dobrą odpowiedź immunologiczną połączono w szczególności z głębokim snem.

Układ immunologiczny może być także zbyt aktywny, co czasami prowadzi do rozwoju alergii. Jak ustalili naukowcy, zakłócanie pracy zegara biologicznego, np. poprzez zbyt późne kładzenie się spać, może podwyższyć prawdopodobieństwo wystąpienia reakcji alergicznej, prowadzi bowiem do zmian poziomów hormonów i może wywołać nadwrażliwość skóry. Badania na myszach wykazały, że zmiana 24-godzinnej rytmiczności poziomów hormonu o nazwie kortykosteron, wywołana problemami z zegarem biologicznym, może powodować alergie skórne. Jest zatem możliwe złagodzenie objawów alergii poprzez konsekwentną synchronizację pory snu z zegarem biologicznym. Brak snu może także wpływać na ekspresywność reakcji alergicznych: ustalono np., że jednostki uczulone na orzechy arachidowe są bardziej podatne na atak alergii, kiedy zostały pozbawione snu.

Podsumowując: mamy dowody na to, że dobry sen może wspomagać działanie układu odpornościowego i odgrywa ważną rolę w utrzymywaniu reakcji immunologicznej na takim poziomie, aby organizm na co dzień nie reagował zbyt silnie, ale w razie potrzeby mógł skutecznie przeciwstawić się zagrożeniom.



Fragment książki Merijna van de Laara *Śpij jak jaskiniowiec. I wyśpij się dzięki mądrości sprzed wieków*, przeł. Michał Juszkiewicz, Marginesy, Warszawa 2025

eprasa.pl feab52a080

Porozmawiajmy o zarabianiu

Gdy w roku 1999 likwidowano biura radcy handlowego, przedstawiano to jako wielki sukces, jako pogrzebanie starej, PRL-owskiej struktury. Tłumaczono, że polska gospodarka wygląda teraz inaczej i tak naprawdę, po tym jak wielkie przedsiębiorstwa państwowe przestały działać, biura te nie mają zadań.

Jeżeli więc jeszcze na początku 1999 r. funkcjonowały 103 biura radców handlowych, wydziały i przedstawicielstwa handlowe nadzorowane przez ministra gospodarki, to potem zaczęło się odcinanie. 78 placówek przekształcono w wydziały ekonomiczno-handlowe ambasad lub konsulatów RP. A 25 placówek, przeważnie jednoosobowych, zostało zlikwidowanych. Były to m.in. placówki w Phenianie, Kuwejcie, Bengazi, Islamabadzie i Dubaju.

Część pracowników BRH, a byli oni na etatach resortu gospodarki, przeszła do MSZ, do utworzonych w ambasadach wydziałów ekonomiczno-handlowych. Część wróciła do Warszawy…

Podobnie było z budynkami. Niektóre opuszczone stały i niszczały, traktowano je jako składziki na stare meble. Nie wiadomo było, co z nimi zrobić. Teoretycznie likwidacja BRH miała przynieść wielkie oszczędności, w praktyce niewiele z tego wyszło.

Szybko też zorientowano się, że jakaś pomoc polskim firmom i polskiej gospodarce jednak się należy. Wymyślono więc, że zajmować się tym będzie PAIZ – dziś, po przekształceniach, znana jako Polska Agencja Inwestycji i Handlu. Ma ona swoje oddziały na świecie, mieszczące się przeważnie w wielkich biurowcach. A że działa na zasadach komercyjnych, to w krajach, w których rola państwa jest dominująca i gdzie kontrakty negocjuje się na szczeblu rządowym, jej skuteczność jest nieduża. Z pozycji ambasady dane sprawy trzeba załatwić, z pozycji komercyjnego biura… Poza tym czegóż wymagać od jednego człowieka, który ma obsługiwać wielki kraj? W Chinach PAIH ma jedno biuro – w Szanghaju. W Indiach – trudno się doszukać itd.

Efekt jest taki, że pomoc dla polskiego eksportu, polskich firm jest – delikatnie mówiąc – rozproszona. Szczególnie wyraźnie widać to, gdy zobaczymy, jak działa świat. Jak działa obecnie w Warszawie Biuro Radcy Handlowego USA czy innych ambasad. Jak działają dyplomaci innych państw, wręcz wchodzący w garnitur lobbysty swoich firm. Albo jak wyglądają delegacje prezydentów i premierów wielkich państw – zawsze z licznymi przedstawicielami biznesu.

W Polsce jest lajtowo. Na przykład polski eksport żywności wynosi ok. 58 mld euro, rośnie w tempie ok. 8,5% rocznie. A wspiera go siedmiu radców rolnych. Na 94 ambasady RP. Są delegowani przez Ministerstwo Rolnictwa i Rozwoju Wsi i pracują w ambasadach w Berlinie, Kijowie, Abu Zabi, Nowym Delhi, Kairze, Pekinie i Brukseli (UE). A Wielka Brytania, największy pozaunijny rynek dla naszej żywności? A Stany Zjednoczone? A Francja? A Holandia?

Dodajmy: szeroko reklamowane biura PAIH, które miały być elastyczne i tanie w utrzymaniu, też nie imponują. Ich liczba się zmniejsza, a jeśli chodzi np. o Afrykę, to na cały kontynent mamy ich pięć: w Maroku, Egipcie, RPA, Nigerii i Kenii.

Pozostaje nam tylko za głowę się łapać: jak wspaniały musi być polski produkt, że potrafi się w świecie przebić…

Attaché

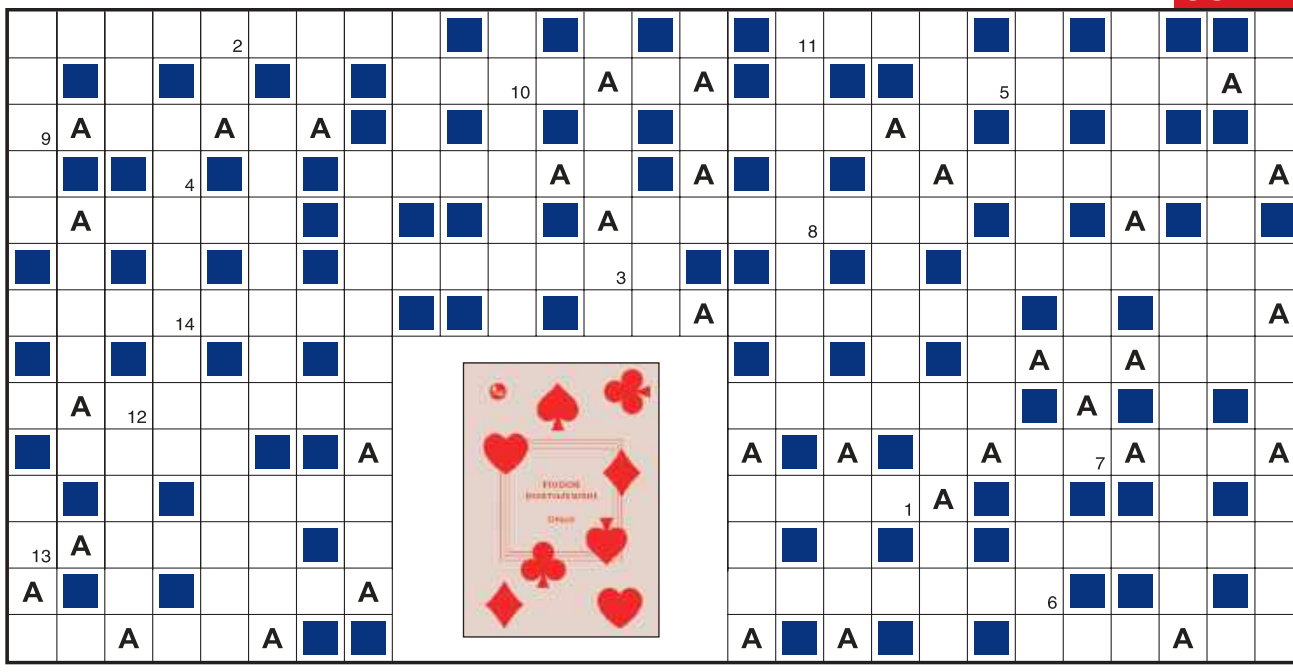


Przyznaną po raz pierwszy Nagrodę im. Bronisława Geremka za wkład w umacnianie relacji polsko-francuskich otrzymał Andrzej Seweryn. Utytułowany aktor, który we Francji spędził 33 lata, m.in. grając w Comédie-Française, od prezydenta Macrona usłyszał: nasz ci on! Gdańsk, 20 kwietnia 2026 r.

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

eprasa.pl feab52a080

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery A ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 14 utworzą końcowe hasło.

- wkładany przez głowę futrzany skafander
- uczeń Chrystusa, głosiciel jego nauki
- Halley, Heweliusz lub Hubble
- cienki… – miernota
- architekt, rywal Berniniego
- popularny płyn do chłodnicy
- grubianin, przemocowiec
- komu w drogę, temu…
- największe na świecie ma Amazonka
- złota moneta używana w Europie do XIX w.
- żyje w świecie marzeń, ułudy
- drut lub obręcz do zaciskania na szyi
- włoski malarz i architekt, autor fresków
- karaibskie państwo ze stolicą w Saint George's
- skrzywiona mina
- lodowy domek w nieangielskiej pisowni
- ma ją ktoś pełen energii
- wierzba z puszystymi kotkami
- chwilowa zachcianka
- karciane czerwone serduszko
- ściekowy pod Wisłą (nowy po awariach)
- opłata za mieszkanie
- duży, niezgrabny pojazd
- poziome belki pod deskami podłogi
- …Massine, choreograf „Greka Zorby"
- nitki, świderki, kokardki lub rurki na talerzu
- piłka dająca jednopunktową przewagę i wygraną
- było na kartki
- pokojowego chciał Donald Trump
- wychwalający kogoś, coś utwór poetycki
- …związku – dziecko
- żartobliwie o spodniach
- przedstawienie gestami wymowne
- układanie kart połączone z wróżbą
- nagroda kulturalna „Polityki"
- między starszym kapralem a sierżantem
- chytre podejście kogoś
- przesadny przepych
- balzakowski tytułowy kuzyn
- naczynie do pieczenia ogrzewane prądem
- zadanie działu HR
- do tego dania ryż Arborio
- poetycko o strumieniu
- paniczne, masowe wycofywanie pieniędzy
- zlot na miotłach
- trzeci syn Adama i Ewy
- młoda roślina z nasiona
- rozżarzona cząstka
- urząd obsługujący organy powiatu
- atak kawalerii
- muł, grząski osad na dnie
- miażdżyca ich przewlekłą chorobą
- masowa uciążliwa dla Wenecjan, Barcelończyków
- wierzenie komuś
- kraj Wuja Sama w skrócie
- twarda… – o dolarze
- dziwne zachowanie, niestosowny dowcip
- roślina motylkowa na poplon
- iść w nie – rywalizować
- szalony perkusista z Muppetów

KUPON JOLKI „Przeglądu"

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie", opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

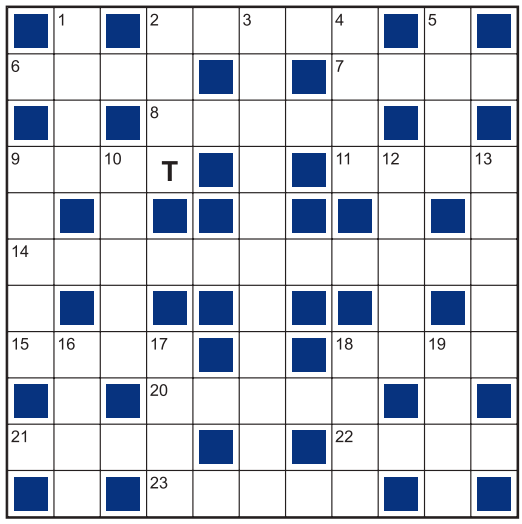
Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1271". Do rozlosowania książki „Gracz" ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 3 maja 2026 r.

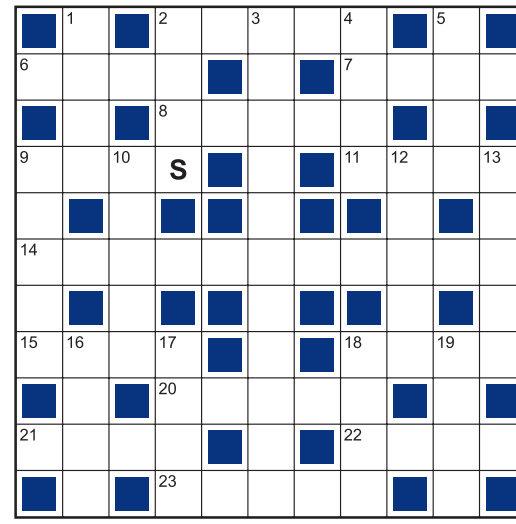
Rozwiązanie „JOLKI-1268" z nr. 15: *Kto wszystkim dogadza, sobie szkodzi.* Nagrody otrzymują: Janina Krunis-Traczyk z Warszawy, Barbara Okoń z Wrocławia, Joanna Pyra z Lublina.

eprasa.pl feab52a080

ALBO-ALBO

Objaśnienia zostały podane pod wspólnym oznaczeniem. Zdecyduj, do którego diagramu wpisać odgadnięte słowo.





Poziomo:
2) i płomyk, i krzew z różowatych ■ i truskawka, i moneta
6) maniaka lub ośli ■ obronny rów wojskowy
7) z zacieru ryżowego, daktylowego ■ jedno z szalonych opowiadań Zweiga
8) wysokiej rangi odznaczenie ■ niemiecko-polska wyspa
9) ołowiane kulki dla myśliwego ■ rycerski to np. „Orland szalony”
11) banknotów, gazet, listów ■ cząstka pierwiastka
14) jej celem knuć i skłócać ■ ochłonięcie, odzyskanie rozsądku
15) kamień o barwnych pasmach ■ …człowieka – ktoś schorowany
18) rzeźba przedstawiająca tułów ■ personalna – związek poprzez monarchę
20) gotowość do udziału, przystąpienie ■ zawarte porozumienie stron
21) wyznaczany statku ■ wolny, miarowy chód konia
22) przypadek, zbieg okoliczności ■ puder do pielęgnacji skóry
23) katarakta oka ■ roślina na sizal

Pionowo:
1) zboża od rolników ■ mgła nad łąką
2) kolczasty na zasieki ■ ssak z podrodziny dydelfów
3) bycie wyżej w hierarchii, prymat ■ poziom w budynku, piętro
4) wigilijna ryba ■ kłaść ją czemuś – powstrzymywać coś
5) zrobić w nie kogoś to oszukać ■ zakręcane na wałkach
9) krótka pelerynka z futra ■ wokalisty lub ptasi
10) kąpielisko u ujścia Słupi ■ tam Universal Studios Japan
12) ziemia wasala ■ i Prometeusz, i metal
13) plama z atramentu ■ przebrać ją – przesadzić
16) na wianek dla panny młodej ■ prostak, ordynus
17) do malowania rzęs ■ derka dla konia
18) …Świnka z głosem Roberta Tondery ■ malowane szminką
19) kraj blokujący cieśninę Ormuz ■ ziemia uprawna

SUDOKU

W każdym rzędzie, w każdej kolumnie i każdym kwadracie 3 x 3 powinno się znaleźć 9 różnych cyfr od 1 do 9.

ŁATWE

2	7	4	1	3	6			
				8		4		6
	9	8			2			
					4	5		
9	4	3		2			8	
	5	6	3			9		
			4			6		8
		1						9
5			9	1		2	3	

ŚREDNIE

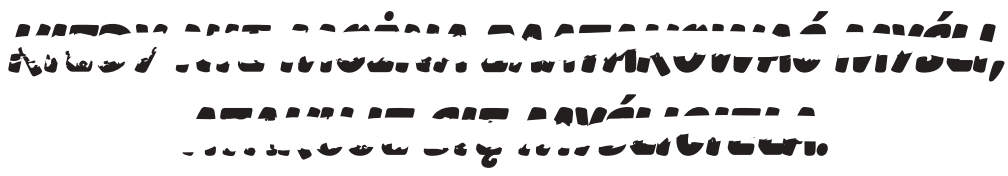
7					4	2	9	
6			1			7	4	
					7			
	3	8		4	6		2	
9		5			2	3	6	
	4		7					
			2	7				8
		7			1		5	
	5		3	6	8			

TRUDNE

5	1		7	3	9			
		3					9	
	6				1	8		
				2		5		
	3							
1	7	5	9		3			2
			8			3		
		6	2				1	
	2	7				4		

20% WIDOCZNOŚCI

Spróbuj odczytać hasło widoczne tylko częściowo – to myśl, której autorem jest Paul Valéry.



Rozwiązania na s. 65

eprasa.pl feab52a080







PENETRACJE

PROF. PRZEMYSŁAW GRUDZIŃSKI,
DYPLOMATA, WICEMINISTER OBRONY ORAZ SPRAW ZAGRANICZNYCH

W XXI w. nastąpiła totalna fuzja władzy politycznej z kapitałem korporacji, a zwłaszcza monopoli z Doliny Krzemowej. Bogactwo jest skupione w rękach ludzi pokroju Elona Muska i garstki stopionych ze sobą oligarchów i polityków, którzy dysponują nowymi technologicznymi instrumentami do penetracji ludzkich umysłów i sprawowania kontroli nad zachowaniem mas. Tej generacji kapitanów gospodarki marzy się pokierowanie sprawami tego świata. (…) To, co oryginalne w systemie Trumpa, to powiązanie gospodarki zaawansowanego kapitalizmu z zasadami rządzącymi systemem feudalnym. Suweren i jego lennicy – Stany Zjednoczone i zwasalizowana reszta świata – to jest wizja Trumpa. Dobrym przykładem jest tu ściąganie lenna – czyli opłat przez amerykańskie korporacje cyfrowe – z lenników z całego świata. Reszta świata jest wasalem.

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Polityczna biografia Morawieckiego jest znana; jako premier rządu zasłynął nie tylko łatwością, z jaką mijał się z prawdą (zaczęto wówczas nazywać go Pinokiem), ale jeszcze bardziej talentem do robienia dobrej miny do złej gry. Jego szef, Kaczyński, mógł mu kazać zrobić wszystko, a ten wszystko, co mu kazano, wykonywał. Bez szemrania! Nie miał zaplecza, był niegroźny, bo bezbronny. Dociskali go ludzie pomniejsi, ale zawieszeni wysoko na klamkach prezesa, a Morawiecki pokornie to znosił. (…) 15 kwietnia ogłosił powstanie Stowarzyszenia. Bez psychiatrycznych karykatur jak Macierewicz, przymułów jak Suski, jaskiniowców, jak Sasin czy Czarnek albo posiadaczy nieusuwalnych deficytów intelektualnych jak Błaszczak. Ergo, najbliższych partnerów starego Kaczyńskiego, którzy kształtowali XIX-wieczny styl sprawowania władzy i podległości.

FELIKS FALK,
REŻYSER

Już na planie „Komornika" – chociaż czułem, że to będzie ważny film – mówiłem, że więcej filmów nie będę robić. W trakcie realizacji „Joanny" też to powtarzałem, ale nikt mi nie wierzył, bo „zawsze tak mówisz". Ja jednak wiedziałem. (…) Gdyby do kapsuły czasu pozwolono mi zabrać jeden mój film, to pierwsza myśl „Wodzirej", ale jako stary buntownik, który lubi iść pod prąd, wybrałbym „Joannę". Myślę, że jest moim najbardziej uniwersalnym filmem. Kameralną opowieścią o wyborach ostatecznych. O poświęceniu. O człowieku, który w sytuacji ekstremalnej wybiera dobro.

DOBRAWA CZOCHER,
WIOLONCZELISTKA, KOMPOZYTORKA

Uważam, że nawet muzyka bez słów, instrumentalna, ma niezwykłą moc, sięga głębiej niż tylko do intelektualnej sfery. Działa na podświadomość, przez co skłania nas do przeżycia emocjonalnego i doświadczania piękna, może też smutku. Mam poczucie, że kontakt ze sztuką nas uszlachetnia, kieruje do innych sfer niż te, którymi żyjemy na co dzień, kiedy musimy walczyć o przetrwanie, pamiętać o milionie obowiązków. Uwielbiam tworzyć własny świat muzyczny, ale bardzo dobrze się też czuję, dopełniając czyjąś wizję artystyczną w filmie i w teatrze, zwłaszcza jeśli to fajna wymiana. Nie mam więc jedynej ulubionej materii, każda przynosi coś innego, wymaga innej gimnastyki umysłowej, żeby muzyka zadziałała najlepiej, jak to możliwe.

FOT. BEZ RÓŻOWYCH OKULARÓW, KRAINA MEMAMI PŁYNĄCA, AMEM

eprasa.pl feab52a080

ROZWIĄZANIA

■	O	■	D	U	K	A	T	■	J	■	■	S	■	O	G	N	I	K	■	L	■
U	P	Ó	R	■	O	■	A	R	A	K	O	K	O	P	■	A	■	A	M	O	K
■	A	■	U	Z	N	A	M	■	J	■	■	U	■	O	R	D	E	R	■	K	■
Ś	R	U	T	■	D	■	A	T	O	M	E	P	O	S	■	R	■	P	L	I	K
P	■	S	■	■	Y	■	■	Y	■	I	T	■	S	■	■	Z	■	■	E	■	L
I	N	T	R	Y	G	A	N	T	K	A	O	P	A	M	I	Ę	T	A	N	I	E
E	■	K	■	■	N	■	■	A	■	R	L	■	K	■	■	D	■	■	N	■	K
W	R	A	K	■	A	■	U	N	I	A	A	G	A	T	■	N	■	T	O	R	S
■	U	■	A	K	C	E	S	■	R	■	■	B	■	U	M	O	W	A	■	O	■
S	T	Ę	P	■	J	■	T	R	A	F	K	U	R	S	■	Ś	■	T	A	L	K
■	A	■	A	G	A	W	A	■	K	■	■	R	■	Z	A	Ć	M	A	■	A	■

ŁATWE

2	7	4	1	3	6	8	9	5
1	3	5	7	8	9	4	2	6
6	9	8	5	4	2	3	7	1
7	1	2	8	9	4	5	6	3
9	4	3	6	2	5	1	8	7
8	5	6	3	7	1	9	4	2
3	2	9	4	5	7	6	1	8
4	8	1	2	6	3	7	5	9
5	6	7	9	1	8	2	3	4

ŚREDNIE

7	1	3	5	8	4	2	9	6
6	8	2	1	3	9	7	4	5
5	9	4	6	2	7	8	3	1
1	3	8	9	4	6	5	2	7
9	7	5	8	1	2	3	6	4
2	4	6	7	5	3	1	8	9
3	6	9	2	7	5	4	1	8
8	2	7	4	9	1	6	5	3
4	5	1	3	6	8	9	7	2

TRUDNE

5	1	8	7	3	9	2	6	4
7	4	3	6	8	2	1	9	5
9	6	2	4	5	1	8	3	7
6	8	9	1	2	7	5	4	3
2	3	4	5	6	8	9	7	1
1	7	5	9	4	3	6	8	2
4	9	1	8	7	5	3	2	6
3	5	6	2	9	4	7	1	8
8	2	7	3	1	6	4	5	9

KIEDY NIE MOŻNA ZAATAKOWAĆ MYŚLI,
ATAKUJE SIĘ MYŚLICIELA.



Aby język giętki…

KARD. KONRAD KRAJEWSKI
O ZMIANIE

Proszę zobaczyć, jaki jest dom biskupa, a biedni jedzą pod namiotem. To się musi zmienić. Ja mogę jeść tam, ale oni przyjdą do pałacu.

STEFAN CHWIN O INTELIGENTACH

Lud szczególnie nie lubi inteligentów pochodzenia ludowego. Nie przypadkiem inteligenci ludowi od Zandberga cieszą się u ludu małym wzięciem.

JAROSŁAW FLIS O KAROLU NAWROCKIM

Po pół roku ma więcej wrogów niż Lech Kaczyński. Dużo lepsze notowania miał Bronisław Komorowski.

AGATA ŁUKSZA O REWOLUCJI

To pokolenie nie ma w sobie energii do podpalenia świata. Rewolucja wymaga myślenia wspólnotowego.

EWA DRZYZGA O WIEDZY

Dziś wiem, że wiedza to pojęcie względne. Rozwój i doskonalenie siebie to podróż, bez oceny i definiowania.

ZBIGNIEW BOREK
O EGZAMINACH NA PRAWO JAZDY

Wyeliminowanie z egzaminu placu manewrowego uleczy sytuację mniej więcej tak, jak plaster leczy złamanie.

MAŁGORZATA PIECZYŃSKA
O ŻYCIOWYCH DOŚWIADCZENIACH

Powiedzenie komuś: „Możesz być panem własnego losu" uważam za górnolotne, niestosowne, niesprawiedliwe.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański **j.domanski@tygodnikprzeglad.pl**
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz **a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl**
Marzena Michałek **m.michalek@tygodnikprzeglad.pl**
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł **i.morzol@tygodnikprzeglad.pl**
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek **a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl**
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska **j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl**
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl feab52a080



Ekspozycja Heleny Parys

Pokolenie Z

„Gen Z. All at Once" to przekrojowa wystawa prac 20 artystów z 11 krajów Europy Środkowej i Wschodniej, urodzonych w latach 1993-2001, w tym polskiej czwórki: Weroniki Wysockiej, Oksany Pawełko, Heleny Parys i Ant Łakomsk. Projekt koncentruje się na doświadczeniach pokolenia Z – dorastającego w cieniu kryzysów geopolitycznych, klimatycznych i ekonomicznych, a jednocześnie ukształtowanego przez rzeczywistość cyfrową. Prace odsłaniają indywidualne strategie radzenia sobie z napięciami współczesności w świecie, w którym granice między prywatnym a publicznym, realnym a wirtualnym czy lękiem a przyjemnością zostają zatarte.



Dominika Kováčiková, Fragile

Muzeum MO
w Wilnie
Vilnius, Pylimo g. 17
do 30 sierpnia



Dominika Kováčiková, Desiata Afternoon Snack



Dominika Kováčiková, Sunday Shoes III

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl feab52a080

koncert promujący nowy album

UlaNova

5.05 URSZULA DUDZIAK

TEATR ROMA • WARSZAWA



SKRZEK/PIOTROWSKI/ANTHIMOS

SBB

BIELSKO-BIAŁA
CAVATINA HALL
6 MAJA

WARSZAWA
KLUB STODOŁA **SOLD OUT**
12 MAJA

GDAŃSK
STARY MANEŻ
14 MAJA

MARCIN MASECKI & BOLEROS



23 MAJA
GDAŃSK
FILHARMONIA BAŁTYCKA

27 MAJA
SZCZECIN
FILHARMONIA
IM. MIECZYSŁAWA
KARŁOWICZA

John Scofield's LONG DAYS QUARTET

23 sierpnia NOSPR, Katowice



15-19 LIPCA 2026

KAZIMIERNIKEJSZYN
WYDARZENIE BEZ SPINKI

KAZIMIERNIKEJSZYN

KAZIMIERZ DOLNY KAMIENIOŁOMY

KAŚKA SOCHACKA
KACPERCZYK
IGO

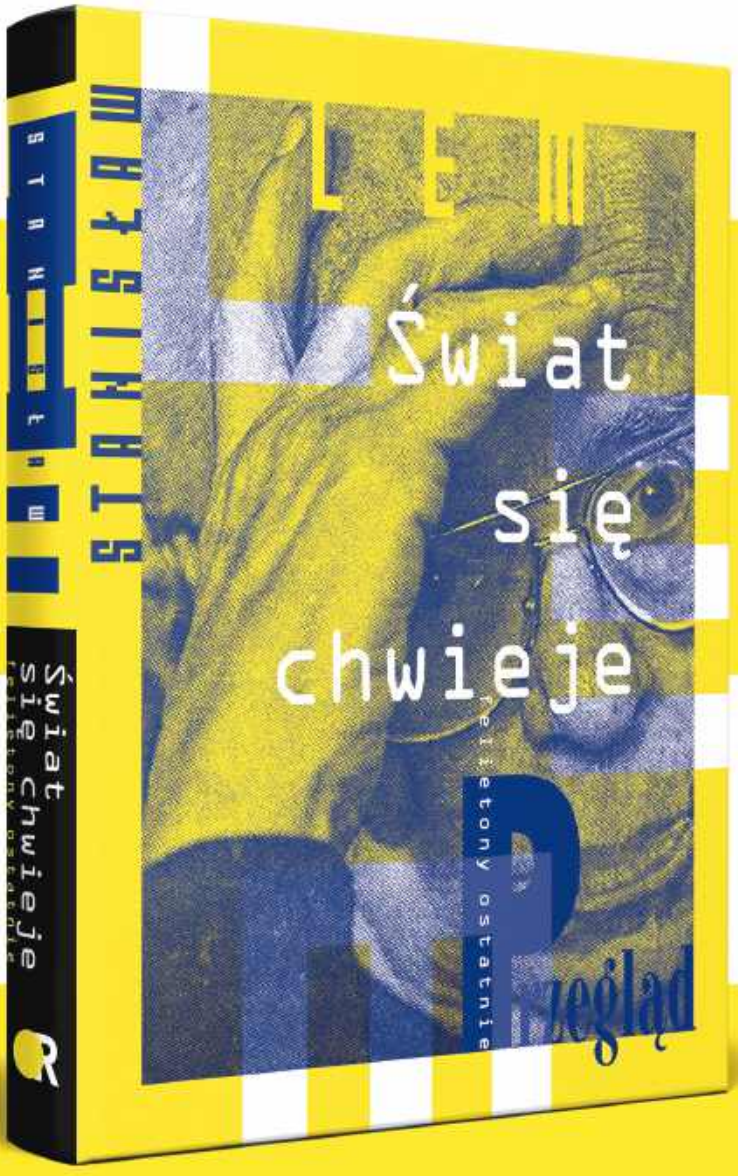
PAKTOFONIKA ORKIESTRA • **ŁĄKI ŁAN**
GRZEGORZ **TURNAU** • **BRASS ASTRAL** PROJEKT SPECJALNY
KASIA **SIENKIEWICZ** • NATALIA **PRZYBYSZ**

KATHIA • CINNAMON GUM
KAZIMIERSKA ORKIESTRA DZIADOWSKA

BILETY DOSTĘPNE NA: **TICKETCLUB.PL** | **STODOLA.PL**

eprasa.pl feab52a080

126 felietonów Stanisława Lema w „Przeglądzie”



Ostatni felieton zamieścił kilka tygodni przed śmiercią. Jego teksty nie straciły na aktualności. Wręcz przeciwnie – nabrały znaczenia w czasach, gdy Europa i świat muszą na nowo określić swoją przyszłość.

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl feab52a080